

Ocena Mentzena ■ Senior złapany w hipotekę ■ Niemcy się zbroją
Boniecki na Wielki Post ■ Trudne „Dojrzewanie” ■ Narcyz Caravaggio

Kraków 26 marca – 1 kwietnia 2025 nr 13 (3951)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

AGNIESZKA
SZYDŁOWSKA,
SZEFOWA TRÓJKI

Wszyscy chcemy
mądrych mediów

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480505

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz. Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

„Tygodnik Powszechny” – czytasz, kiedy chcesz, jak lubisz.
Bez algorytmów, bez ekranów, bez pośpiechu.

Papierowe wydanie dostarczane co tydzień przez InPost Paczkomat®

– płacisz tylko za tygodnik, przesyłka jest całkowicie **ZA DARMO!**

To rewolucja na rynku prasy – nasza odpowiedź na znikające punkty sprzedaży.

Przy zakupie na **6 miesięcy:**

366 zł zamiast ~~390 zł~~

(z **blik** rabat **6%**)

Przy zakupie na **12 miesięcy:**

686 zł zamiast ~~780 zł~~

(z **blik** rabat **12%**)

OFERTA SPECJALNA

Zamawiając TP z odbiorem w InPost Paczkomat®
otrzymasz także:

- całoroczny dostęp do wydania internetowego „Tygodnika Powszechnego” za 1 zł – oszczędzasz 357 zł
- dostęp do odcinków specjalnych podcastu „Szkoła uczuć” z profesorem Bogdanem de Barbaro, do kursu medytacji chrześcijańskiej oraz do innych podcastów i newsletterów od autorów i autorek Tygodnika

Dodatkowo, jeśli skorzystasz z oferty **DO KOŃCA KWIETNIA**,
otrzymasz wyjątkową książkę ks. Adama Bonieckiego
„Vademecum” z autografem autora.



dowiedz się więcej!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Dobre sumienie, używane*

NA PEWNO JEST W CZŁOWIEKU PRZEKONANIE, ŻE NALEŻY CZYNIĆ dobrze, a źle – nie należy. Kłopot w tym, że rozpoznanie, co jest dobre, a co złe wynika z... No właśnie, z czego? Pamiętam wizytę papieża w jakimś mieście we Włoszech, bodaj w Neapolu. W imieniu ochrzczonych mówił do niego człowiek, który wzrastał w rodzinie bardzo ubogiej. Mówił o tym, iż przez długi czas był przekonany, że kradzież może być czymś dobrym. Uważał, że przyniesienie do domu czegoś zdobytego w ten sposób jest zasługą. Dopiero później, już jako dorosły, zetknął się z Kościołem i dowiedział się, że jednak nie. Nie wiem, czy znał katolicką formułę: „wobec krańcowej konieczności wszystko jest wspólne”. Może to jakoś czuł. Ale czy „wszystko” znaczyło, że okradany bliźni może zostać z niczym i znaleźć się w sytuacji takiej, jak on sam był przed dokonaniem kradzieży? Pociesmy się hipotezą, że zapewne raczej okradał zamożnych niż krańcowo biednych. A inne przykazania?

„Nie zabijaj”? Wykoncypowaliśmy, że przykazanie nie odnosi się do wrogów na wojnie. Wyroki śmierci – wykonywane w czasach pokojowych – dopiero od niedawna zniknęły z niektórych kodeksów karnych. Co więcej, coraz powszechniejsza staje się dopuszczalność odbierania życia chorym, którzy sami o to proszą, albo ich stan nie rokuje poprawy. Nie mówię już o „nie cudzołóź”, „nie kradnij”, „nie mów fałszywego świadectwa”, bo zdążyliśmy wynaleźć sto sposobów, by przykazania obejść z poczuciem niewinności albo wręcz zasługi. Tyle Dekalog, bo kłopot to dopiero sprawia Ewangelia. „Miłuj bliźniego jak siebie samego”? Taka rewolucja moralna musi budzić niepokój.

Z napięciami między wymogami życia a przykazaniami Ewangelii borykają się teologowie moralisci. Nie brak było takich, którzy konstruowali poglądy pozwalające dobrze żyć w świecie pełnym chciwości, zazdrości i nienawiści z poczuciem bycia dobrym

chrześcijaninem. Ale byli też ludzie biorący serio nauczanie Ewangelii. To, że staramy się nim żyć w świecie takim, jaki jest, stanowi część naszej egzystencji. Nie jest dziwne, że się do ideału zbliżamy, albo, w innych okolicznościach, oddalamy. Jedni odczuwają zbliżanie i się cieszą, inni są przybici oddalaniem się. Jedni i drudzy mają rację. Może sprawa jest bardziej personalna, niż sądzimy. Cokolwiek się dzieje na świecie, ja sam ostatecznie odpowiadam za swoją drogę. Każdy zgodnie ze swoim rozeznanie, czy jeśli kto woli – sumieniem.

Tu dochodzimy do pytania o to, ilu jest na świecie nas, chrześcijan. Myślę, że według nauczania Jezusa właśnie stosunek do przemocy wobec bliźnich jest realnym znakiem relacji z drugim człowiekiem, a nie słowne deklaracje, często niemające żadnego potwierdzenia w życiowej praktyce. Oczywiście, natychmiast się rodzi mnóstwo problemów, jak choćby pytanie, czy mamy obojętnie patrzeć na to, że bliźniemu dzieje się krzywda. Bo może jednak, mimo pokojowego nastawienia, mam obowiązek bronić bliźniego? A gdy mam bronić, to czy mogę używać siły albo nawet zabijać?

Może zbyt uproszciliśmy (na własny użytek) Ewangelię? Może coś w nauce Jezusa przeoczyliśmy? Może położyliśmy nacisk nie na to, co w niej jest istotne, i zbudowaliśmy doktrynę zaledwie paralelną? Myślę, że wyjaśnienie jest proste: posłuchaliśmy wykładu doktryny w wersji nam osobiście bliskiej, najmniej naruszającej nasz sposób myślenia i życia. Wersja ewangeliczna brzmi: „bądźcie więc doskonali jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski” (Mt 5, 48). Jeśli te słowa potraktować poważnie, to miara jest nieosiągalna, ale kierunek, w którym należy podążać, wskazany. © P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem. W „Tygodniku” od 1964 r.



GRAZYNA MAKARA

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MAREK RABIJ

o sporze między wydawcami, autorami i dystrybutorami. Co leży u źródła konfliktu na rynku książki.

MACIEJ ZANIEWICZ

o tym, jakie metale rzadkie ma Ukraina i jak może wyglądać jej umowa z Trumpem. Reportaż z Kijowa.

DANUTA STENKA

o roli, jaką kaszubska dziewczynka dostała od losu, uciekającym czasie i aktorstwie. Rozmowa na Wielki Post.

Będzie państwo zadowolone” – taki tytuł nadał swojemu tekstowi **MAREK RABIJ**. W redakcji „Tygodnika” wie to każdy: jeśli napisałeś artykuł, ale nie masz błyskotliwego tytułu, idź do Rabija. Kiedyś – to tylko jeden z dziesiątek przykładów – mój kolega napisał krótką notę o tym, że pewna jastrzębska parafia jako pierwsza w Polsce zafundowała sobie terminal do kart płatniczych. Notę wyposażył w tytuł „PIN z wami”, i dzięki temu jest ona (przynajmniej przeze mnie) pamiętana do dziś.

Rewelacyjny tekst pt. „Będzie państwo zadowolone” to coś więcej niż garść ważnych informacji wyposażonych w tytułowy bon mot. To po pierwsze smutna i niezbyt chyba przyswojona diagnoza: wielu polskich seniorów, by żyć godnie, wyprzedaje za bezcen swoje mieszkania, otrzymując za to gwarancję dożywotniego dochodu.

Autor zauważa jednak przy tym, że fundusze hipoteczne skupujące od emerytów lokale w zamian za comiesięczną rentę „weszły w wolną przestrzeń po państwie polskim”, które „nie jest już w stanie zapewnić seniorom godziwej starości”. I proponuje bardzo ciekawą koncepcję, dzięki której nasz system mógłby na powrót służyć najsłabszym. Zarówno ubożającym seniorom, jak i „klienteli” lokali komunalnych.

Jest w tym numerze „TP” jeszcze jeden tekst pokazujący, że państwo – nie tylko zresztą polskie – pozostawia po sobie pustą przestrzeń. I to w obszarach deklaratywnie dla siebie najważniejszych, jak demografia. Zarówno w części dotyczącej coraz większej liczby (bywa, że ubożających) seniorów, jak i coraz mniejszej liczby juniorów. „Ostatniego wieczora rozplaczę się na widok tostowego chleba w plastiku. Podnoszę go i oglądam pod światło. Dobrze myślałam, prześwituje!” – pisze w felietonie **ZUZANNA RADZIK**, wspominając pobyt na porodówce i konstatując, że „wszyscy tacy przejęci kryzysem demograficznym, ale dać jeść matkom się nie oplaca”. Tu w „przestrzeń po państwie”, dającym matkom niewiele ponad serek topiony, wchodzą funkcjonujące na terenie szpitali bufety. Ale przecież inne warianty tego samego zjawiska (np. plagę korepetycji w miejsce słabej publicznej edukacji itd.) moglibyśmy sobie bez trudu dośpiewać.

Choć to może nie zawsze miłe i przyjemne, czytajcie Państwo Zuzę Radzik, Marka Rabija i innych autorów z tego numeru. Będziecie Państwo zadowoleni. ©

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.



18 Pan jest robotem PIOTR ŚMIŁOWICZ

Sławomir Mentzen posiada cechy, które powinny go wykluczać z poważnej polityki i nie dawać mu szans w wyścigu prezydenckim. Tymczasem właśnie one stoją za jego sukcesami sondażowymi.

BOHATERKA Z OKŁADKI



28 Odrodziny Trójki

ROZMOWA Z AGNIESZKĄ SZYDŁOWSKĄ,
SZEFOWĄ PROGRAMU 3 PR:

Media publiczne powinny być wyłączone z komercyjnego obiegu, by robić swoje na najwyższym poziomie.

ROZMOWA NA WIELKI POST



44 Teraz jestem spokojny

ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM:

Wiem, że to już ostatni etap życia. Może będzie trwał rok, może pięć lat – ale ostatni. I bardzo wiele rzeczy w religii, w praktykach, w treściach wiary przestaje mieć takie znaczenie, jakie miały.

OBRAZ TYGODNIA

6 Izrael zrywa rozejm w Gazie
MAREK MATUSIAK

7-11 Komentarze i informacje

KRAJ

18 Pan jest robotem
PIOTR ŚMIŁOWICZ

22 Będzie państwo zadowolone
MAREK RABIJ: *Kilkanaście tysięcy seniorów co roku sprzedaje za grosze prawo do swojego mieszkania*

25 To tylko żarty
ANNA GOLUS:
Janusz Mirgos, kontrowersyjny korepetytor z TikToka

ROZMOWA

28 Odrodziny Trójki
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ SZYDŁOWSKĄ

ŚWIAT

34 Efekt Trumpa
MAŁGORZATA SIDZ:
Prezydent USA wywrócił kanadyjską politykę do góry nogami

38 Niemcy się zbroją
ŁUKASZ GRAJEWSKI:
Miliardy euro na poprawę stanu Bundeswehry i infrastruktury publicznej to też szansa dla Polski

39 Syryjskie laboratorium
KRZYSZTOF STRACHOTA:
Czy trwająca od 2011 r. wojna wreszcie się zakończyła?

41 Krzemowa tarcza Tajwanu
ROZMOWA Z THOMASEM J. SHATTUCKIEM, EKSPERTEM DS. TAJWANU, *o tym, że Donald Trump patrzy na bezpieczeństwo Tajpej z perspektywy ekonomii*

WIARA

44 Teraz jestem spokojny
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

48 Modlić się czy medytować
KS. JACEK PRUSAK:
Czym naprawdę jest praktyka kontemplacji?

TEMAT TYGODNIKA

12 Sumienie za klauzulą

IGNACY DUDKIEWICZ

Wadliwie sformułowana, źle stosowana i z lękiem dyskutowana. Jak przywrócić sens klauzuli sumienia oraz równowagę między prawami lekarzy i pacjentów?

PARILOV / ADOBE STOCK

FELIETONY

27 OLGA DRENDA
32 STANISŁAW MANCIEWICZ
52 ZUZANNA RADZIK
62 ELIZA KĄCKA
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA, MARZEC 2025 R.
FOT.: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

50 Dzieci wam pouciekają
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI o ks. Janie Kaczkowskim katechecie i dzisiejszych sporach o religię w szkole

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

HISTORIA

54 Gdybyśmy zdążyli
KRZYSZTOF PIĘCIAK:
Próba modernizacji polskiej armii w 1939 r. to lekcja historii, której warto nie powtarzać

NAUKA

58 Wysychamy
ROZMOWA Z PROF. MATEUSZEM GRYGORUKIEM, HYDROLOGIEM:
Coraz częstsze susze i powodzie to nie tylko kwestia zmian klimatu. To także konsekwencja tego, jak zarządzamy wodą

KULTURA

64 Pierwsze słowo gniew
MONIKA OCHĘDOWSKA o literaturze wobec wojny

68 Powracająca fala
DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
„Fala” Rafała Księżyka przynosi myśli dotyczące tego, co dzieje się dziś i co wydarzy się jutro

70 Cztery sceny
JAKUB MAJMUREK o „Dojrzewaniu” – serialu, który ogląda cały świat

73 Polecamy
GRA, PŁYTA, KOMIKS

74 Nie mów nikomu
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Jak zostałam perliczką” w reż. Rungano Nyoni

75 Mądrość i prostota
LEKTOR o książce Natalii Ginzburg „Małe cnoty”

ZMYSŁY

78 Cień czasu
GRZEGORZ JANKOWICZ:
W Rzymie otwarto właśnie wystawę obrazów religijnych Caravaggia. Takich, na których święci mają brud za paznokciami

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

JAK TO MOŻLIWE – ZOBACZ NA STRONIE

2



Zapisz się na newsletter
POWSZECZ.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECZ.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIKPOWSZECHNY



IZRAEL ZRYWA ROZEJM W GAZIE

PRZETRWAŁO DOKŁADNIE DWA MIESIĄCE: 18 marca Izrael zerwał zawieszenie broni – mając poparcie USA – i wznowił ciężkie bombardowania Strefy Gazy, zabijając tylko pierwszej nocy ponad 400 osób i raniąc 500 (łącznie liczba ofiar śmiertelnych po stronie palestyńskiej od początku wojny oscyluje wokół 50 tysięcy).

W kolejnych dniach armia izraelska wkroczyła do północnej, centralnej i południowej części Strefy. Izrael wznowił też – znane z pierwszej fazy konfliktu – niszczenie krytycznej infrastruktury. Np. 21 marca wysadzono gmach jedynej w Gazie szpitala onkologicznego, zbudowanego w 2017 r. ze środków tureckich. Nagranie eksplozji dostępne jest w internecie – wraz z głosami żołnierzy izraelskich, wykrzykujących „Baaam!”.

JAKA JEST PRAWDA | Wznowienie ataków na Gazę poprzedziła wprowadzona na początku marca blokada dostaw pomocy humanitarnej (w tym jedzenia, leków, paliw napędowych

Netanjahu pokazuje, że nie jest zainteresowany ani pokojem, ani politycznym rozwiązaniem – i ma w tym na razie poparcie Trumpa. Czy posunie się do czystki etnicznej w Strefie Gazy?

MAREK MATUSIAK

POWYŻEJ:

Mieszkanki Gazy w gruzach budynku po ataku izraelskim na obóz uchodźców Nuseirat w centralnej części Gazy. 23 marca 2025 r.

i grzewczych) oraz odcięcie prądu (zasilającego m.in. zakłady odsalania wody morskiej).

Winą za zerwany rozejm Izrael obarcza Hamas, który rzekomo odmawiał negocjacji w sprawie zwalniania kolejnych zakładników. Nie jest to prawda. Rozejm, wynegocjowany w styczniu, przewidywał trzy fazy. Pierwsza, trwająca od 19 stycznia do 1 marca, obejmowała czasowe wstrzymanie walk, opuszczenie przez siły izraelskie niektórych części Gazy (ale nie całej Strefy), odblokowanie dostaw pomocy i wymianę 33 Izraelczyków (25 żyjących i ciała ośmiorga) na niemal 2 tys. palestyńskich jeńców, więźniów, aresztantów i zakładników (tylko tym słowem można nazwać ludzi więzionych miesiącami bez żadnego trybu).

PRETEKST | Faza druga, której szczegóły miały być negocjowane w czasie fazy pierwszej, obejmować miała trwałe zakończenie walk, zupełne wycofanie wojsk oraz uwolnienie przez Hamas wszystkich żyjących Izraelczy-

ków (24 osoby). Ostatnia faza, najbardziej mglista, miała obejmować rekonstrukcję Strefy.

Na takie warunki zgodził się Izrael, na takie warunki zgodził się Hamas i takim warunkom patronowały USA. I pierwsza faza została zrealizowana w takim ustalonym kształcie. Choć nie bez problemów: w jednej z wymian Hamas zamiast ciała Izraelki przekazał szczątki niezidentyfikowanej kobiety, a Izrael tylko w ciągu pierwszego miesiąca zabił w Gazie 120 osób.

Potem jednak Izrael (wpieryany przez USA) nie był zainteresowany przejściem do fazy drugiej, a jedynie przedłużeniem pierwszej, tj. odzyskiwaniem kolejnych obywateli w zamian za tymczasowy rozejm, jednak bez wycofania wojsk, trwałego pokoju i zobowiązań politycznych. To też – nieprzewidziana w pierwotnych warunkach – propozycję (zwaną „planem Witkoffa”, od nazwiska przedstawiciela Trumpa) Hamas odrzucił. Izrael wykorzystał to jako pretekst do ataku.

„ZOSTAŁO ZAWALONE” | W reakcji na wersję o winie za zerwany rozejm, kolportowaną przez władze Izraela, a także w reakcji na materiały zachodnich mediów (te w odniesieniu do Izraela często używają asekuracyjnie form bezosobowych), Barak Ravid – jeden z najlepiej poinformowanych izraelskich dziennikarzy – napisał 18 marca na platformie X: „Zawieszenie broni nie »zawaliło się«, tylko »zostało zawalone« przez rząd Izraela. Rząd Izraela nigdy nie miał zamiaru w pełni wdrożyć porozumienia podpisanego dwa miesiące temu. Naruszył jedno z jego głównych postanowień, wycofał się z niego i próbował wymusić na Hamasie porozumienie alternatywne”.

To, że pełna realizacja styczniowych ustaleń jest wątpliwa, wiadomo było od początku. Wizja pełnego wycofania ze Strefy i trwałego zakończenia walk szła bowiem w poprzek wszystkiego, co rząd Izraela deklarował wcześniej. Można było mieć jednak nadzieję, że na trwałość rozejmu wpłynie Donald Trump. To on – chcąc mieć sukces już z chwilą objęcia urzędu – wywarł presję na Izrael, by ten zgodził

się wstrzymać wojnę. Można było liczyć, że Trump będzie do tego sukcesu dość przywiązany, aby – choćby z próżności – powstrzymać nowy wybuch konfliktu.

WIZJA TRUMPA | Tak się jednak nie stało. Już jako prezydent, Trump szybko oznajmił, że Hamas ma wypuścić wszystkich zakładników natychmiast, zaś w przeciwnym razie Izrael otrzyma od niego wolną rękę i w Gazie „wybuchnie piekło”.

Trump podzielił się też ze światem swą wizją przyszłości Strefy: zakładającą usunięcie z niej Palestyńczyków (naturalnie dla ich dobra) i przemienienie jej w luksusowy kurort pod patronatem USA. Izraelczyków mało co mogłoby ucieszyć bardziej (zwłaszcza pierwsza część planu).

Deklaracjom Trumpa towarzyszyło zdjęcie ograniczeń na dostawy wojskowe do Izraela (wprowadzone w 2024 r. przez Bidena) i zgoda na eksport uzbrojenia na łączną kwotę 12 mld dolarów, w większości bomb. To, co dzieje się dziś w Gazie, a także to, co jeszcze się tam wydarzy, następuje zatem z pełnym politycznym i wojskowym poparciem USA.

STAN ŚWIATA | Co dalej? Wszystkie wypowiedzi izraelskie i amerykańskie, a także dotychczasowe działania armii Izraela nakazują spodziewać się powrotu do długotrwałych i zmasowanych ataków, systematycznego niszczenia infrastruktury, a także wypędzania (pod pretekstem ewakuacji humanitarnej) ludności z kolejnych części Gazy. Biorąc pod uwagę, że Izrael i USA negocjują też z państwami Afryki (m.in. Sudanem, Somalią i Somalilandem) zgodę na przyjęcie Palestyńczyków, a także wciąż wywierają presję na Egipt, prawdopodobieństwo realizacji „planu Trumpa” – przynajmniej w zakresie „oczyszczenia” Gazy z Palestyńczyków – wydaje się coraz większe.

Czy do tego dojdzie, trudno przesądzić. Sam jednak fakt, że wizja czystki etnicznej na dwóch milionach ludzi, dokonanej wspólnie przez Państwo Żydowskie i USA, jawi się jako scenariusz realistyczny, mówi wiele o stanie świata. ©



Europa obronna

OLAF OSICA

W CHWILI, GDY ŚWIATOWY WYMIAR AMERYKAŃSKIEJ rewolucji MAGA przeżywa swoje pierwsze rozczarowania – nie ma rozejmu w Ukrainie, Grenlandia nie śpieszy się do niepodległości (o byciu kolejnym stanem USA nie wspominając), a nowy premier Kanady podnosi rękawicę rzuconą mu przez Trumpa i leci do Paryża z pierwszą wizytą zagraniczną – Europa konsekwentnie adaptuje się do nowej rzeczywistości.

Opublikowanie w zeszłym tygodniu „białej księgi” Komisji Europejskiej w sprawie europejskiej gotowości obronnej do roku 2030 nie gwarantuje jeszcze, że to wszystko, o czym dyskutuje się w Europie od początku lat 90. XX w., zostanie zrealizowane. Zaszczości i zalety w zbrojeniach i we wspólnym działaniu na polu bezpieczeństwa Europy są zbyt duże, aby nadrobić je w ciągu kilku lat.

Jednak wreszcie mamy plan, dobrze osadzony w kontekście politycznym, a nie zbiór brukselskich zakłęg.

Obok solidnej analizy realiów geostrategicznych i braków w zdolnościach wojskowych, „biała księga” uznaje Tarczę Wschód za projekt unijny. Mówimy tu nie tylko o polskiej granicy, ale o tej biegnącej od Finlandii przez Estonię, Łotwę i Litwę. Aby się skutecznie bronić, Unia buduje po prostu nową żelazną kurtynę na wschodzie.

Drugim ważnym komunikatem są pieniądze: suma do 150 mld euro pożyczek w ramach programu SAFE (Security and Action for Europe) i poluzowanie wskaźników długu dla państw unijnych, co ma zwiększyć ich możliwości inwestycyjne o kolejnych 800 mld euro. Do tego Europejski Bank Inwestycyjny szerzej otworzy się na projekty wojskowe (część z nich będzie mieć i tak podwójne, cywilno-wojskowe zastosowanie) i podwoi linię kredytową do 2 mld euro. Mamy też potwierdzenie i wzmocnienie współpracy z Ukrainą, zarówno gdy idzie o wsparcie dla niej, jak też o współpracę w ramach Europejskiej Agencji Zbrojeniowej i w ramach tzw. stałej współpracy strukturalnej.

Unia Europejska wchodzi w kolejny etap historii integracji. Jej fundamentem jest zegnanie się z Ameryką jako wiarygodnym gwarantem naszego bezpieczeństwa, budowa Unii Obronnej wokół realnego zagrożenia i spięcie polityki przemysłowej z polityką zbrojeniową. To wszystko bez konwentów, bez zmian traktatów i politycznego bicia piany.

Poparcie dla rewolucji zdrowego rozsądku, o której tyle mówi Trump, ma w Europie najwyraźniej większość. Oby jak najdłużej. ©



Koniec demokracji?

MAREK KĘSKRAWIEC

DYWAGACJE POSŁÓW OZDOBY, Suskiego i Kanthaka na temat zdrowia psychicznego prokurator Wrzosek oraz tego, w jaki sposób trzeba ją popchnąć, żeby się nie wywróciła – to nowy poziom, na który zeszła nasza polityka. Można by od biedy zrozumieć trzech chłopów, którym przy nadmiarze alkoholu fantazja dodała wieczorową porą odwagi w walce z „morderczą” prokuratorką, ale w tym przypadku obserwowaliśmy prominentnych polityków PiS z wianuszkiem trzech wychowawczych wokół, którym w środku dnia nie przeszkadzały kamery telewizyjne.

Dobrze to oddaje atmosferę w partii, która próbuje powstrzymać zjazd sondażowy Karola Nawrockiego, czyniąc z pogrzebu Barbary Skrzypek akt założycielski nowego mitu tworzonego wokół „pierwszej śmiertelnej ofiary demokracji walczącej”. Strategia PiS jest tu dość czytelna. Partia, która ma na koncie świadome obchodzenie konstytucji i niszczenie niezawisłości najważniejszych instytucji wymiaru sprawiedliwości, przedstawia obecną władzę jak autorytarnego potwora, z którym trzeba się w przyszłości bezwzględnie rozprawić.

Jeśli PiS kiedykolwiek wróci do władzy, będzie to oznaczało, że wyborcy akceptują faktycz-

ny koniec demokracji w formie, jaką znaleźliśmy do tej pory. Kaczyński nawet specjalnie nie ukrywa, gdzie chciałby widzieć Tuska z Bodnarem, więc zrobi wszystko, by przyszedł Sejm z rządem przejęły pełną kontrolę nad trzecią władzą. Mówienie o tym w czasie, gdy partia jest w opozycji, a jej kandydat nie ma większych szans na Pałac, może się wydawać fantastyką, jednak wystarczy spojrzeć na notowania gabinetu Tuska, by stać się pewnym tego, że nic nie jest pewne. PiS nie musi wrócić do władzy w obecnym kształcie i pod tym samym kierownictwem, może ulec skutecznej transformacji, formując odmłodzone kształty przy pomocy np. Konfederacji (i części PSL). To zaś nie będzie twór oparty na recepturach Unii Europejskiej, ale tych Orbána, Trumpa, Le Pen i Weidel. Co to może dla nas znaczyć w obecnej sytuacji międzynarodowej, lepiej sobie nie wyobrażać.

Nie byłoby jednak sprawy Skrzypek, gdyby nie fatalna decyzja o oddaniu śledztwa wokół „dwóch wiez” w ręce Ewy Wrzosek, prokuratorki kiedyś bezwzględnie szukanowanej przez ludzi Ziobry za swą odwagę, ale dziś łamiącej – niestety – podstawowe standardy. Naprawdę, można było tego uniknąć. ©®

Politycy PiS na pogrzebie Barbary Skrzypek. Gorlice, 22 marca 2025 r.



TADEUSZ KONIARZ / REPORTER



Stopnie absurdu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

BARBARA NOWACKA, TWIERDZI TYGODNIK „Newsweek”, chce zlikwidować ocenę z zachowania w polskiej szkole. Nieśmiertelne – jak wiele innych rzeczy w naszym systemie oświatowym – „wzorowe”, „bardzo dobre”, „dobre”, „poprawne”, „nieodpowiednie” i „naganne” mają stopniowo ustępować formule opisowej (obowiązującej już zresztą w klasach 1-3 podstawówek). A wysłanie „królowej ocen” do muzeum szkolnictwa ma się podobno dokonać w 2026 roku, przy okazji mającej się właśnie wtedy rozpocząć reformy podstaw programowych.

Że byłaby to zmiana dobra, nie trzeba już chyba dzisiaj nikogo specjalnie przekonywać. No, może poza częścią rodziców, najbardziej chyba konserwatywną siłą polskiej edukacji, stojącą często w obronie ocen w myśl zasady: „Zawsze tak było, i nikomu to nie przeszkadzało, w dodatku wyszliśmy na ludzi”. W tym przypadku nie ma czego za bardzo bronić: jak pisała na profilu Centrum Edukacji Obywatelskiej była nauczycielka i ekspertka oświatowa Danuta Sterna, oceny z zachowania to relikwety socjalizmu, trzymający się mocno tylko w Polsce i na Białorusi.

Patologią jest zarówno wymuszona przez prawo oświatowe konieczność etykietowania uczniów, jak i powstające na bazie tego prawa szkolne statuty.

Dekretują one często punktowy szablon oceniania – największy absurd tego systemu. Pobiłeś koleżankę? Dostajesz 30 punktów ujemnych – na szczęście jednak możesz je wykasować wolontariatem w schronisku dla psów. Absurdem jest też zresztą praktyczne umocowanie stopni z zachowania: przydać mogą się one wyłącznie do tzw. świadectwa z paskiem, bo poza tym nie skutkują niczym (niczym w sensie praktycznym, bo psychologicznie mogą narobić wyłącznie szkód).

Plany MEN, o ile się ziszczą, są zatem chwałebne. Byle tylko nie zostały wprowadzone – jak to bywa nader często – kosztem nauczycieli. Tych trzeba do nowego, opisowego systemu oceniania przeszkolić, a także zastanowić się, czy nowe porządki nie zwiększą aby nakładu pracy i biurokracji. I prostym językiem wyjaśnić tę rewolucyjną zmianę społeczeństwu, głównie rodzicom.

Fakt, że coś istniało „od zawsze”, nie oznacza, że było dobre. ©®

NA PUNKTY

MIŁO

„Jesteś gangsterem i bandytą” – podsumował działania Adama Bodnara jego poprzednik w resorcie sprawiedliwości, Zbigniew Ziobro. „A jeśli myślisz, że ujdzie Ci to płazem, to – wbrew profesorskiemu tytułowi – masz rozumek Puchatka” – dodał. „Pozdrowienia ze Stumilowego Lasu!” – odpowiedział Bodnar, a cała ta miła konwersacja odbyła się, zgodnie z bieżącymi zwyczajami, na portalu X.

MILEJ

À propos gangsterów: jednym z niechcianych chyba leitmotiwów kampanii prezydenckiej Karola Nawrockiego jest tłumaczenie się kandydata z napisanej pod pseudonimem „Tadeusz Batory” biografii „Nikosia”. Niezależnie od tematu i klasy dzieła, największe wrażenie robi chyba fakt, że w przeszłości dzieło Batyry wychwalał... Nawrocki.

NAJMILEJ

Coraz głośniejsze mówi się o możliwej zmianie kandydata PiS. Na kogo? W ubiegłym tygodniu największą uwagę zwrócił na siebie poseł Janusz Kowalski: utwór, do którego zatańczył w studiu telewizji w Polsce24, był wprawdzie autorstwa niemieckiego zespołu Snap!, ale przecież nikt nie jest doskonały. ©P



MACIEK MÜLLER

Tak się buduje synodalność

DIECEZJA LIMBURG W ZACHODNICH Niemczech, w której urzęduje bp Georg Bätzing, wzorem innych kurii niemieckich utworzyła w marcu stanowisko referenta ds. spraw księży. Idąc jednak o krok dalej, zatrudniła na nim kobietę – 40-letnią teologkę Lindę-Marię Gall. Ma ona doświadczenie katechetyczne i coachingowe, ostatnio zarządzała diecezjalnym referatem ds. powołań.

Referentka będzie miała wobec księży zadania zarówno nadzorcze, jak i wspierające. Ma – według Georga Franza, diecezjalnego kierownika kadr – towarzyszyć duchownym w ich pracy, dostarczać im feedbacku oraz pomagać w sytuacjach kryzysowych, związanych np. ze zmianą parafii czy przejściem na emeryturę. Krótko mówiąc: chodzi o stworzenie księżom „wspierającego” i stabilnego środowiska pracy. Gall uważa, że Kościół może być atrakcyjnym pracodawcą, jeśli będzie nie tylko z uwagą dobierał pracowników, ale i długoterminowo im towarzyszył. I podkreśla, że ważne jest okazywanie im uznania.



Tworzenie podobnych stanowisk zalecili biskupi po opublikowanym w 2018 r. raporcie na temat nadużyć seksualnych. Analizując wzorce tych nadużyć, autorzy raportu zarekomendowali, by księża mogli liczyć na komunikację ze swoimi przełożonymi, a także oczekiwać z ich strony wsparcia duchowego, psychologicznego oraz dotyczącego warunków pracy.

Funkcja referentki ds. księży dla Lindy-Marii Gall to kolejna głośna nominacja kobiety na wysokie stanowisko w Kościołach lokalnych. Miesiąc temu bp Josef Marketz z austriackiej diecezji Gurk-Klagenfurt mianował Barbarę Velik-Frank biskupią wikariuszką ds. synodalności. Musiał w tym celu stworzyć stanowisko nieopisane w prawie kanonicznym, które przewiduje funkcję wikariusza jedynie dla kapłana. Hierarcha jest tego świadom, dlatego przywołał apel papieża Franciszka, który zachęcał do wzmacniania roli świeckich oraz do kreatywności we wcielaniu w życie synodalności. Delegatki biskupie o różnych kompetencjach działają także w dwóch diecezjach szwajcarskich oraz jednej z belgijskich. ©P

ARCHIWUM PRYWATNE



Nasze wybory na celowniku Rosji

WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

WIELE SYGNAŁÓW” WSKAZUJE, iż moskiewskie służby będą próbowały wpływać u nas na kampanię – ostrzega przewodniczący komisji służb specjalnych Marek Biernacki. Jednym z ich celów ma być prezydent Andrzej Duda.

Czego można się spodziewać? Spójrzmy, co się dzieje u naszych sąsiadów. Słowacy w przeddzień wyborów zobaczyli sfalszowane nagranie, na którym ówczesny premier Michal Šimečka opowiadał, że

jego partia kupowała głosy. I drugie, z zapowiedzią drastycznych podwyżek cen piwa. Rumuni doświadczyli propagandowego blitzkriegu: dzięki 130 influencerom i 25 tys. powtarzającym ich przekazy kontom na TikToku, w dwa tygodnie Călin Georgescu z szerzej nieznanego kandydata stał się zwycięzcą pierwszej (potem unieważnionej) tury wyborów. Firma-krzak z RPA miała za to zapłacić zaledwie milion euro. Mołdawia przeżyła szturm ro-

syjskiej propagandy i bezcenne kupowanie głosów (płacił prorosyjski oligarcha Ilan Șor) oraz brutalny cyberatak w dniu wyborów.

Rosjanie dopracowują metody, a w centrum ich operacji znajdują się nasze polsko-polskie awantury. „Oni nie generują nowych pomysłów. To będą działania, które będą się wpisywać w polską grę polityczną” – stwierdził Biernacki w Polsce.

Infrastrukturę już mają. Na początku marca organizacja In-

sight News Media opisała działającą w Polsce sieć portali rozsiewających rosyjską propagandę, m.in. szczerzących na Ukrainę i Ukraińców, straszących migrantami i Unią. Często to treści słowo w słowo tłumaczone ze Sputnika czy RT.

Ataków można się też spodziewać w realu. Od podobnych do zeszłorocznych podpałów, po puszczanie na naszą granicę migrantów w celu podgrzewania strachu i nieufności. To rosyjska specjalność.

Już w styczniu wicepremier Krzysztof Gawkowski zapowiedział stworzenie „parasola ochronnego” nad wyborami. Niedługo przekonamy się, czy parasol nie przecieka. ©

Kirsty Coventry: prezydentka sportu

IGRZYSKA ■ To nie jest aż tak zaskakujący wybór, jak opisują go media. Niespodzianką jest jedynie to, że w głosowaniu na przewodniczącego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego na 144. Sesji MKOl w greckim Costa Navarino – określanym mianem olimpijskiego konklawe – rozstrzygająca była już pierwsza runda.

41-letnia Kirsty Coventry (na zdjęciu) otrzymała w niej wymaganą większość głosów, pokonując sześciu mężczyzn kontrkandydatów i zostając pierwszą kobietą, która po ponad 130 latach i dziesięciu poprzednikach obejmie prezydenturę MKOl: najwyższe, mimo kryzysów dotyczących olimpizmu, stanowisko w światowym sporcie. Obejmuje je w dodatku jako pierwsza osoba z Afryki i najwybitniejszy sportowiec spośród dotychczasowych przewodniczących. Jako pływaczka specjalizująca się w stylu grzbietowym, Coventry wywalczyła dla Zimbabwe siedem medali, w tym złote w Atenach i Pekinie.



AARON UFUMELI / AP / EAST NEWS

Historyczny wybór to oczywiście dobra wiadomość dla sportu kobiecego i ochrony jego olimpijskiego statusu. Już za kadencji Thomasa Bacha – jej poprzednika i zarazem cichego promotora (Coventry przewodziła wtedy komisji zawodniczej MKOl) – igrzyska uzyskały pełny parytet pod względem płci. Jednak nie przekłada się to jeszcze dostatecznie na siłę głosu działaczek sportowych.

Dla Afryki wybór Coventry jawi się niemal jak obietnica igrzysk na tym kontynencie. Choć jeśli Coventry nie pohańcuje olimpijskiej gigantomanii, żaden afrykański kraj (może poza Marokiem i RPA) nie będzie w stanie sprostać organizacyjnemu zadaniu.

Czy Kirsty Coventry, wcześniej pełniąca funkcję ministry sportu w Zimbabwe, rządzonego przez skorumpowanego prezydenta, sprostą wyzwaniu powstrzymania korupcji, z której zarzutami MKOl mierzy się przy niemal każdych igrzyskach? Jej powybiorcze deklaracje każą też wątpić, czy będzie zdolna oprzeć się umizgom i naciskom Rosji i Białorusi, które domagają się pełnoprawnego powrotu ich sportowców na arenę. Oraz wpływowi Donalda Trumpa, gospodarza kolejnej letniej olimpiady w 2028 r. w Los Angeles. © BARTEK DOBROCH



ARCHIWUM PRYWATNE

MAJA KUŹMICZ, KIEROWNICZKA „NIEBIESKIEJ LINII” IPZ:

Przemoc działa na zasadzie kuli śnieżnej – im dłużej trwa, tym jest silniejsza.

ANNA GOC: „Nie pumozę całowanie / Jak chłop z piściom przy cie stanie córule moja” – śpiewa Dagadana w teledysku, który ma premierę na 30-lecie „Niebieskiej Linii”. Pieśń jest pełną ostrzeżeń rozmową matki z córką. Jaka jest dziś skala przemocy domowej?

MAJA KUŹMICZ: System zbierania danych o przemocy domowej w Polsce jest słaby. Dane gromadzą różne instytucje, które są zaangażowane w przeciwdziałanie przemocy – od policji, poprzez ośrodki pomocy społecznej, oświatę, po ochronę zdrowia. Każda robi to na swój użytek i w inny sposób. Gdy wystąpiliśmy do najważniejszych instytucji o udostępnienie danych, okazało się, że część z nich jest pozaszywana w innych statystykach i wyłuskanie ich jest właściwie niemożliwe.

„Mów o tym, co dzieje się w domu” – tym hasłem, będącym odwróceniem znanego powiedzenia, kończy się teledysk. Milczenie to kolejna przyczyna tego, że przemoc jest niedoszacowana.

Poruszenie przez zespół Dagadana wątku przemocy domowej jest ważne społecznie: pokazuje siłę przekazów rodzinnych, ale pobudza też do refleksji, a od tego zaczyna się zmiana. Wciąż wiele osób nie szuka pomocy na zewnątrz, w instytucjach, bo żywy jest mit, że o tym, co dzieje się w domu, nie powinno się mówić. W złąkę milczenia zaangażowani są wszyscy domownicy, a osoby pokrzywdzone cierpią w samotności i w poczuciu, że ich sytuacji nie da się zmienić.

Przemoc działa na zasadzie kuli śnieżnej: im dłużej trwa, tym jest silniejsza. Sama się nie skończy. Żeby ją zatrzymać, ktoś musi zainteresować.

Ile telefonów odbierają tygodniowo eksperci „Niebieskiej Linii”?

Telefoniczna poradnia dla osób w kryzysie emocjonalnym odbiera tygodniowo około czterech tysięcy połączeń. Dużą część stanowią osoby z doświadczeniem przemocy domowej. Dzwonią głównie kobiety, choć coraz częściej też mężczyźni. Także świadkowie przemocy – bliscy, którzy chcą interweniować.

Jako „Niebieska Linia” nie mamy możliwości interwencji bezpośredniej. Zawiadamiamy policję, która interweniując na miejscu, może zdecydować o natychmiastowym nakazie opuszczenia mieszkania i zakazie zbliżania się.

Średnio około pół tysiąca osób rocznie przychodzi do nas po pomoc i zostaje z nami w dłuższym kontakcie. Część z tych osób potrzebuje natychmiastowej pomocy, co oznacza, że jest w poważnym zagrożeniu.

Od czego zaczyna się wychodzenie z przemocy domowej?

Od powiedzenia komuś o tym, co dzieje się w domu. „Problemy są w wielu domach” – podobnymi stwierdzeniami bagatelizuje się zachowania sprawcy i minimalizuje skutki przemocy. Często osoby krzywdzone obarczane są odpowiedzialnością za przemoc. Kampanijne hasło sprzed prawie trzydziestu lat „bo zupa była za słona” w niektórych domach wciąż zdaje się być aktualne, na szczęście nie jest już normą.

Osoby, które do nas dzwonią, podkreślają, że najważniejsze było to, że ktoś je wysłuchał i im uwierzył. I podał konkretne rozwiązania, które pomagają wyjść z przemocy.

© P Rozmawiała ANNA GOC

MAJA KUŹMICZ

kieruje „Niebieską Linia” Instytutu Psychologii Zdrowia od 2023 r. Psycholożka, trenerka, superwizorka.

Żegnaj, Kanzi

NIEZWYKŁE UMYSŁY ■ Jeszcze nad ranem gonił po drewnianej wieży stojącej w ośrodku Ape Initiative w amerykańskim Des Moines swojego syna, Teco. Po śniadaniu zdążył odbyć sesję iskania z siostrzeńcem – Nyotą. Jak podały w komunikacie władze ośrodka, Kanzi od dawna leczył się na serce, ale nie zdradzał żadnych niepokojących objawów. W pewnym momencie stracił przytomność i już jej nie odzyskał. Zmarł 18 marca, w wieku 44 lat, w miejscu, które od przeszło dekad było domem jego i kilkorga innych małp uczonych yerkish – sztucznego języka zaprojektowanego przez ludzi pierwotnie po to, by komunikować się z dziećmi w spektrum autyzmu.

Pisaliśmy o nim jako o „najbardziej elokwentnym szympanse na świecie”, bo przy pomocy abstrakcyjnych obrazków odpowiadających różnym słowom potrafił komunikować swoje życzenia i zachcianki, odpowiadać na pytania, prowadzić rozmowę. Rozumiał też sporo mówionego angielskiego – według jednego z testów, przeprowadzonego dekadę temu, więcej niż 2,5-letnie dziecko. On sam był

młodszy, gdy jego pierwsi opiekunowie, Duane Rumbaugh i Susan Savage-Rumbaugh, zorientowali się, że rozumie różne wypowiedzi w yerkish i angielskim, mimo że się ich nie uczył. Był świadkiem, jak inne, starsze małpy pobierały językowe lekcje w tym samym laboratorium, w którym się od urodzenia wychował. Język przyswajał nie w żmudnym treningu, jak wcześniej inne małpy, ale podobnie jak dzieci – podpatrując, podsłuchując i wchodząc w interakcje z ludźmi.

Z czasem został małpim naukowym celebrytą, choć różni ludzie naukowcy celebryci długo nie chcieli uwierzyć w jego umiejętności. Bo nie

potrafili udowodnić, że szympanse nie brakuje wyobraźni i że potrafią one myśleć o innych małpach i ludziach jako osobach, mających swoje cele, pragnienia czy wiedzę. A więc jako o kimś, z kim można i warto się komunikować.

Od dawna przebywał na naukowej emeryturze – mało kogo obchodziło jeszcze, co ma do powiedzenia. Jego nasiąknięty ludzką kulturą małpi umysł był unikalny w całej przyrodzie, a my zmarnowaliśmy mnóstwo okazji do tego, by go lepiej poznać. To on z pewnością lepiej zrozumiał nas, niż my jego.

© P ŁUKASZ KWIATEK

Autor, wydawca, dystrybutor: kto powinien zarabiać na książce

KSIĄŻKI ■ Kiedy kupujemy książkę w cenie, którą wydawca zaproponował na okładce (choć częściej zamawiamy ją w dużej księgarni wysyłkowej z wysokim rabatem), autorka bądź autor otrzymują z tytułu tantiem 5 proc. ceny okładowej. Przy cenie wynoszącej 45 zł będzie to 2,25 zł. Wydawca, po odjęciu kosztów produkcji, zarabia prawie trzy razy więcej. Dystrybutor ma zaś z każdego egzemplarza ok. 12 proc. Czy taki podział zysków jest w porządku?

Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka popularnej książki „Chłopki” (dotąd do księgarni trafiło ok. 540 tys. jej egz.), uznała, że nie, i – powołując na art. 44 prawa autorskiego, tzw. klauzulę bestsellerową – postanowiła renegotjować warunki swojej umowy z wydawcą. Klauzula bestsellerowa to przepis, który umożliwia podwyższenie wynagrodzenia przewidzianego przed wydaniem książki.

Rozmowy obu stron trwają jednak na tyle długo, że sprawa trafi do sądu. W tym samym czasie będzie się tam toczyć inny branżowy spór. Otóż należąca do grupy Empik spółka Virtualo domaga się od Legimi zapłaty ponad 450 tys. zł za niewłaściwe, jej zdaniem, rozliczenia wypożyczeń bibliotecznych tytułów dwóch wydawnictw: Grupy Marginesy (wydawcy „Chłopek”) i Wydawnictwa Poznańskiego.

Spór autorki „Chłopek” z wydawcą sprawił, że zaczęto publicznie rozmawiać o pieniądzach i umowach, dzielić się doświadczeniami oraz doradzać w kwestii negocjacji – słusznie. Inna sprawa, że wydawcy zaczęli spierać się ze swoimi autorami i autorkami o to, kto w całym ekosystemie mierzy się z największymi trudnościami. Wszyscy są rozgoryczeni i mają rację. Dopóki praw wydawców, autorów, tłumaczy oraz księgarni kameralnych nie będzie chroniła porządna ustawa o książce, narzucająca całej branży transparentność, tego typu spory i pozwy nieustannie będą się powtarzać.

© © MONIKA OCHĘDOWSKA



SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

BARTOSZ MINKIEWICZ

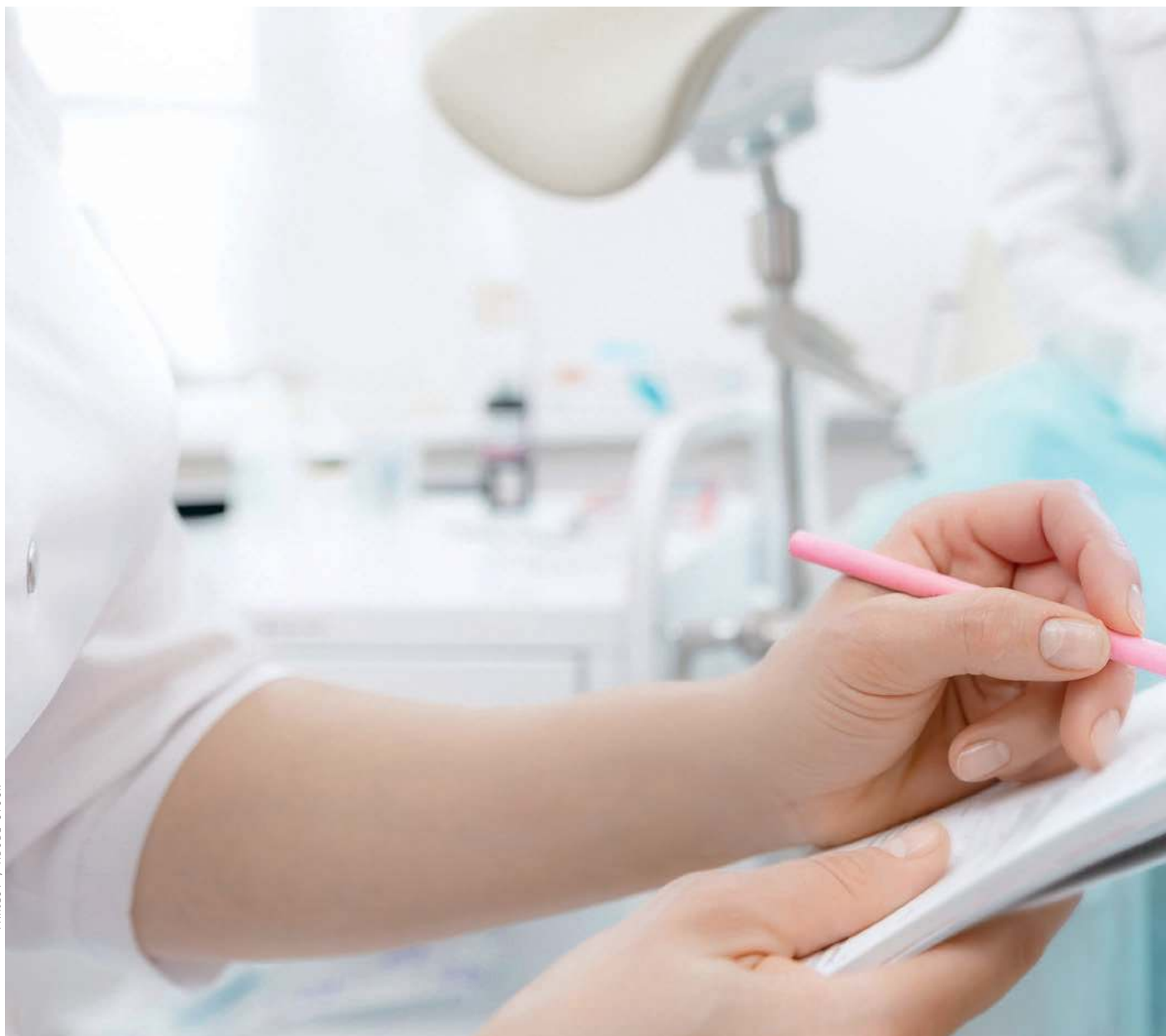
Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



SUMIENIE ZA KLAUZULĄ

Wadliwie sformułowana, źle stosowana i z lękiem dyskutowana.
Jak przywrócić sens klauzuli sumienia oraz równowagę
między prawami lekarzy i pacjentów?

IGNACY DUDKIEWICZ



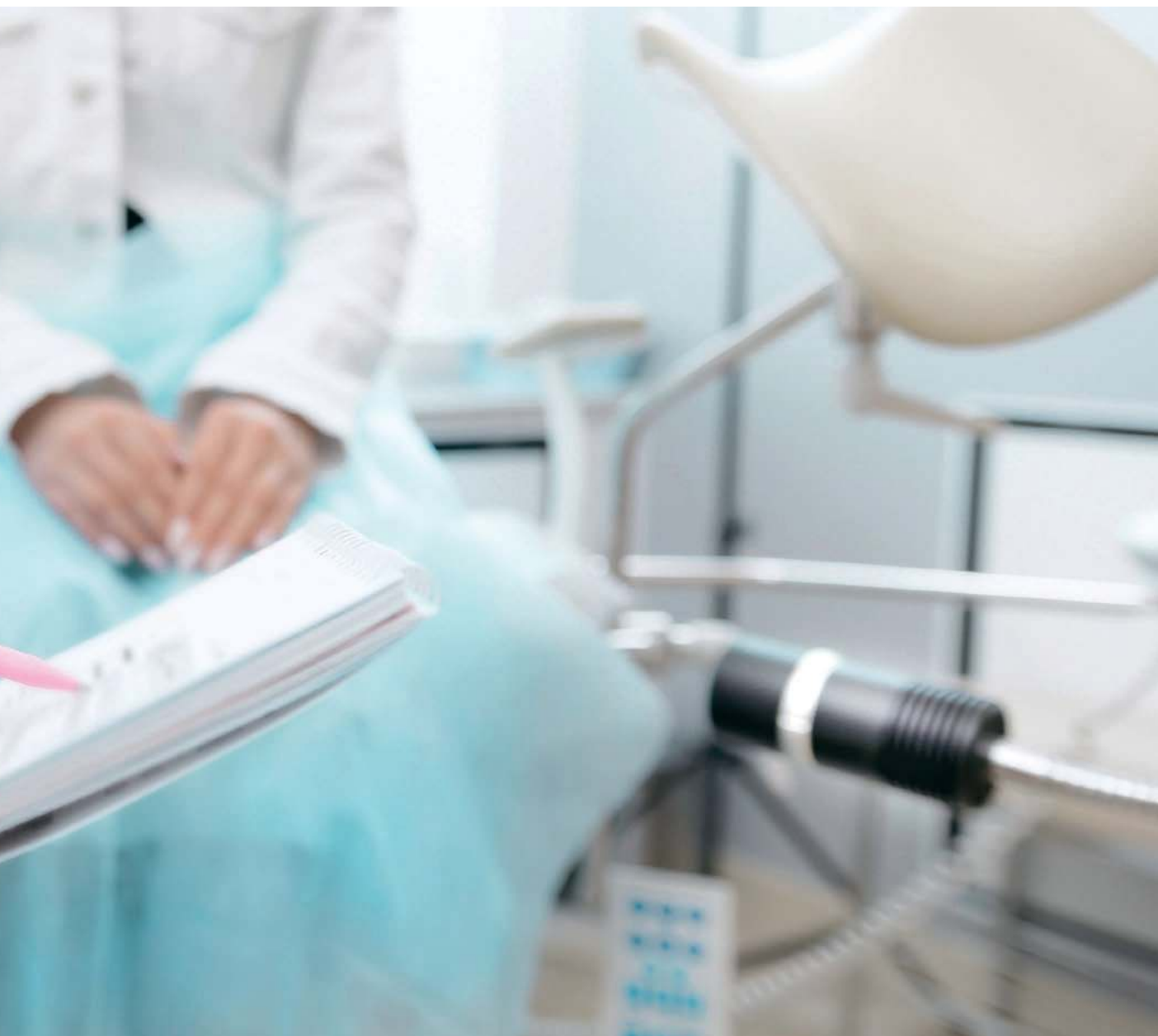
DO SZPITALA IM. ŚWIĘTEJ RODZINY w Warszawie zgłosiła się pacjentka w ciąży, w przypadku której zdiagnozowano letalną wadę płodu. Był rok 2014, wówczas stanowiło to przesłankę pozwalającą na legalną aborcję. Dyrektor placówki, prof. Bogdan Chazan, odmówił. Nie od razu powołał się na tzw. „klausulę sumienia”. Przeciągał procedury, zlecał kolejne badania. Nie wskazał – do czego obligowały go przepisy, dziś już nieobowiązujące – innej placówki, w której terminacja ciąży byłaby jeszcze możliwa. „Rozszerzył” własne sumienie na cały szpital, w efekcie czego inni lekarze nie byli autonomiczni przy decyzji o udziale w przerwaniu ciąży. Gdy wreszcie powołał się na klauzulę, było za późno na zgodną z prawem aborcję.

Pacjentka została zmuszona do urodzenia, dziecko zmarło 10 dni później. Nie miało choćby mikroskopijnych szans na przeżycie.

Chazan stracił stanowisko, w obronę wzięła go część polityków, mediów, organizacji społecznych, także biskupi. W gorącej atmosferze apeli, odezwy i demonstracji umykała istota sprawy. Nie był nią stosunek Chazana do aborcji czy nawet jego odmowa jej wykonywania. Istotą było nadużycie klauzuli sumienia, co potwierdziły organy państwa: Narodowy Fundusz Zdrowia nałożył na szpital karę, a prokuratura umorzyła śledztwo z braku znamion przestępstwa, jednocześnie informując, że Chazan rzeczywiście nie dopełnił obowiązków związanych z klauzulą i stosował ją nieprawidłowo.

Obowiązek czy przywilej

Prawidłowo opisana w prawie i praktykowana w życiu, klauzula sumienia pozwala jednocześnie zabezpieczyć dwie fundamentalne wartości: z jednej strony prawo pacjenta do uzyskania opieki medycznej na najwyższym możliwym poziomie, z drugiej zaś moralną integralność personelu medycznego. I dotyczy to nie tylko terminacji ciąży – tłumaczy prof. Filip Dąbrowski, ordynator Klinicznego Oddziału Położnictwa i Ginekologii w Szpitalu Białymskim w Warszawie. Klauzula sumienia ma bowiem pomóc znaleźć wyjście z sytuacji, gdy moralne normy wchodzą ze sobą w nierozwiązywalny konflikt. Jej celem jest zapewnianie poszanowania praw różnych grup w systemie ochrony zdrowia, ale także społecznego ładu i pluralizmu. ➔



→ Jako idea ma więc duży sens. Tyle tylko, że w Polsce nie działa, jak należy.

W różnych formach klauzula sumienia występuje w zdecydowanej większości krajów Europy. Jest też silnie ugruntowana w prawodawstwie. Nawet tam, gdzie nie jest opisana w prawie wprost, wielu prawników jest gotowych wyprowadzać ją bezpośrednio z konstytucji danego kraju oraz prawa międzynarodowego.

W takim rozumieniu klauzula sumienia nie jest przywilejem. Przeciwnie: w przypadku personelu medycznego nakłada ograniczenia w sferze przysługującego wszystkim prawa do sprzeciwu sumienia, będącego jednym z fundamentów demokracji. Limitować można je zaś tylko w imię ochrony innych dóbr (na przykład życia i zdrowia) i wyłącznie ustawą.

Według drugiej interpretacji – częstszej wśród bioetyków niż prawników – klauzula sumienia to przywilej, który został nadany, ale mógłby zostać również cofnięty, bo według ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania „korzystanie z wolności sumienia i wyznania nie może prowadzić do uchylania się od wykonywania obowiązków publicznych nałożonych przez ustawy”. Przedstawiciele zawodów medycznych zawierają zaś ze społeczeństwem wyjątkowy w swej doniosłości kontrakt: obiecują chronić ludzkie życie i zdrowie, a także zapewnić wszystkie gwarantowane prawem świadczenia, w zamian za monopol na praktykowanie medycyny i jej finansowanie ze środków publicznych. To nie wyklucza istnienia klauzuli sumienia, ale zmienia jej rozumienie.

Niezależnie od perspektywy, sprzeciw sumienia w ochronie zdrowia powinien być obwarowany warunkami, których spełnienie zapewni równowagę między ochroną moralnej integralności członków personelu medycznego a zabezpieczeniem praw pacjenta.

W Polsce tej równowagi nie ma.

Wyrok niezrealizowany

Ustawowo sprawa jest uregulowana tylko w przypadku lekarzy oraz pielęgniarek i położnych. O podobne rozwiązania zabiegają co jakiś czas także inne grupy zawodowe: farmaceuci (choć oni napotykają kłopot związany z orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który już ćwierć wieku temu orzekł, że uniemożliwienie im odmowy sprzedaży leków nie narusza ich praw), diagnosty laboratoryjni (którzy jak na razie wpisali prawo do sprzeciwu sumienia do swojego kodeksu etyki), studenci kierunków medycznych, sanitariusze, a nawet pracownicy administracji ochrony zdrowia.

Brzmienie art. 39 z ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentystry, dotyczącego klauzuli sumienia, ulegało przy tym zmianom – ostatnio w 2015 r. po wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Naczelna Rada Lekarska zaskarżyła artykuł niemal w całości, postulując usunięcie z niego większości ograniczeń. Sukces odniosła częściowy. Za zgodne z Konstytucją Trybunał uznał wymogi uprzedniego informowania przełożonego o woli powoływania się na klauzulę sumienia oraz odnotowywania i uzasadniania takich sytuacji w dokumentacji medycznej. Za niezgodne z zasadami prawidłowej legislacji, bo nieprecyzyjne, uznał ograniczenie

możliwości powoływania się na klauzulę sumienia „w innych sytuacjach niecierpiących zwłoki” (w tym zakresie ustawa została znowelizowana w 2020 r.).

Co jednak najważniejsze, za niezgodny z Konstytucją uznał tzw. „obowiązek informacyjny”, który głosił, że lekarz powołujący się na klauzulę sumienia „ma obowiązek wskazać realne możliwości uzyskania tego świadczenia u innego lekarza lub w podmiocie leczniczym”. Samorząd lekarski argumentował, że to warunek w praktyce niemożliwy do spełnienia, a moralnie nie do przyjęcia (gdyż w ocenie części lekarzy podobny czyn oznaczałby uczestnictwo np. w przerwaniu ciąży). Trybunał zastrzegł przy tym, że rozwiązanie zapewniające dostęp do informacji o możliwościach realizacji przewidzianych prawem świadczeń musi istnieć.

To zalecenie Trybunału nigdy nie zostało zrealizowane.

Aborcja się nie opłaca

W efekcie powołanie się przez lekarza na klauzulę sumienia często skazuje pacjenta na ciężką przeprawę. Nie wiemy, jak wielu lekarzy odmawia np. przerwania ciąży (to niejedyny, ale najczęstszy przypadek stosowania klauzuli sumienia w Polsce). Mamy jednak poszlaki. Dr Weronika Chańska z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego w książce „(Nie) poradność systemowa” wskazuje, że lekarze często starają się „dać do zrozumienia, że wyegzekwowanie przez pacjentkę prawa do przerwania ciąży będzie trudne i że musi przygotować się na stoczenie walki z systemem ochrony zdrowia”. Wielu lekarzy wie bowiem, jak ciężko o dokonanie zgodnego z prawem

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

 **InPost**

Twój Tygodnik bliżej, niż myślisz.

Dostawa za darmo przez InPost Paczkomat®

szczegóły oferty na II stronie okładki

przerwania ciąży w Polsce, zwłaszcza w niektórych regionach.

Na to, że odmów nie brakuje, wskazuje także prof. Dąbrowski. Na kierowanym przez niego oddziale dokonuje się najwięcej aborcji z ustawowych przesłanek w Polsce. – W wielu szpitalach w Polsce króluje podejście merkantylne. Trafiają do nas pacjentki po pełnej, bardzo zaawansowanej diagnostyce. Ta jest wykonywana chętnie, bo jest atrakcyjnie rozliczana przez Narodowy Fundusz Zdrowia – opowiada. – A terminacja ciąży już się nikomu nie opłaca, jest problemem, bywa powodem napiętnowania.

Muszą się z tym mierzyć również lekarze z jego oddziału. – Fakt, że dokonujemy największej liczby terminacji ciąży w Polsce, jest dla mojego oddziału dużym obciążeniem – przyznaje. – Zajmujemy się leczeniem płodów, terapią wewnątrzmaciczną, leczeniem onkologicznym, chirurgią robotyczną. Wykonujemy ogromną pracę, żeby leczyć ludzi, w trudnych sytuacjach doprowadzać ciężę do szczęśliwego zakończenia u bardzo chorych pacjentek. A terminacje ciąży często są związane z dużymi emocjami, zarówno pacjentek, jak i personelu. Jesteśmy z nimi, a sami jesteśmy pozbawieni systemowego wsparcia. Za to czytamy szkalujące nas artykuły lub widzimy samochody z obrzydliwymi hasłami parujące pod oknami szpitala.

Podkreśla, że przerwanie ciąży to z medycznego punktu widzenia prosta procedura, która „powinna odbywać się wszędzie tam, gdzie jest podpisany kontrakt z NFZ-em”. – To nie znaczy, że każdy lekarz ma mieć obowiązek ją przeprowadzać, ale powinna być dostępna, bo kontrakt podpisuje się na pełny koszyk świadczeń w danej dziedzinie – komentuje. – Unikanie tego naraża pacjentki na dodatkowe koszty, stres, niekiedy na konsekwencje zdrowotne. To przerażające, że pacjentki z całej Polski muszą pokonać setki kilometrów, żeby uzyskać prostą procedurę, która jest zapewniona w koszyku świadczeń.

Muszą między innymi dlatego, że niektórzy ordynatorzy czy dyrektorzy rozszerzają klauzulę własnego sumienia na całą placówkę. W 2005 r. Ministerstwo Zdrowia podjęło w tej sprawie walkę, zobowiązując publiczne zakłady opieki zdrowotnej do zapewniania dostępności aborcji w sytuacjach określonych w usta-



ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

**PROF. FILIP DĄBROWSKI,
SZPITAL BIELAŃSKI W WARSZAWIE:**

Badania prenatalne
służą diagnozowaniu,
a potem leczeniu, również
wewnątrzmacicznemu.
A odmawianie ich
może oznaczać skazywanie
dzieci na śmierć.

wie. W 2008 r. rozporządzenie zostało przez nowy rząd zmienione.

Badania bez klauzuli

Często zresztą lekarze formalnie nie powołują się na klauzulę sumienia, lecz odsyłają pacjentki bez śladu w dokumentach. Kilukrotnie opowiadał o tym prof. Romuald Dębski, a prof. Dąbrowski – jego aktualny następca – przyznaje, że sytuacja się nie zmieniła. – Szpital Bielański cały czas pomaga kobietom z całej Polski. Nie domagamy się od nich dostarczenia pisemnych odmów od lekarzy z ich miejsca zamieszkania, bo to niczego nie zmienia, poza spowodowaniem dodatkowego stresu u pacjentki i jej rodziny – zaznacza.

Z oczywistym nadużyciem mamy do czynienia także, gdy lekarz nie przekazuje pacjentce pełnej informacji o stanie zdrowia płodu. Podobnie jednoznaczna jest sytuacja, gdy lekarz powołuje się na klauzulę sumienia, odmawiając skierowania pacjentki na badania prenatalne, co wciąż się zdarza, nawet po decyzji Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. usuwającej z prawa przesłankę embriopatologiczną do terminacji ciąży.

Prof. Bogdan Chazan, bohater bodaj najgłośniejszej sprawy związanej z nadużywaniem klauzuli sumienia w Polsce, oceniał, że „czasem diagnostyka prenatalna przekształca się w polowanie na chore dziecko”, a prof. Oktawian Nawrot, obecnie członek Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, niegdyś naukowo zajmujący się wolnością sumienia, argumentował przed dekadą, że klauzula sumienia może mieć zastosowanie do odmowy wystawienia skierowania na badania, „jeśli lekarz stwierdza, że określona czynność warunkuje podjęcie działań przez niego nieakceptowanych, a jednocześnie możliwość ich realizacji ocenia jako realną”.

To stanowisko odosobnione. Zdecydowana większość bioetyków i prawników ocenia, że odmowa skierowania na badania z przyczyn światopoglądowych to przejaw lekarskiego paternalizmu, naruszenie prawa pacjentki do informacji, a często także narażanie jej i/lub dziecka na komplikacje zdrowotne. Potwierdzają to wyroki sądów i międzynarodowych trybunałów. – W przypadku skierowań na badania prenatalne klauzula sumienia nie ma żadnego zastosowania i nie powinna być używana – tłumaczy prof. Dąbrowski. – Lekarz musi działać zgodnie z wiedzą i sztuką medyczną. Badania prenatalne oceniające dobrostan płodu są standardem postępowania i każda kobieta, która jest w ciąży, powinna mieć je wykonane.

Tym bardziej że o ile zdrowe dziecko może urodzić się wszędzie, to na poród chorego dziecka trzeba się przygotować. – Jeżeli dziecko z ciężką wadą serca, o której kobieta nie wie ze względu na brak badań prenatalnych, urodzi się w podstawowym szpitalu, to ryzyko jego śmierci wyraźnie wzrasta – mówi prof. Dąbrowski. – Badania prenatalne służą diagnozowaniu, a potem leczeniu, również wewnątrzmacicznemu. A odmawianie ich może oznaczać skazywanie dzieci na śmierć.

I tak w przypadku rozszczepu kręgosłupa możliwa jest operacja, która zdecydowanie zwiększa szanse na prawidłowy rozwój dziecka po porodzie, a w przypadku wady serca – plastyka zastawek serca, dzięki której rosną szanse dziecka na dożycie do operacji kardiologicznej.

Gdy zaś leczenie wewnątrzmaciczne jest niemożliwe, to pacjentka i tak ma

→ prawo do dokonywania wyborów przy pełnej wiedzy o stanie zdrowia płodu.

Cyrk z zaświadczeniami

Kolejnym nadużyciem klauzuli sumienia jest odmowa wystawienia zaświadczenia o stanie zdrowia pacjentki lub płodu, które może stanowić podstawę do terminacji ciąży ze względu na zagrożenie życia lub zdrowia kobiety. Również wśród wielkich obrońców klauzuli sumienia – jak prof. Andrzej Zoll – panuje przekonanie, że lekarzowi nie wolno tego zrobić.

Dr Chańska przyznaje jednak, że spotykała się z tym podczas badań poświęconych diagnostyce prenatalnej. – Byłam świadkiem, jak w badaniu USG stwierdzono letalne wady płodu, a mimo to pacjentce nie wystawiono zaświadczenia o możliwości przerwania ciąży (obowiązywała jeszcze wersja ustawy sprzed roku Trybunału) – opowiada. – Pacjentka została zmuszona do wykonania dodatkowych badań i skazana na przedłużające się oczekiwanie na terminację ciąży (lub zgon wewnątrzmaciczny płodu), bo lekarze chcieli gromadzić dokumentację wystawioną przez różne osoby po to, aby ostateczna odpowiedzialność za poświadczanie prawa pacjentki do przerwania ciąży rozłożyła się na wiele osób – dodaje.

Wspomniana decyzja Trybunału nie zmniejszyła przy tym znaczenia nadużycia klauzuli sumienia przy wystawianiu zaświadczeń o stanie zdrowia. Wciąż

Problem z klauzulą sumienia nie polega na tym, że lekarze odmawiają wykonania świadczenia z powodu własnych przekonań. Bardziej na tym, że robią to ze strachu lub dla wygody.

to one stanowią podstawę większości aborcji dokonywanych w Polsce na bazie ustawy. – Po 2020 r. niewiele się zmieniło, głównie formalne wskazania do terminacji. Teraz formalnie nie jest nią ciężka i nieodwracalna wada płodu, tylko związany z diagnozą stan psychiczny kobiety grożący ciężką depresją lub próbą samobójczą. Psychiatry nie mają problemu z oceną stanu zdrowia kobiety wstrząśniętej informacją, że jej dziecko jest śmiertelnie chore – tłumaczy prof. Dąbrowski. – Tak naprawdę więc zamiast konsultacji genetyka jest ta od psychiatry. To cyrk, ale tak się dzieje.

Moralność czy presja?

Cień złe sformułowanych przepisów oraz praktycznych nadużyć wydłużają świadectwa i raporty wskazujące, jak często prawdziwym powodem stosowania klauzuli sumienia wcale nie są przekonania

moralne. – W trakcie badań nie spotkałam ani jednego lekarza, który sprzeciwiałby się legalnemu przerwaniu ciąży z powodów światopoglądowych – mówi dr Chańska. – Kilkakrotnie usłyszałam za to od lekarzy, że chociaż sami obojętnie nie mają nic przeciwko terminacji ciąży, to nie wystawią zaświadczenia, które uprawniałoby kobietę do legalnego zakończenia ciąży przed czasem, bo „nie chcą się narażać”. Wskazywali, że takie działanie byłoby źle odebrane w placówce, w której pracują, lub w ich miejscowości. Obawiali się negatywnych konsekwencji dla kariery.

Podobne sformułowania usłyszałam od dwóch ginekologów, z którymi rozmawiałem przy pracy nad artykułem. Ostatecznie obaj odmówili choćby i anonimowej publikacji ich wypowiedzi.

– Jak wielokrotnie podkreślano w rozmaitych raportach, problem z klauzulą sumienia nie polega tylko na sposobie jej uregulowania. Głównym problemem jest atmosfera strachu, nieformalnych nacisków wywieranych na lekarzy, którzy nie mają obiekcji światopoglądowych, oraz tzw. efekt mrozący – opisuje dalej dr Chańska. – To wszystko sprawia, że wielu lekarzy odmawia wykonania świadczenia medycznego nie z powodu własnych przekonań, lecz ze strachu lub dla wygody. Oceniają, że skorzystanie z przywileju uchylenia się od wykonania obowiązku zawodowego przyniesie im więcej korzyści niż jego realizacja.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
 Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik,
 Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
 Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
 Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska
 (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska,
 Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bednarz, Paweł Maliszewski,
 Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczyk, Kalina Błażejewska,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Fiis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
 Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun,
 Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
 Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
 Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajca, Zbigniew Parańanowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
 Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
 Michał Wałkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik,
 Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
 GRUPA TOŻA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Czas na zmiany

Klauzula sumienia w polskim prawie jest sformułowana wadliwie, praktyka jej stosowania jest jeszcze gorsza, a dyskusja na ten temat skrajnie trudna. Warto jednak poszukać rozwiązań, które miałyby szansę przywrócić temu rozwiązaniu podstawowy sens zapewnienia równowagi w ochronie praw pacjentów i personelu medycznego.

Co zrobić?

Po pierwsze, wcielić w życie wyrok Trybunału z 2015 r. i uregulować kwestię obowiązku informacyjnego. Ktoś – Rzecznik Praw Pacjenta, Ministerstwo Zdrowia, Narodowy Fundusz Zdrowia, ktoś inny... – musi być odpowiedzialny za zapewnienie dostępu do informacji o placówkach, w których możliwa jest zgodna z prawem realizacja gwarantowanych prawem świadczeń.

Po drugie, respektować przepisy ustawy zobowiązujące lekarzy do uprzedniego – tuż po zatrudnieniu lub zmianie zapatrywań światopoglądowych – informowania przełożonych o odmowie wykonywania określonych świadczeń.

Po trzecie, zobowiązać publiczne placówki do – jak w niektórych krajach – informowania o liczbie lekarzy stosujących klauzulę sumienia w ośrodku oraz zapewniania dostępności legalnych świadczeń. Jeśli kierownik placówki nie jest w stanie tego zrobić z pomocą zatrudnionego personelu, powinien podpisać umowę z podwykonawcą lub odnotować to w umowie z NFZ-em.

Po czwarte, ustawowo rozstrzygnąć, że klauzula sumienia nie może być stosowana w przypadku wystawiania skierowań na badania oraz zaświadczeń o stanie zdrowia.

Po piąte, walczyć z nadużyciami klauzuli sumienia.

To plan minimum. Bez zmian dojdzie do kolejnych głośnych skandali i tragedii związanych z nadużywaniem klauzuli sumienia. Codzienna praktyka jej stosowania już jest pełna skandali i tragedii cichych. Ale przecież nie mniej przez to ważnych.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem i bioetykiem pracującym nad doktoratem o jakości polskiej debaty bioetycznej na przykładzie dyskusji o klauzuli sumienia.



EWELINA BURDA,

zastępczyni
redaktora
naczelnego.
Na zdjęciu
z zastępcą
redaktora
naczelnego
Michałem
Kuźmińskim
przed wejściem
do newsroomu
„Tygodnika”

Wierzę w prawdziwe dziennikarstwo.

W artykuły wyważone i rzetelne,
na które składają się głosy ekspertów
i ludzkie historie. W treści, które są potrzebne.

Twój 1,5% podatku pomoże nam tworzyć
wygodne sposoby do ich lektury: bez względu
na to, czy wolisz szelest papieru, czy nieograniczony
cyfrowy dostęp. Bo „Tygodnik Powszechny”
jest jeden, wszędzie w najwyższej jakości.

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie
ma realną moc. Masz pytania?

Zadzwoń: 12 426 53 31

lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl
– chętnie pomożemy!

1,5%



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

KRAJ

PAN JEST ROBOTEM

Sławomir Mentzen posiada cechy, które powinny go wykluczać z poważnej polityki i nie dawać mu szans w wyścigu prezydenckim. Tymczasem właśnie one stoją za obecnymi sukcesami sondażowymi kandydata Konfederacji.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

WTOREK, 18 MARCA. ROZMOWA z Andrzejem Dudą w Pałacu Prezydenckim trwa około godziny. Po jej zakończeniu Mentzen spotyka się z dziennikarzami na zaimprovizowanej konferencji prasowej; chce zapewne po części odeprzeć zarzuty o unikanie mediów, a także podjąć walkę z setkami memów, które ukazują, jak w biegu opuszcza niemal każde ze swych spotkań wyborczych. Teoretycznie po to, by zdążyć na następne, których codziennie ma kilka. Podejrzliwi twierdzą jednak, że to tak naprawdę ucieczka przed niewygodnymi pytaniami ze strony dziennikarzy oraz bliskimi spotkaniami z konkretnymi wyborcami, podczas których Mentzen czuje się zaskakująco mało swobodnie. Zupełnie inaczej niż na estradzie.

Tym razem jest inaczej. Cierpliwie rozmawia z indagującymi go przechodniami i pozuje z nimi do zdjęć. Sama konferencja też jest nietypowa. Kandydat Konfederacji wda się w potyczkę słowną z dziennikarką TVP, usiłującą wydobyć od niego deklarację, że słynna „piątka Mentzena”, czyli program z kampanii do Sejmu w 2019 r. (Polska bez Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej), jest nadal aktualna. Mentzen nie chce jasno odpowiedzieć, zarzuca dziennikarce, że pyta o rzeczy niewłaściwe.

Wypada to źle, a w sieci natychmiast pojawiają się komentarze, iż znów poległ w sytuacji wymagającej improwizacji. Jego najbliższy współpracownik Przemysław Wipler ma jednak inne zdanie. – To świadoma strategia. Donald Trump również ostro podchodzi do dziennikarzy, którzy stawiają mu pytania z nieprawdziwymi тезami. Trudno jest zareagować inaczej, gdy ktoś chce cię zmusić, byś po raz setny tłumaczył się ze spraw dawno wytłumaczonych. Jeśli dziennikarka propagandowej, rządowej telewizji, pracująca *de facto* dla Rafała Trzaskowskiego, zachowuje się w tak prowokacyjny sposób, to ja wierzę, że ludzie są na tyle mądrzy, iż postawę Mentzena zrozumieją – mówi.

To nie jest happening

Sytuacja ta obrazuje zmianę, jaka zaszła od czasu, gdy Mentzen wszedł do polityki. Kilka lat temu, gdy funkcjonował w ra-

mach niszowej, antysystemowej partyjki, mógł sobie pozwolić na niepoprawne politycznie hasła – miał niewiele do stracenia, a wiele do zyskania – głównie rozgłos. Teraz, gdy już trafił do pierwszej ligi i pojawiła się przed nim realna szansa wejścia do drugiej tury wyborów prezydenckich, musi spoważnieć, czyli m.in. unikać kontrowersyjnych, czy wręcz niemądrych pomysłów jak „piątka Mentzena”.

Inne niż kiedyś są też jego wywiady w tradycyjnych mediach i kanałach internetowych. Stara się prezentować w nich jak państwowiec i męż stanu, mający przemyślaną koncepcję prezydentury. W Radiu Zet mówił na przykład o swoim oryginalnym pomysle, jak obejść ograniczone w polskiej rzeczywistości ustrojowej kompetencje głowy państwa. Zapowiedział, że zamierza bardzo często, nawet raz w tygodniu zwoływać Radę Gabinetową, pytać ministrów o najnowsze plany legislacyjne i z góry zapowiadać, co podpisze, a czego nie. W ten sposób ma oddziaływać na politykę rządu.

Cała strategia Mentzena wygląda inaczej niż nieustanny happening polityczny, uprawiany w poprzednich jego politycznych startach. Dziś jawi się jako kandydat poważny, wyborcom przedstawił np. swoją żonę Agnieszkę i dwie małe córki, dotąd niepokazywane publicznie. Zresztą, sama inauguracja kampanii 31 sierpnia 2024 r., czyli na niemal rok przed datą zaprzysiężenia nowego prezydenta, była czymś, co się dotąd nie zdarzało. We wrześniu ub. roku zaczął objeżdżać kraj, a jego ambicją stało się dotarcie do wszystkich powiatów. Ambitny plan okazał się sukcesem – liczba uczestników spotkań rośnie niemal w postępie geometrycznym, choć na każdym „w menu” jest to samo: uproszczenie podatków, silna armia, odrzucenie Zielonego Ładu, sprzeciw wobec Paktu Migracyjnego, a zwłaszcza przyjmowania migrantów ekonomicznych z Azji i Afryki. Mentzen za każdym razem powtarza, że w państwach, do których wpuszczono tłumy ludzi z krajów „obcych kulturowo”, zwiększyła się liczba gwałtów.

Pojawia się też oczywiście kwestia ukraińska, ale nie tylko w postaci niechęci do uchodźców korzystających z polskich programów socjalnych, ale też praktyczne rozwiązania, np. postulat, by prywatne firmy produkowały amunicję i broń, mogącą wypełnić braki związane z wojną na wschodzie, i znieść tym samym



→ znienawidzony przez Konfederatów monopol państwa.

Kantor, kancelaria, browar, internet

Sławomir Mentzen urodził się w 1986 r. w rodzinie toruńskich matematyków. Ukończył prestiżowe, znane w całym kraju Liceum Akademickie, a potem ekonomię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, zwrócił doktoratem na temat długu publicznego. Ma także licencjat z fizyki teoretycznej.

Pierwszym biznesem późniejszego lidera Konfederacji był kantor wymiany walut, kolejnym: sklep myśliwski z bronią. Broń to zresztą jedna z jego pasji; w wywiadach przyznaje, że jest zwolennikiem posiadania jej w domu przez każdego Polaka.

Główną działalnością Mentzena stało się jednak doradztwo podatkowe. Prowadzi je od 12 lat, a od czterech jest właścicielem kancelarii mającej swe oddziały w Warszawie, Toruniu i Gdańsku. Osobną pasją jest produkcja kraftowego piwa, które sprzedaje m.in. poprzez pub na Rynku Staromiejskim w Toruniu – zasłynął on głównie wywieszoną przy wejściu listą polityków, których barmani nie obsługują. Są na niej fotograficzne wizerunki całej plejady ważnych w Polsce postaci: od Mariusza Błaszczaka i Zbigniewa Ziobry, po Roberta Biedronia i Adriana Zandberga.

– W książce „O dwóch takich, co podzieliły Polskę” piszę o roli internetu i podaję Mentzena jako przykład polityka, którego nie ma w żadnych stacjach telewizyjnych, a mimo to jest coraz bardziej znany – opowiada prof. Antoni Dudek, który niedawno gościł polityka na swoim kanale YouTube.

To fakt, Mentzen rzadko bywa w tradycyjnych mediach. Jego popularność rozlewa się zupełnie innymi kanałami, głównie tymi, na których znaleźć można młodzież. Według analiz Ogólnopolskiej Grupy Badawczej z lutego 2025 r., w grupach wiekowych 18-29 oraz 30-39

Mentzen zbiera ok. połowy wszystkich głosów. Zresztą, już w 2021 r., gdy Krzysztof Stanowski – dziś rywal w wyborach prezydenckich – zapraszał go do audycji w Kanale Sportowym, mówił o nim „król internetu”. Gdyby decyzje o tym, kto rządzi, zapadały na Instagramie czy TikToku, Mentzen już dawno byłby prezydentem. Zasięgami wprost bije na głowę konkurentów.

Piątka do kosza

Początkiem politycznej kariery Mentzena było jego wejście do zarządu partii KORWiN w 2017 r. – Nie musiał mozolnie przebijać się przez struktury. Był jedynym doktorem ekonomii w całym towarzystwie i Janusz Korwin-Mike wciągnął go szybko do zarządu – przyznaje były poseł Konfederacji i polityk partii KORWiN Artur Dziambor.

Sam Mentzen ponad rok temu twierdził w rozmowie z Robertem Mazurkiem na Kanale Zero, że polityką zajął się dlatego, by coś zmienić. Mówił, że odniósł sukces w biznesie, ma pieniądze. Może kupić samochód, jaki chce, dom – też jaki chce, a dzieci chodzą do najlepszych szkół. Twierdził jednak, że ma poczucie misji. Zacytował w tym kontekście Steve’a Jobsa: „Ludzie wystarczająco szaleni, żeby wierzyć w to, że zmieniają świat, naprawdę ten świat zmieniają”.

Początkowo w polityce nie odnosił oszałamiających sukcesów. W 2018 r. był kandydatem na prezydenta rodzinnego Torunia, ale uzyskał ledwie 3-procentowe poparcie. Rok później, gdy startował do Sejmu z list Konfederacji, współtworzonej przez partię KORWiN, zdobył już 15 tys. głosów, ale do Sejmu też się nie dostał. Zaistniał jednak mocno, mówiąc o słynnej „piątce Mentzena”. Wtedy też zaprezentował „sto ustaw”, zakładających m.in. przywrócenie kary śmierci, więzienie za aborcję (także po gwałcie) czy przywrócenie kar cielesnych dla dzieci.

Dziś projektów tych ustaw nie sposób nigdzie znaleźć, ale Mentzen dystansował się od nich już w kampanii w 2023 r. We wspomnianej rozmowie na Kanale Zero przyznał, że formułowanie radykalnych haseł było celowym zabiegiem, by zostać zauważonym. – Polityki nie da się robić bez populizmu – stwierdził Mentzen, tłumacząc w ten sposób swoje ówczesne antysemickie i homofobiczne poglądy. Na dobrą sprawę do dziś nikt nie wie, czy

kłamał wtedy, czy maskuje się teraz, wiedząc, że z takim przekazem nie zyska głosów większości Polek i Polaków.

Jego skuteczność w walce o wielkie cele będzie można ocenić dopiero w maju, ale na pewno mniejsze szczyty zdobywać już umie. Chodzi tu nie tylko o przebicie sondażowej bariery 20 proc. i deptanie po piętach „obywatelskiemu” kandydatowi PiS Karolowi Nawrockiemu. W politycznych bojach sukcesy odnosił niemal od samego początku, jeszcze za formalnego przywództwa Janusza Korwin-Mikkego w partii. Już wtedy miał duże wpływy – doprowadził do odejścia z Konfederacji posłów Artura Dziambora, Jakuba Kuleszy i Dobromira Sośnierz.

O okolicznościach zdarzeń sprzed trzech lat opowiada Dziambor. – Sławek miał od dawna plan startu na prezydenta w 2025 r., a ja mu w tym przeszkadzałem, ponieważ w 2020 r. wygrałem wewnętrzpartyjne wybory w KORWiN-ie, a w całej Konfederacji miałem trzeci wynik – mówi były poseł. – Od tamtego czasu robił, co mógł, żeby środowisko się ode mnie odwróciło. Był skuteczny, choć robił to metodami putinowskimi.

Prorozyjskie wypowiedzi Korwin-Mikkego były zresztą bezpośrednim powodem odejścia Dziambora z partii. Sam Korwin zrezygnował z przywództwa w październiku 2022 r., a zastąpił go właśnie Mentzen. Wkrótce partia zmieniła też nazwę na Nowa Nadzieja. – Mianowanie Mentzena następcą było największym błędem personalnym Korwina – uważa dziś Dziambor. – Mówiłem mu, że jeśli pozwoli Sławkowi przejąć partię, to nie zostanie honorowym prezesem, któremu stawiać się będzie pomniki, tylko będzie następny do odstrzelania. I tak się stało.

Polityk w spektrum

Były poseł mówiąc o osobowości Mentzena nawiązuje do jego trudności w relacjach interpersonalnych. – W jednym z wywiadów Sławek przyznał, że orzeczone u niego zespół Aspergera. Rozbroił w ten sposób bombę, która w pewnym momencie mogła eksplodować. Jego środowisko to akceptuje, bo Korwin był taki sam. Tym ludziom imponowało, że nie rozczuła się nad płaczącymi sierotami – wspomina Dziambor.

Zespół Aspergera to zestaw cech ze spektrum autyzmu, objawiający się m.in. niską zdolnością do odczuwania



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka

w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

empatii, trudnościami w nawiązywaniu bliskich relacji i w ogóle interakcji z ludźmi, a także brak zdolności do rozumienia metafor, czy też słaba zdolność do zachowań spontanicznych oraz szybkich, celnych ripost. – W polityce kariery robią ekstrawertycy, krzyczący nieustannie na siebie. Jednak ani Kaczyński, ani Tusk tacy nie są. Mentzen trochę ich w tym przypomina, z tym, że jest dużo bardziej wycofany. To może doprowadzić do katastrofy, jeśli zdarzy mu się „zawieszenie” np. podczas debaty telewizyjnej – ocenia prof. Dudek. Z drugiej strony, jeśli Mentzen wejdzie do drugiej tury, będzie dla Trzaskowskiego trudniejszym przeciwnikiem niż kandydat PiS. – Jest inteligentniejszy od Nawrockiego, ma większą wiedzę ogólną i nie daje się łatwo sprowokować – mówi historyk.

W wyborach 15 października 2023 r. Mentzen zdobył upragniony mandat poselski, ale musiał kandydować z Warszawy, z rodzinnego Torunia nie miał szans. W Sejmie nie był dotychczas zbyt aktywny, co mógł tłumaczyć tym, że mandat łączył z działalnością gospodarczą. Wszystko zmieniło się jesienią 2024 r., gdy rozpoczął kampanię. Od tego momentu co prawda w Sejmie bywa gościem, ale zwykle na początku każdego posiedzenia wbiega na mównicę i zgłasza jakąś propozycję, żeby zwrócić na siebie uwagę (tak było z pomysłem sejmowej uchwały gwarantującej, że Polska nie wyśle żołnierzy na Ukrainę). Zazwyczaj chwilę potem opuszcza salę obrad Sejmu i rusza w kampanijną trasę. Bardzo często nie ma go podczas głosowań.

Samo wystawienie Mentzena jako kandydata na prezydenta dowodzi, jak szybko potrafił zbudować silną pozycję w swym środowisku. Wbrew temu, co postulował Krzysztof Bosak, w Konfederacji nie przeprowadzono prawyborów, jak poprzednio – w 2020 r. Oparto się bardziej na internetowym potencjale poszczególnych kandydatów, a tu zdecydowanie brylował Mentzen. Istnieje jednak teoria, wedle której Bosak chciał dać się „wyszczerzyć” szefowi Nowej Nadziei, by samemu dopiero za pięć lat, gdy przyjdzie prawdziwy czas Konfederacji, stanąć w szranki. Nie wiadomo, na ile ta teza jest prawdziwa, ale na pewno Mentzen świetnie wykorzystał swą szansę. Raczej nie poniesie w wyborach klęski, która przekreślałaby jego karierę w przyszłości.



ALBERT ZAWADA / PAP

ANTONI DUDEK, HISTORYK:

Sławomir Mentzen to przykład polityka, którego nie ma w żadnych stacjach telewizyjnych, a mimo to jest coraz bardziej znany. Sprawił to internet.

Czy dogoni Nawrockiego

Sukcesy sondażowe Mentzena są największą niespodzianką trwającej obecnie kampanii. Niemal dogonił Karola Nawrockiego i wręcz zdystansował Szymona Hołownię. Ale o ile ten pierwszy raczej stara się kokietować elektorat Konfederacji, a samego kandydata dyplomatycznie oszczędzać, to marszałek Sejmu niemal nieustannie atakuje Mentzena. Momentami wygląda to tak, jakby głównym elementem programu Hołowni była obrona Polski przed nominatem Konfederacji.

Marszałkowi wtórują politycy Polski 2050. Najgłośniej zrobił to dotychczas poseł Sławomir Ćwik, który zarzucił Mentzenowi niewłaściwe praktyki biznesowe. Spotkał go za to proces w trybie wyborczym, ale bez porażki.

Poseł Ćwik przekonuje, że nie zarzuca Mentzenowi łamania prawa, tylko stosowanie nieetycznych praktyk. – Po pierwsze wykorzystał popularność polityka, żeby sprzedawać drożej swe akcje. Po drugie nadużył nowych przepisów o fundacji rodzinnej do agresywnej optymalizacji podatkowej. W lutym wniósł do niej akcje spółki, a w marcu je sprzedał. Pożył w ten sposób 12,5 miliona złotych bez obowiązku zapłaty podatku od sprzedaży akcji – wyjaśnia poseł Polski 2050.

Czy kandydat Konfederacji może pokonać Nawrockiego i wejść do drugiej tury wraz z Trzaskowskim? Dziś w niektórych sondażach obaj mają zbliżone

poparcie, bliskie 20 proc. Jednak prof. Anna Wojciuk, politolożka z Uniwersytetu Warszawskiego, zwraca uwagę, iż Mentzen dotąd prowadził kampanię na swoich warunkach, teraz zaś zacznie być ostrzej atakowany. Również debaty między kandydatami, do których zapewne dojdzie, nie muszą mu pomagać, gdyż nie jest dobry w interakcjach i sytuacjach konfliktowych. – Najbardziej prawdopodobny jest scenariusz taki, jak przed wyborami w 2023 r. A to oznacza, że Mentzen, tak jak wówczas Konfederacja, już teraz jest w okolicach szczytu – ocenia prof. Wojciuk.

W PiS panuje jednak wielki strach; politycy tej partii zaniepokojeni są zwłaszcza wsparciem od Andrzeja Dudy, który w minionym tygodniu już drugi raz spotkał się z Mentzenem podczas tej kampanii. Choć prezydent nie udzielił kandydowi Konfederacji oficjalnego poparcia, to nie ma wątpliwości, jak te spotkania są odbierane. – Dla mnie jest oczywiste, że prezydent bardziej wesprze nikogo nie może. To budzi zawiść w PiS – uważa Przemysław Wipler, którego dobrym relacjom z Marcinem Mastalerkiem przypisywane są wizyty Mentzena w Pałacu.

Kandydata Konfederacji od innych różni ważna cecha. Ma zdolność łączenia przeciwieństw, które wykluczać go mogą w środowisku starszych wyborców, ale dla młodzieży wcale nie są niespójne. W rozmowie na Kanale Zero Mentzen przyznał, że jest za legalizacją marihuany i sam palił ją kilka razy, gdy był młodszy. Jednocześnie wyjawiał, że chciałby być „hardcorowym katolikiem” i że wiara jest w jego życiu bardzo ważna, ważniejsza od polityki. Ujawnił też osobliwy rys swej osobowości. Wyjawiał, że kiedyś pasjonował się piłką nożną, ale pewnego dnia stwierdził, że oglądanie meczów to strata czasu – od tej pory nie obejrzał żadnego. Podobnie było z czytaniem powieści. Kiedyś czytał ich dużo, m.in. Dostojewskiego, ale w pewnym momencie uznał, że to strata czasu – dziś nie czyta ich w ogóle. – Pan jest robotem – skomentował prowadzący.

Jeden z naszych rozmówców, pragnący zachować anonimowość, dodaje: – To typ selfmademana-cyborga. Jeśli sam się nie złamie, nie ma chyba żadnej siły, która by go powstrzymała.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Współpraca MAREK KĘSKRAWIEC

Będzie państwo zadowolone

MAREK RABIJ

Kilkanaście tysięcy seniorów co roku sprzedaje za grosze prawo do swojego mieszkania. Państwo polskie, które od lat nie radzi sobie z budową lokali na wynajem, wciąż nie widzi w tym okazji dla siebie.



TU NIE TRACI SIĘ CZASU ZE SŁUCHAWKĄ przy uchu, jak na bankowej infolinii. Nie ma też wścibskiej wirtualnej asystentki. Już po kilku sekundach telefon odbiera pracownik z krwi i kości. – W czym mogę panu pomóc? – pyta z wprawą w głosie.

1033 zł miesięcznie

Pomoc to słowo kluczowe, bo wcielam się w 76-latkę, któremu emerytury nie starcza do pierwszego. Metrykę dopasowałem do średniej wieku klienta funduszu hipotecznego, czyli podmiotu, który skupuje od seniorów mieszkania w zamian za comiesięczną rentę. Z danych Związku Przedsiębiorstw Finansowych wynika, że statystyczny klient funduszu dobiega 77. roku życia, co absolutnie nie dziwi, zważywszy, że drogę do tzw. renty hipotecznej otwiera dopiero ukończenie 65 lat.

Renta to z kolei pojęcie nieco mylące. W rzeczywistości chodzi o rozłożoną w ratach płatność za mieszkanie, które senior sprzedaje funduszowi, zachowując przy tym prawo dożywotniego użytkowania. Oczywiście im krócej lokator w nim pożyje, tym lepiej dla funduszu. Wspomniany już Związek Przedsiębiorstw Finansowych szacuje, że w latach 2010-2022 polskie fundusze hipoteczne wypłaciły klientom łącznie... 30 mln zł, choć wartość zarządzanych przez nie nieruchomości na koniec 2022 r. przekro-

czyła 150 mln zł, czyli pięciokrotność wypłaconej kwoty. Niemal co trzecie sprzedane mieszkanie znajdowało się w województwie mazowieckim (29,1 proc.). Na drugim miejscu uplasowało się Pomorze (11,9 proc.), a na trzecim – Dolny Śląsk i województwo śląskie (po 9,1 proc.). W stolicach tych regionów kupienie dziś jakiegokolwiek mieszkania za mniej niż pół miliona zł graniczy z cudem. Tymczasem w 2023 r. statystyczny klient polskiego funduszu hipotecznego inkasował rentę w wysokości zaledwie 1033 zł miesięcznie. Odzyskanie w ten sposób ledwie połowy ze wspomnianych 500 tys. zł zajęłoby 20 lat. Zobaczmy, ile ja wynegocjuję.

„Gotóweczka do rączki”

Moją kartą przetargową będzie wypatrzone w serwisie OtoDom 54-metrowe dwupokojowe mieszkanie na jednym z krakowskich osiedli z wielkiej płyty, niedaleko centrum. Metr kwadratowy kosztuje tu dziś średnio 16 tys. zł. Wybrana przeze mnie nieruchomość od lat nie doczekała się jednak remontu, dlatego wystawiono ją za 15,2 tys. zł za metr. Łącznie – za 820,8 tys. zł.

Z listy funduszy hipotecznych, którą wypłuka mi Google, losowo wybieram dwa. Pracownik pierwszego, któremu przedstawiam się jako potencjalny, nieco zagubiony i nieporadny klient, od razu przechodzi do rzeczy. Długo zbiera

dane o stanie mieszkania, sprawdza nawet jego lokalizację na mapach Google. Ze wstępną propozycją renty oddzwania już nazajutrz: w grę wchodzi jednorazowa wypłata 30 tys. zł plus około 2,3 tys. zł comiesięcznej renty, pomniejszonej jednak o wysokość czynszu oraz ubezpieczenia lokalu – bo z chwilą zawarcia umowy fundusz stanie się właścicielem moich zmyślonych 54 metrów i będzie uiszczać te opłaty bez mojego udziału. Gdybym – jak mówi pracownik – zrezygnował z „gotóweczki do rączki”, renta wzrośnie do 2,6 tys. zł miesięcznie. Oczywiście również minus czynsz. – Gdyby jego wysokość wzrosła kiedyś powyżej kwoty ustalonej renty, tę nadwyżkę weźmiemy już na siebie, ale myśle, że do tego nie dojdzie – dodał pracownik funduszu.

Nie muszę dopytywać, skąd mój rozmówca czerpie tę pewność. Przeciętna długość życia mężczyzny w Polsce to dziś 77 lat i cztery miesiące. Jeśli moje telefoniczne *alter ego* dożyje tylko tego wieku, fundusz wypłaci mu łącznie 41,6 tys. zł (lub 66,8 tys. zł z uwzględnieniem jednorazowej wypłaty). Jeśli pożyje 14 lat dłużej, suma wypłat na konto wzrośnie do około 410-420 tys. zł lub około 440 tys. zł – w wersji bez pierwszej wypłaty. To już sporo, ale wciąż połowa rynkowej wartości mieszkania, które mam do zaoferowania.



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Osiedle mieszkaniowe Biskupia Górka w Gdańsku, kwiecień 2024 r.

Bez znieczulenia

Gdybym naprawdę był potencjalnym klientem funduszu hipotecznego, żadnej z przytoczonych wyżej rozmów na żadnym etapie nie mógłbym nic zarzucić. Pracownicy byli taktowni, nie naciskali na jak najszybszą finalizację umowy. Na pytania odpowiadali rzeczowo i w sposób zrozumiały także dla kogoś, kto na co dzień nie porusza się między paragrafami umów cywilnoprawnych. Korygowali nawet błędy, które popełniałem z premedytacją, żeby zasugerować im, że nie do końca rozumiem istotę transakcji, którą chcę przeprowadzić.

Problem związany z działalnością funduszy hipotecznych nie polega więc na tym, że na masową skalę wprowadzają one w błąd nieświadomych swoich praw i atutów seniorów. Owszem, kontrola UOKiK w 2013 r. wykazała, że ponad połowa zawartych przez nie umów zawierała niedozwolone zapisy na szkodę klientów, ale podobny zarzut, tylko na mniejszą skalę, można było wtedy postawić większości polskich instytucji finansowych, włącznie z bankami. Problemem numer jeden jest raczej brak alternatywy dla oferty funduszy hipotecznych, którą nawet z dużym zapasem dobrej woli trudno nazwać finansowo atrakcyjną. Szybkie sprawdzenie tematu w internecie sugeruje w dodatku, że propozycje, które złożono mi w trakcie pierwszej rozmowy, mogły być jedynie przynętą. W sieci znalazłem m.in. ostrzeżenie od potencjalnej klientki, która nie złożyła podpisu pod umową wyceniającą jej gdyńskie mieszkanie na zaledwie 30 proc. aktualnej rynkowej wartości.

Fundusze hipoteczne weszły więc w wolną przestrzeń po państwie polskim, które z pomocą swojego systemu emerytalnego nie jest już w stanie zapewnić seniorom godziwej starości. Eksploatują to poletko w pełni legalnie, ale bez sentymentów. Nie tylko one: z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że co roku około 16 tys. Polaków zawiera cywilne umowy, na mocy których przekazują innej osobie prawo do swojego mieszkania w zamian za comiesięczną rentę. W 2022 r. resort szykował się nawet do

wprowadzenia przepisów, które umożliwiłyby wypłacanie renty hipotecznej w zamian za mieszkanie tylko osobom spokrewnionym z właścicielem nieruchomości. Nie wiadomo, czy urzędnicy zapomnieli potem o swoim pomysle w chaosie przedwyborczych miesięcy, czy raczej resort przychylił się do podszeptów lobbyistów funduszy hipotecznych, walczących o przetrwanie dla swoich mocodawców. Przepisy nie weszły w życie.

Inny akt prawny, który mógłby uregulować taką działalność, w grudniu ub. roku skończył 10 lat. Od dekady pozostaje martwym przepisem.

Banki dziękują

Polskie prawo rzadko wyprzedza rzeczywistość. W tym przypadku było na odwrót: ustawa o odwróconym kredycie hipotecznym z 2014 r. miała stworzyć nowy produkt w ofercie polskich banków. Ustawodawcy zakładali, że polska demografia i krajowy rynek mieszkaniowy podążą śladem zachodnioeuropejskich: ceny mieszkań będą szybko rosnąć, podobnie jak liczba samotnych Polaków w wieku emerytalnym, dysponujących cennym, ale niezbywalnym zasobem, jakim jest zamieszkiwana przez nich nieruchomość. Odwrócona hipoteka miała pozwolić tym, którzy nie mają komu zostawić jej w spadku, czerpać korzyści z tego majątku za życia. W zamian za comiesięczną wypłatę klient zgadzałby się na wpis banku do hipoteki, jednocześnie pozostając właścicielem mieszkania. Przeniesienie własności lokalu na bank następowaloby po śmierci lokatora.

Założenia okazały się trafne. Jak wynika z danych serwisu transakcyjnego OtoDom, między 2014 a 2024 r. ceny nieruchomości na polskim rynku wtórnym urosły średnio o ponad 100 proc. Rekord padł w Gdańsku, gdzie mieszkania z drugiej ręki podrożały aż o 170 proc. Liczba mieszkańców w wieku powyżej 60 lat wzrosła z 8,5 mln w 2014 r. do 9,9 mln w roku 2023. Nie sprawdziło się tylko jedno – założenie, że banki zainteresują się odwróconą hipoteką. Popyt na zwykłe kredyty hipoteczne okazał się tak duży, że branży nie chciało się bawić w obsługę marginalnego z ich punktu widzenia rynku hipotek odwróconych.

– W 2012 roku, czyli jeszcze przed wejściem w życie ustawy o odwróconej hipotece, zrobiliśmy przymiarkę do tego →

Może słabo się targuję? W drugim funduszu przedstawiam się więc jako sąsiad samotnego 76-lątka, który w jego imieniu sprawdza dostępne oferty. Nie gram już zagubionego. Nie udaję, że nie wiem, z jaką instytucją mam do czynienia, nazywając ją ZUS-em lub bankiem. Proszę o konkrety i dostaję je od ręki.

Po pierwsze – mieszkanie wycenione przeze mnie na wspomniane 820 tys. zł według firmowych tabel warte jest najwyżej 700 tys. Mój wymyślony 76-letni znajomy z klatki może dostać za nie na start do 200 tys. zł jednorazowej wypłaty, a potem co miesiąc po około 2 tys. zł, z których fundusz będzie jednak potrącać równowartość czynszu oraz podatku od nieruchomości.

– To oczywiście szacunkowa kalkulacja w oparciu o dane z innych naszych transakcji – podkreśla pracownica funduszu. – Jeśli pański sąsiad się zdecyduje, wyślemy do tego pana rzeczoznawcę i wtedy przedstawimy konkrety.

Na razie wygląda jednak na to, że za warte 820 tys. zł mieszkanie zmyślony sąsiad może liczyć w drugim funduszu na najwyżej 230 tys. zł w pierwszym wariancie i około 530-540 tys. zł, gdyby dożył 90. urodzin. Renty hipoteczne są dodatkowo co roku waloryzowane o wskaźnik inflacji, ale ceny nieruchomości, przynajmniej na razie, rosną jeszcze szybciej. Jedno jest więc pewne. Kupujący na tym nie straci.

→ tematu. Wyszło nam, że to nie ma sensu – wspomina były prezes dużego polskiego banku, prosząc jednak o niepodawanie ani jego nazwiska, ani nazwy firmy. – W klasycznym kredycie hipoteka jest tylko zabezpieczeniem na wypadek kłopotów. W tym przypadku bank zawsze zostawałby z nieruchomością, którą potem trzeba by było obsługiwać, płacić czynsze, wysyłać prawników na zebrania wspólnoty, a na koniec wystawić jeszcze na sprzedaż. Nie pamiętam dokładnych liczb, ale wyszło nam również, że popyt na odwrócone kredyty hipoteczne będzie znikomy, rzędu najwyżej kilkuset rocznie w skali kraju – wspomina bankowiec.

Odwrócona hipoteka stała się w ten sposób rynkowym fantomem. Banki nie chciały o niej słyszeć, na przepisy zaczęły się za to powoływać podmioty spoza branży finansowej, które swoje usługi zaczęły nazywać odwróconym kredytem hipotecznym, strojąc się w ten sposób w bankowe piórka.

W rzeczywistości to, co oferują tego typu fundusze, z ustawą z 2014 r. nie ma nic wspólnego. Podpisując umowę, klient po prostu sprzedaje im mieszkanie za bliżej nieokreśloną kwotę, którą odbiera potem w wypłacanych co miesiąc ratach zwanych rentą. Umowa nie zawiera minimalnej kwoty, którą firma musi udostępnić sprzedającemu, zwykle wymienia jedynie wysokość cyklicznej wypłaty plus ewentualny jednorazowy bonus. Będąc właścicielem nieruchomości, fundusz może za to nią swobodnie dysponować. Można wyobrazić sobie na-

Fundusze hipoteczne weszły w wolną przestrzeń po państwie polskim, które z pomocą systemu emerytalnego nie jest już w stanie zapewnić seniorom godziwej starości.

wet sytuację, kiedy dokwateruje samotnemu staruszkowi kilku dobrze zbudowanych mężczyzn, aby „dotrzymywali mu towarzystwa”.

W odróżnieniu od banku, fundusze hipoteczne nie są też objęte rządowymi gwarancjami na wypadek niewypłacalności, a wymogi finansowe na wejściu w ten biznes są bardzo niskie. Właściciele mogą w każdej chwili zamknąć interes lub sprzedać aktywa funduszu innemu podmiotowi, na przykład zarejestrowanemu w raju podatkowym. W takim scenariuszu poszkodowanemu seniorowi pozostaje ścieżka cywilnoprawna, czyli kosztowna i czasochłonna procedura sądowa, która przerośnie ogromną większość starszych Polaków.

Na wynajem

Wszystkie te ryzyka państwo polskie mogłoby tymczasem bardzo łatwo zminimalizować, przy okazji robiąc duży

krok w czymś, o co potyka się od lat – czyli w tworzeniu zasobu komunalnych lokali na wynajem. Rynku funduszy hipotecznych nie trzeba likwidować, jak chciał tego PiS. Wystarczy, że wejdzie nań z przytupem zaufany gracz w postaci Skarbu Państwa i sprawi, że średnia oferowana wycena nieruchomości wzrośnie na nim z obecnych 30-40 proc. wartości rynkowej do 50-60 proc. Zręby prawno-instytucjonalne dla takiej operacji już istnieją, bo w oparciu o ustawę o odwróconej hipotece takie usługi mógłby świadczyć np. Bank Gospodarstwa Krajowego.

Nie trzeba też tworzyć nowego podmiotu do obsługi skupowanych lokali, to zadanie mogłoby wziąć na siebie Krajowy Zespół Nieruchomości, spółka skarbu państwa od lat specjalizująca się w takich zadaniach. Fundusze? To już poważniejsze wyzwanie, choć model odwróconej hipoteki rozkładałby te koszty w czasie. Na początek może wystarczyć nawet 10 proc. z wartego 19,4 mld zł programu „Kredyt mieszkaniowy na start”.

Przeciętny dochód rozporządzalny polskiego emeryta nie przekracza obecnie 2,8 tys. zł. To główny powód, dla którego polscy seniorzy co roku wystawiają na sprzedaż po kilkanaście tysięcy mieszkań. Skupowanie ich przez państwo w ciągu zaledwie dekad pozwoliłoby zgromadzić około 100-120 tys. lokali, które w perspektywie kolejnych lat sukcesywnie wchodziłyby na rynek najmu komunalnego.

W latach 2016-2023 państwo polskie zdołało zbudować na wynajem 10,2 tys. mieszkań. © MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **TRÓJMIASTO**, czwartek 27 marca godz. 18.00, Wykład dr. Tomasza Snarskiego „Prawne aspekty wolności wypowiedzi w kontekście mowy nienawiści, obrazy uczuć”, spotkanie pt. „Gdy słowo krzywdzi. Między wolnością a odpowiedzialnością”, Biblioteka Manhattan (Gdańsk Wrzeszcz)

● **KRAKÓW**, czwartek 27 marca godz. 18.00, projekcja filmu oraz spotkanie dyskusyjne z red. Stawiskim i Anną Piekarczyk, „Pułkownik House” z cyklu „Portrety Ameryki”. Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20). Spotkanie będzie transmitowane online.

● **LUBLIN**, piątek 28 marca godz. 17.00, spotkanie dyskusyjne z Rafałem Dutkiewiczem

i Wojciechem Samolińskim, „Wielcy. Rozmowa o wybitnych ludziach, których miałem przyjemność poznać w moim życiu zawodowym”, Aula klasztoru oo. Dominikanów

● **GRUDZIĄDZ**, piątek 28 marca godz. 17.30, spotkanie dyskusyjne „Wielki Post. Czym jest dla mnie?” wokół artykułu Piotra Sikory „Wielkopostna równowaga”, Spichlerz 57

● **KĘDZIERZYN KOŹLE**, sobota, 29 marca godz. 18.00, spotkanie artystyczne z udziałem Ewy Drewniak, Michała Zygmunta i dr. hab. Bogdana Wziątka „Opowieść znad brzegu rzeki”, Klub Muzyczny Kameleon (ul. Dworcowa 1)

REZERWUJ
ZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

To tylko żarty

ANNA GOLUS

Publikowanie wizerunków dzieci w dwuznacznym lub wręcz erotycznym kontekście to forma krzywdzenia ich. A to nie jedyne, co ma na sumieniu kontrowersyjny korepetytor z TikToka.

PROSTOCK-STUDIO / SHUTTERSTOCK



RÓŻNI NAS 18 LAT, ALE KOCHAMY się ♥ – brzmi napis umieszczony na górze ekranu w opublikowanym na TikToku filmiku ukazującym dorosłego mężczyznę i chłopca, który wygląda na mniej niż 15 lat. Na dole dopisano: „uczyć matny”. W kolejnym ujęciu widzimy tego samego mężczyznę i nastoletnią dziewczynę. Nad ich głowami napis: „Wiek to tylko liczba, ale kochamy się ♥”, a na dole ekranu dopisek: „w lego i ziemniakach”. Mężczyzna to 33-letni korepetytor Janusz Mirgos, a towarzyszące mu młode osoby – jego uczniowie.

System motywacyjny

„Bierzemy do buzi giga żelka i testujemy” – taki podpis towarzyszył opublikowanemu na profilu korepetytora wizerunkowi chłopca, który jadł dużego czerwonego żelka o podłużnym kształcie. Jedzenie było zresztą częstym motywem na profilu Mirgosa. Jego uczniowie albo testowali produkty (m.in. chipsy o smaku kobiecych miejsc intymnych), albo spożywali wraz z nim posiłki w niekiedy drogich restauracjach i kawiarniach. Korepetytor zabierał ich bowiem na – jak sam pisał – „randki”, podczas których jedli, uczyli się i nagrywali filmy na TikToka.

W jednym z filmów Mirgos podstawa uczniowi do ust szklankę, a chłopiec pije z niej przez słomkę, po czym role się odwracają. W tle słychać dzie-

cięcy głos „Tylko mnie kochaj” (z filmu pod tym samym tytułem). Ten chłopiec, obecnie 16-letni Adam, pojawiał się na filmach Mirgosa od dawna i był określany przezeń mianem „amanta” i „mój chłopaka”. Na jednym z filmów leżał i obejmował korepetytora, który przytulał się do niego, leżąc z głową na jego tułowiu. Na innym otrzymał od Mirgosa tort z napisem „Dla fantastycznego ucznia” i obuwie za kilkaset złotych.

Mirgos dawał też prezenty – od drobiazgów, poprzez klocki Lego, po jeszcze droższe buty. Jeden z uczniów otrzymał obuwie za ok. 1000 zł jako nagrodę za dobre oceny w ramach „systemu motywacyjnego”. Inni otrzymywali nagrody w ramach zachęania nie tylko do nauki, ale również – do hazardu.

Usługi korepetytora

Mirgos sam publikował filmy, z których można się dowiedzieć, że podczas korepetycji oglądał i obstawiał mecze, wciągając w to uczniów. W jednym z nich wystąpił już pełnoletni Rafał, który potwierdził, że Mirgos – według ucznia dla urozmaicenia zajęć – „prowadzi różnorodne konkursy, np. czy Real wygra z Barceloną, i jak ktoś obstawi dokładny wynik, to wygrywa jakąś rzecz”. Chłopak dodał, że przegrana wiązała się niekiedy ze swego rodzaju karą.

Gdy Rafał stwierdził, że „przegrywał konkursy i musiał na przykład jakiś pla-

kat innemu uczniowi wysłać”, na filmie pojawiła się fotografia ukazująca innego, młodszego ucznia, który trzyma w rękach taki plakat. Widać na nim kolaż fotografii Rafała, wśród których znajdują się zdjęcia ukazujące go bez koszulki, a na jednym nie widać też jego bielizny (widać natomiast, że zasłania rękami krocze). Chłopiec, który ten plakat otrzymał, wygląda na mniej niż 15 lat.

Na jeszcze młodszego wygląda uczeń, który na jednym z pierwszych filmów, opublikowanym w 2017 r., bawi się kucykami Pony. Chłopiec ma ok. 12 lat i udaje, że kucyki kopulują. Korepetytor publikował też filmy ukazujące jego uczniów z napojami energetycznymi, e-papierosami i alkoholem. Na jednym widać, jak Adam kupuje piwo, pokazując ukraiński dowód osobisty, a następnie inny uczeń dostaje to piwo w prezencie. Na innym jest chłopiec w koszulce z napisem „Biorę mefedron codziennie” i podpis „Koszulka dla wzorowego ucznia”.

„Dzisiaj egzaminy w chmurze, czyli jak zdać rok szkolny w tydzień i mieć wakacje już we wrześniu. Startujemy!” – mówi Mirgos w filmie, na którym widać, jak towarzyszy uczniowi w zdawaniu. Uczniów, którym korepetytor pomagał w zdawaniu egzaminów online, jest więcej.

To nie PDF

Kilka tygodni temu o Mirgosie zrobiło się w internecie głośno, głównie →

→ z powodu wizerunków uczniów w erotycznym kontekście. Korepetytor został oskarżony o bycie „PDF-em” (czyli pedofilem), a wielu użytkowników TikToka i YouTube’a nagrało filmy o nim albo nawiązujące do niego. Nie wszystkie stanowiły krytykę jego zachowania. Najwięcej publikacji nawiązywało do jego relacji z uczniami w sposób żartobliwy, w ramach tzw. trendu (polega on na tym, że wszyscy robią to samo). Użytkownicy nagrywali filmy, na których uczyli się i spożywali posiłki, podpisując nagrania w sposób charakterystyczny dla Mirgosa (np. „Kiedy się kochacie... ♥”, a dwa ujęcia dalej: „...uczyć języków”) i dodając jego podkład dźwiękowy. Wśród osób wykorzystujących ten trend do tworzenia treści byli nie tylko nastolatki, ale też dorośli, którzy używali go na firmowych profilach (np. szkoły językowej czy prywatnej szkoły średniej).

Co na to Mirgos? Usunął sporo kontrowersyjnych treści i opublikował cztery filmy z oświadczeniami... jego uczniów, którzy wzięli go w obronę i zapewniali, że „nie jest PDF-em”, lecz świetnym korepetytorem, a dwuznaczne treści to tylko żarty. Z tej czwórki dwaj uczniowie byli pełnoletni. Na dwóch filmach występował też Mirgos, ale wypowiadali się głównie chłopcy, nawet na temat jego problemów z prawem i oskarżeń o stalking. Adam zapewnił, że to on jest autorem dwuznacznych opisów filmów korepetytora.

W wyniku zgłoszeń internautów TikTok usunął profil Mirgosa. Biuro Rzecznika Praw Dziecka podjęło natomiast „szereg czynności”, ale nie odpowiedziało na pytania o konkrety. Ktoś zgłosił też sprawę na policję. „Prokuratura Rejonowa Warszawa-Ursynów nadzoruje postępowanie sprawdzające dot. anonimowego zawiadomienia” – odpowiada na pytanie o Mirgosa rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie Piotr Skiba. Potwierdza też, że to nie pierwsze postępowanie ws. korepetytora. Poprzednie, dotyczące nękania 17-letniej Darii, zostało umorzone.

Daria od początku uważała, że jej korepetytor jest trochę dziwny,

ale umiał uczyć matematyki, więc przymykała oczy na określanie zajęć mianem „randek, tylko bez całowania”.

Powinien mieć zakaz

– Mirgos chciał, żebym zdawała rozszerzoną maturę z matematyki, i nie był w stanie zaakceptować, że nie chcę tego robić – mówi Daria, dziś już studentka. – Gdy wybrałam inny przedmiot, zaczął mi ubliżać i wysyłać niezliczoną ilość wiadomości, a gdy go zablokowałam, prosił swoich uczniów, nawet 10-letnich, żeby do mnie pisali. Potem zaczął wysyłać mi niechciane prezenty, a do mojego kolegi napisał, że chce zrobić krzywdę mnie albo sobie. Na czas postępowania dostał dozór policji i zakaz zbliżania się do mnie, na szczęście dał mi już spokój.

Daria mówi, że Mirgos był jej korepetytorem przez 2 lata. Od początku uważała, że jest trochę dziwny, ale umiał uczyć matematyki, więc przymykała oczy na określanie zajęć np. mianem „randek, tylko bez całowania”. – Kiedyś kazał mi rywalizować z inną uczennicą i straszył, że tej, która przegra, wyśle do domu sklopę, obrzydliwego i jadowitego robala – wspomina. – Byłyśmy przerażone, ale nie zrezygnowałyśmy z korepetycji. Dziś wiem, że nami manipulował. Jednak w odróżnieniu od innych korepetytorów pomógł mi zrozumieć matematykę i poprawić oceny, i bałam się, że bez zajęć z nim nie poradzę sobie na maturze. Proponował mi, że podczas samej matury też mi pomoże – za pośrednictwem minikamery w guziku i mikrosluchawki w uchu – odmówiłam, ale wiem, że niektórzy z tej propozycji skorzystali.

– Janusz był moim korepetytorem od końca podstawówki do klasy maturalnej – mówi Ala, inna była uczennica Mirgosa, która również odrzuciła jego propozycję „pomocy” na maturze. – Rodzice płacili mu za korepetycje z matematyki, ale często zamiast się uczyć, spędzaliśmy czas na rozmowach, słuchaniu muzyki i jedzeniu posiłków, które zamawiał. Na nasze spotkania mówił „randki”, a o mnie – że jestem głupia i nie poradzę sobie bez niego na maturze. Wyśmiewał mnie, ale gdy rodzice chcieli zrezygnować z jego usług, rozpłakał się i powiedział, że jestem jego ulubioną uczennicą. Kupował mi papierosy, a mojemu młodszemu bratu, który też był jego uczniem, pożyczył bez wiedzy rodziców ponad 1000 zł. Miałam wtedy trudny okres, nie zależało mi na nauce i nie rozumiałam, jak bardzo złe jest to, co Mirgos robił. Dziś uważam, że powinien mieć zakaz kontaktów z dziećmi.

Kontrowersja dla zasięgu

Mirgos nie odpowiedział na nasze prośby o rozmowę. Udzielił natomiast odpowiedzi na pytania youtubera Tomasza Działowego „Gimpera”. Zapewnił, że wszystkie nieodpowiednie treści – dotyczące relacji z uczniami, alkoholu i narkotyków – to żarty, „kontrowersja dla zasięgu” i że na wszystko zgadzają się tak uczniowie, jak i ich rodzice. Zajęcia określał mianem „randek”, bo *rendez-vous* po francusku oznacza „spotkanie”. W sprawie Darii spędził dwa dni w areszcie, ale potem rzekomo prokurator chwalił jego zaangażowanie w projekt nauczania. Było mu przykro, że ludzie nie rozumieją, że wspólna nauka może być super.

Sprawa Mirgosa, niezależnie od tego, czym zakończy się prokuratorskie postępowanie, mogłaby stać się kanwą ciekawej lekcji – w ramach godziny wychowawczej, a może nawet startującej od przyszłego roku szkolnego edukacji zdrowotnej. Jaka jest granica wolności w relacjach nauczyciel-uczeń? Do czego mogą prowadzić przekroczenia tej granicy? Jak odróżnić ciekawe techniki dydaktyczne od wykorzystywania i manipulacji? To są pytania ważne też na przyszłość, gdy metodę popularności „na Mirgosa” postanowią przejąć również inni internetowi korepetytorzy.

© ANNA GOLUS

Imiona uczniów zostały zmienione

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

OLGA

Drenda: Dusze w maszynach



DOTARŁA DO MNIE WIADOMOŚĆ O zamiarach wydania nowej, zremiksowanej wersji nieco zapomnianej piosenki żartobliwie awangardowego zespołu Kury. „Telekomunikacja” z 2001 r. doczekała się niespodziewanego drugiego życia za sprawą gier online’owych na silniku Mugen, ale ta sława, choć globalna, pozostaje niszowa. Informacja o reedycji właśnie tego utworu wzbudziła we mnie jednak przede wszystkim myśli cokolwiek listopadowe, bo o przemijaniu. Dotyczy on bowiem nie tylko udręk (według podmiotu lirycznego) towarzyszących korzystaniu z usług nieistniejącej już przecież firmy Telekomunikacja Polska S.A., ale także technologii, z którą coraz rzadziej mamy do czynienia, czyli telefonii stacjonarnej. Czy współczesny słuchacz młodszej generacji będzie wiedzieć, o co chodzi? A może tekst okaże się emanować frapującą tajemnicą, jak to bywa z zagadkowymi słowami dotyczącymi przedmiotów, które niepostrzeżenie wyszły z użytku: z „peronówkami” Starego Dobrego Małżeństwa albo „książeczką docelową” Kabaretu Starszych Panów?

O powrocie „Telekomunikacji” dowiedziałam się mniej więcej w tym samym czasie, co o końcu komunikatora Skype. Końcu, który był do przewidzenia, od kiedy usługę kupił Microsoft. Ostatecznie po to duży wykupują mniejszych. Skype ma zostać wyłączony już niebawem i teraz użytkowników czeka migracja do Microsoft Teams, co może się wielu podobać lub nie. Częściowo chodzi oczywiście o siłę przyzwyczajenia, o wygodę, o zakres funkcji. Ale być może także o specyficznego „ducha oprogramowania”. Powszechnie stosowane urządzenia, systemy i aplikacje wielu użytkowników jest skłonnych

A „telefon
grzecznościowy”
kto pamięta?



OLGA DRENDA

obdarzać specyficznym rodzajem „duszy”, co wśród badaczy nowych technologii nazywa się technoanimizmem. A może niekoniecznie duszy, lecz – mówiąc nieco ezoterycznie – aury, elementu, który nie został przewidziany przez konstruktorów, lecz jakby wyłonił się sam i odpowiada za emocjonalną więź, która powstaje na linii maszyna czy kod a człowiek. Na tę aurę składają się zapewne okoliczności rozpowszechnienia danego rozwiązania, jego – czasem niezaplanowane pierwotnie – zastosowanie, reakcje na elementy interfejsu, estetykę, logo, charakterystyczny dźwięk. To sprawia, że „zaprzyżniamy się” z aplikacją, nadajemy imiona naszym komputerom, przywiązujemy się do systemów operacyjnych i tęsknimy za Windowsem XP, a niektórych programów wstyd nam używać, nawet jeśli są użyteczne.

Skype powstał w specyficznym momencie. Estońscy wypuścili ten program kilka lat po powstaniu piosenki „Telekomunikacja”, gdy połączenia międzynarodowe sporo kosztowały, a do tego trzeba było często płacić za nie w specjalnym punkcie i czekać tam na swoją kolej. W czasach wielkich europejskich migracji zarobkowych prosta i darmowa rozmowa przez komputer była rozwiązaniem rewolucyjnym. Na pewno muszą pamiętać to krakowianie, którzy ustawiali się w kolejki w punkcie rozmów międzynarodowych przy placu Wszystkich Świętych, by pogadać za niemałą kwotę z pracującym za granicą bliskim. Skype’owi udało się wtedy skutecznie skurczyć świat.

Na dobre i na złe: łatwość połączenia przyczyniła się też do wymuszenia większej dostępności o dowolnej porze. Dobrze ukała tę niejednoznaczność amerykański kompozytor James Ferraro; w 2011 r. wydał płytę „Far Side Virtual”, w której sklejał rozmaite odgłosy naszego cyfrowego otoczenia, dzingle, melodyjki midi, sygnały – wydobywał z tych nieszkodliwych dźwięków coś niepokojącego i dystopijnego. Wśród składowych tej obłej dźwiękosfery znalazł się i sygnał Skype’a. Ale mimo wszystko prostota i przystępność tego rozwiązania sprawiała, że wielu użytkowników wolałoby je od „przymusowo dobrowolnej” migracji do MS Teams. A przynajmniej wybrałaby do rozmowy na przykład z babcią. Ten program bowiem, choć używany powszechnie, cieszy się wyjątkowo złą sławą („nienawisć do Teams” to temat intensywnie i od lat dyskutowany w internecie). Nie tylko ze względu na techniczne defekty, lecz też fakt, że kojarzy się z pracą, pracą wylewającą się na życie prywatne i pochłaniającą je w całości, z korporacyjną atmosferą zjadającą twój dom i wymuszającą w nim bezwzględność efektywności.

Jest jeszcze jeden ważny element. Skype przez lata był dumą Estonii i świadectwem innowacyjności „nowej Europy”. Teraz wiara w pragmatyczny globalizm i to, że „i tak wszyscy będziemy korzystać z usług big techów”, spotyka się z całkowicie uzasadnionym i zasłużonym sceptycyzmem. Warto zatem tym bardziej pamiętać o śp. Skypie, im bardziej trzeba będzie powtarzać sobie, że Europa potrafi. ©

Olga Drenda jest etnologką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

ODRODZINY TRÓJKI

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA, DYREKTORKA PROGRAMU 3 PR:

Media publiczne powinny być wyłączone z komercyjnego obiegu,
by robić swoje na najwyższym poziomie.
Ich obowiązkiem powinien być też fact checking jako strategiczny cel państwa.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Byłam pewna, że gabinet dyrektorki Trójki jest o wiele większy.

AGNIESZKA SZYDŁOWSKA: Ale to nie ten prawdziwy.

Jak to?

Kiedy w styczniu 2024 r. nowa funkcja zaprowadziła mnie wprost do miejsca, które powszechnie nazywa się gabinetem dyrektora, zastałam ciemne meble, skórzane kanapy, w przeszklonej gablocie dziwne książki, a do tego przemówienia prezydenta Andrzeja Dudy. Dwie minuty wystarczyły na podjęcie decyzji o tym, że chcę pracować w pokoju obok, gdzie dotąd znajdował się składzik – pomieszczenie dla nikogo i do niczego. Po całym radiu pozabierałam różne rzeczy: ten różowy fotel wyprowadziłam z drugiej części budynku, siadywali w nim politycy przed wejściem na antenę. Kupiłam też trochę kwiatów. Część z nich zaniósłam do studia Osieckiej, gdzie od razu zaczęliśmy nagrywać koncerty.

Gesty osławiające przestrzeń?

Poniekąd ją odczarowujące. I tu nie chodzi wyłącznie o ostatnie lata, kiedy radio dewastowała poprzednia ekipa rządząca, ale też o dekady poprzedzające. Trójka przecież powstała w 1962 r., 1 kwietnia będzie obchodzić 63. urodziny. To kawał czasu z lepszymi i gorszymi momentami.

Mit dobrej Trójki ma wielu wyznawców.

Spójrz na tę gigantyczną książkę wydaną z okazji półwiecza radia. „33 x Trójka”, autorem jest Wiesław Weiss, bezcenna rzecz. Często do niej zaglądam, bo tam jest historia, choć wybiórcza, tylko niektóre audycje zostały opisane.

Ta przeszłość Trójki jest poprzeczką?

Bogactwem. A ja, jako dyrektorka, dostałam zadanie: odzyskanie wiarygodności i odbudowa podstawy degradowanej od roku 2016 przez kolejne osiem lat. Początkowo mało kto w nas wierzył i wszyscy dookoła mówili, że to się nie może udać. Przez wiele miesięcy dostawaliśmy tego rodzaju sygnały.

I?

Szacowałam, że jest źle, ale nie zdawałam sobie sprawy ze stopnia degrengolady na poziomie ludzkim. Pracownicy przychodzili do mojego pokoju i nadawali na siebie w sposób bezwzględny. A ze mnie robili sędziego jakiejś sprawy. Większość życia przeżyłam jako osoba, która miała dyrektora czy kierownika, i przysięgam z ręką na sercu, że nie pamiętam, bym na kogoś skarżyła. Trudnością było też i to, że dziennikarze byli zastraszeni.

Zastraszeni?

Przez pierwsze miesiące mojego dyktowania właściwie non stop słyszałam pytanie, czy można ten temat zrealizować, tego gościa zaprosić, w tym wydarzeniu uczestniczyć. Jeśli dziennikarz przychodzi do dyrektora z elementarnymi

kwestiami z zakresu swojej pracy, to znaczy, że pozbawiono go autonomii.

Pozbawiono go czy raczej sam się pozbawił?

Ludzie kilka lat pracowali w warunkach i atmosferze niesprzyjającej sprawczości. Do końca nie byli pewni, które z materiałów przez nich zrealizowanych zostaną wyemitowane, gdyż w ostatniej chwili mogli dostać informację, że ten temat jest na cenzurowanym i zostaje ściągnięty.

Trójka powstała za rządów Gomułki, kiedy szalała cenzura, a mimo to już wtedy, jak i w każdej kolejnej dekadzie PRL-u pracownicy potrafili przemycić treści między słowami. Dziennikarzowi tak łatwo dziś zasnuwać usta?

Jeśli na kolegium redakcyjnym dziennikarz wyrazi inne zdanie niż dyrektorka, to nie oznacza, że ma on powiedzieć „OK” i odstąpić od tematu. To jest ten moment, kiedy może o temat zaważyć. Jeśli podnoszę brew – coś mnie nie przekonuje, mam za mało danych – to znaczy, że jestem gotowa do rozpoczęcia rozmowy.

Wniosek?

Na bierną postawę mogły złożyć się dwa czynniki: opresja wynikająca z upolitycznienia stacji oraz nauka płynąca z kapitalizmu stawiającego na bezwzględne podporządkowanie się szefostwu. Skoro karze, to wymaga, jak nie posłucham, to



Agnieszka Szydłowska w studiu radiowej Trójki. Warszawa, 20 marca 2025 r.

wylecę, jeśli nie zrobię, będzie niezadowolony. Efekt był też taki, że dziennikarze traktowali Trójkę jak robotę, którą wykonuje się bez zaangażowania, czasami zwyczajnie odwala i wraca do domu. Dziennikarz był człowiekiem do wynajęcia, to samo by robił w każdej innej stacji. Zostałam w zespole kilka osób, które miały radiowy warsztat, to znaczy wyrobiony głos i umiejętność prowadzenia audycji. Tyle że nie stało za tym nic więcej.

Bez autorskiego podejścia?

Pamiętasz akcję „Orzeł może”? Dzieśięć lat temu Trójka zrobiła ją wspólnie z „Gazetą Wyborczą”. A chodziło o to, by wykrzesać z narodu więcej optymizmu.

Pokazać, że jest w nas potencjał, umiemy robić rzeczy niepowtarzalne i możemy być z tego dumni. Nie do końca było mi po drodze z paradowaniem za czekoladowym orłem, cieszyłam się w duchu, że mam w tym czasie do zrobienia coś innego: polecałam do Londynu na wymarzony wywiad z Thomem Yorke’em.

Ale uczestniczyłam w zebraniu w studiu Osieckiej, na którym Magda Jethon, ówczesna dyrektorka, mówiła, jak widzi tę akcję, a jedna z koleżanek wyrażała swoje wątpliwości pytaniem, czy to jednak dobry pomysł, czy nie powinniśmy się bardziej zdystansować od polityków. Co pokazuje, że zespół Trójki był niejednorodny. Jednocześnie za Trójkę pokro-

iłby się każdy tam pracujący, niezależnie od poglądów i od tego, kogo się lubi, a kogo nie.

Krzysztof Skowroński, dyrektor Trójki od 2006 r., pokazał, że można mieć skryształizowany światopogląd prawicowy, ale nie decyduje on o kształcie stacji. Pod jego skrzydłami radio przeżyło renesans.

Z Krzyskiem przesłałam chrzest bojowy. Na żywo ze studia w Krakowie prowadziłam rozmowę z Maurycym Gomulickim. Opowiadał on o swojej wystawie składającej się z cyklu kolaży – mandali tworzonych z miniaturowych zdjęć wagin rozmaitych kształtów i kolorów. →

→ Maurycy mówił, że całkowicie oddał się pracy i że on, jak patrzy na – teraz cytuję artystę – „pizdę”, to czuje absolutny zachwyty. I po zakończeniu audycji widzę, że dzwoni Skowroński. Struchlałam: wiadomo, jak szef bezpośrednio dzwoni do dziennikarza, to raczej z niczym dobrym. A on mówi: „Brawo, to było spontaniczne. Prawdziwe”. Krzysztof takim był właśnie dyrektorem: kochającym radio. Chciał, by ono było wiarygodne, by dużo się w nim działo, by pojawiały się nowe pomysły, ludzie ze sobą rozmawiali i współpracowali. Był stymulantem radiowego szaleństwa.

Swobody?

Dla publicznych mediów to był ciekawy czas. Kiedy zaczynałam w nich pracę, nie do końca rozumiałam sinusoidy, i że one są politycznie motywowane, a po każdych wyborach wygrane ugrupowanie rozdaje karty. Jednak zawsze najwięcej zależało od tego, komu powierzano szefowanie anteną. W ostatnich latach mieliśmy politycznych urzędników, tymczasem Skowroński pokazał, że da się robić radio inaczej. Choć dziś, czytając jego wypowiedzi, myślę, że raczej nie spotkalibyśmy się w myśleniu o Trójce. Ciekawe są te ludzkie transformacje.

Tworzenie radia publicznego

A.D. 2025 jest bardziej ryzykowne niż za czasów Skowrońskiego?
Sądzisz, że to ryzykowne?

A nie jest? Gruntownie zmienili się media, mają dużą konkurencję: platformy muzyczne i radia internetowe. Młodzi ludzie raczej radia nie słuchają.

A starsi słuchają?

Na pewno spora część słucha Radia Maryja. Ojciec Tadeusz Rydzek, zakładając w Toruniu tę stację, pomyślał o ludziach, którzy nie byli beneficjentami transformacji ustrojowej i zostali zignorowani przez każdy rząd po roku 1989.

Kiedyś mówiliśmy, nie bez złośliwości, że podobieństwo między Trójką a Radiem Maryja polega głównie na tym, że słuchacze, ze względu na swój wiek, nie będą nas słuchać przez kolejnych 40 lat. Badania z końca roku 2024 dotyczące zasięgu stacji radiowych pokazują, że rok do roku największy wzrost, na poziomie 2 pkt.

Wprawdzie nie mamy łaski wiary, ale Trójka jest medium podobnym do Radia Maryja.

Chodzi o zaspokajanie innych potrzeb niż stacje komercyjne,

często podobnie brzmiące, z milionową publicznością.

proc., zanotował RMF, a na drugim miejscu jest Radio Zet ze wzrostem 1,5 pkt. proc. To stacje, które z naszej perspektywy w promocję inwestują kosmiczne sumy – wkoło i wszędzie widzisz przecież RMF i Zetkę. Na trzecim miejscu uplasowało się Radio Maryja ze wzrostem zasięgu o 0,9 pkt. proc., a po niej jest Trójka – z 0,5 pkt. proc. nadwyżki. Wprawdzie nie mamy łaski wiary, ale ten wynik pokazuje, że Trójka jest medium podobnym w strukturze do Radia Maryja.

Chodzi o szczególnego słuchacza?

I zaspokajanie innych potrzeb niż stacje komercyjne, często podobnie brzmiące, z milionową publicznością. Trójka nigdy nie będzie mieć tylu słuchaczy. Ona będzie przyciągać do siebie ludzi poszukujących rzeczy inteligentnych i lubiących odkrywać złożoność świata. Zmęczonych biciem piany – faworyzowaniem treści politycznych, antagonizowaniem i pogłębianiem polaryzacji. Nieodwracających się od tego, co się dzieje w geopolityce, ale jednocześnie gotowych na pogłębianie tematów.

Choćby kryzys klimatyczny... Dla nas nie jest on kwestią polityczną, tylko naukowo potwierdzonym faktem. Rozmawiając o nim, przyjmujemy perspektywę tych, którzy muszą sobie radzić z jego skutkami. Demagogia nas nie interesuje.

Taka ma być Trójka?

Mamy umożliwiać słuchaczom pełny dostęp do kultury. I to nie wyłącznie poprzez opowiadanie o tym, co się w niej dzieje. Czytamy na antenie książki. Nadajemy koncerty na żywo, więc niezależnie od tego, gdzie mieszkasz, możesz w nich uczestniczyć. Zabieramy słucha-

czy do teatru: co tydzień jest słuchowisko, i to wcale nie o północy, kiedy zazwyczaj śpisz, tylko o godzinie 19. Podkreślam raz jeszcze i z całą mocą: swobodny dostęp do kultury media publiczne powinny mieć wpisany grubymi literami do ustawy medialnej.

Powinny też rozdzielać to, czym jest rzetelna, obiektywna, niezinterpretowana informacja, a czym są publicystyka, opinia i komentarz. Tych dwóch porządków nie wolno mieszać. Nie wolno też poddawać się emocjom, ściemom i fake newsom. *Fact checking* także powinien być obowiązkiem mediów publicznych, jako strategiczny cel państwa.

To ten ideał?

Być może media publiczne powinny być wyłączone z komercyjnego obiegu, by robić swoje na najwyższym poziomie. Warto przemyśleć, jak ochronić ich strukturę przed politycznymi zawirowaniami, by nie powtórzyła się historia. Zniszczenie Trójki, z którego podnosimy się od roku, ma nie tylko symboliczny wymiar. To była stacja rozpędzona, z wynikami słuchalności, przynosząca dochody. To też zostało zrujnowane.

Mamy przykłady ze świata, że media publiczne mogą działać skutecznie i cieszyć się zaufaniem. Jest brytyjskie BBC, amerykańskie NPR – dosłownie publiczne medium. W 2019 r. za pierwszej prezydentury Donalda Trumpa podróżowałam po Stanach autem, słuchając NPR. I do tej pory pamiętam, w jaki sposób komentowano wystąpienie prezydenta – puszczano fragment, a potem dwie osoby o przeciwstawnych poglądach odnosiły się do jego słów. Bez jadu, awantury, argumentując.

I Ty wierzysz, że w Polsce da się jeszcze w ten sposób prowadzić dyskusję?

Moje wysiłki jako dyrektorki idą w tym właśnie kierunku. Wiem też dzięki przeprowadzonym badaniom, że słuchaczami Trójki są ludzie dojrzały, głównie grupa między 40. a 59. rokiem życia. I kiedy mówisz, że młodzi radia nie słuchają, to rzeczywiście znajdziemy wiele argumentów na udowodnienie tej tezy. Tyle że radio to już nie tylko stojące w kuchni zgrabne pudełko, które włączasz tuż po przebudzeniu i ono towarzyszy ci przez cały dzień. Trójka jest też medium, które ofe-

ruje podcasty, możesz je odsłuchać w dowolnym czasie. Jeżeli temat jest interesujący dla ludzi, to naprawdę nie ma znaczenia, w jakim oni są wieku.

Jestem bardzo dumna z Trójkowych podcastów społecznych. Z „Onkostory”, gdzie Agnieszce Trzeciakiewicz ludzie opowiadają o swoich zmaganiach z chorobami onkologicznymi, a specjaliści dzielą się swoim doświadczeniem. Wśród zrealizowanych odcinków jest jeden, który szczególnie mnie porusza, bo piękne świadectwo życia ze świadomością policzonego czasu dał w nim Jan Herńnik, mój zmarły na początku roku przyjaciel. A Kasia Stoparczyk, dziennikarka z „dawnego zestawu” Trójki, kojarzona z „Zagadkową niedzielą”, prowadzi podcast „II16 III” – oparty o prawdziwe historie młodych dorosłych w kryzysach psychicznych i życiowych. To dla mnie ważne też dlatego, że w rozmowach z Kasią odkryłam, iż przez lata pracy stała się pogotowiem ratunkowym dzieciaków w kłopotach. I w końcu ma szansę połączyć oba te światy na antenie.

Młodzi to najbardziej wymagająca grupa słuchaczy?

Ale ich nie kokietujemy. Sama pamiętam, jak pracowałam w Rozgłośni Harcerskiej i wtedy dostawaliśmy od starszych kolegów cięgi za to, że na antenie non stop puszczałyśmy hip-hop. Dziś rap jest najbardziej popularną muzyką na świecie, ale wtedy trzeba było się ciągle z niego tłumaczyć. A on był częścią tożsamości mojego pokolenia. Miałam 20 lat i śmialiśmy się z kolegami rówieśnikami z kolegów starszych o pokolenie, którzy próbowali nam opowiedzieć o młodych ludziach z perspektywy swoich 50 lat.

A młodzi dziennikarze w Trójce?

Mówimy im: macie wolną rękę, tylko pamiętajcie, że zależy nam na tym, by odbudować pewien etos, a cała reszta to jest wasza odpowiedzialność, bo tworzymy radio autorskie. Prędzej czy później nasi młodzi prowadzący spotkają się z młodymi słuchaczami. Ale wiesz, co jest ciekawe? Oni pracują, a potem wychodzą. Cięcie. Praca to praca, życie to życie. Oddzielają te dwie sfery.

Zaraz, zaraz: dziennikarstwo to nie robota między ósmą a szesnastą. Gdzie ten etos?



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

AGNIESZKA SZYDEŁOWSKA (ur. 1974) jest dziennikarką radiową i telewizyjną. Pracowała w Rozgłośni Harcerskiej, a następnie w Radiostacji. W Programie 3 Polskiego Radia prowadziła m.in. audycje „Radiowy dom kultury” i „Program alternatywny”. Po odejściu z Trójki pracowała w newonce.radio. Od 18 stycznia 2024 r. jest dyrektorką Programu 3 PR.

Tu następuje absolutnie zderzenie pokoleniowe. Ty i ja oddajemy całe życie robotcie, jesteśmy niewolnikami kultury zapierdolu. Ludzie dwadzieścia lat młodszy wiedzą, że to ślepa ulica. Młodzi nie rezygnują ze spraw zaplanowanych w ich prywatnym czasie. To nie my, tylko oni mają rację.

Tu o rację chodzi?

Na początku rozmowy mówiłam, że przez pierwsze trzy miesiące mojego dyrektorowania przychodzili do mnie dziennikarze z każdą drobnostką. Ja im pomagałam rozwiązać problem, oni wychodzili do domu o 17, a ja zostawałam do 22, bo miałam pracę, której nie byłam w stanie wykonać w ciągu dnia. W końcu musiałam powiedzieć: „stop”. A wierz mi: długo się z tym wozila. Zrozumiałam, że Trójkowe obowiązki muszę zmieścić w wyznaczonych przez siebie granicach.

Udało się?

Jakoś się udało. Teraz pomiędzy kolejami odbieram miliard telefonów i odbywam drugie tyle rozmów, a czasami jeszcze robię audycję. Sama sobie zazdroszczę czasów, gdy byłam dziennikarką i miałam kilka godzin na przygotowanie audycji w pełnym komforcie.

To jest cena, którą płacisz za to stanowisko?

Sama odpowiedź na to pytanie: ile razy w Polsce za naszego życia zdarzyło się, żeby tego typu zadanie jak zarządzanie publicznym radiem powierzono kobiecie? Czy mogłabym liczyć się z tym, że powiem „nie” i jednocześnie dostanę kiedykolwiek porównywalną propozycję? Choć wcześniej, przez cztery lata po odejściu z Trójki w roku 2020, wiodłam super poukładane życie. Byłam typowym przykładem freelancera zaczepionego w radiu newonce. Zdarzały się momenty, w których martwiłam się o zarobki, czasami szybko wchodziłam na wysoką falę, pracowałam intensywnie i oszczędzałam na przestoje. A jednocześnie miałam czas na czytanie, oglądanie, słuchanie, zwiedzanie, rozmyślanie.

I DJ-owanie z Dorotą Mastowską?

Dorotę podziwiam od jej debiutu – „Wojny polsko-ruskiej pod flagą białoczerwoną”. Pracowałam wtedy w Pegazie i w jednym z programów mieliśmy materiał o super zdolnej maturzystce z Wejherowa. Pamiętam, jak dziś: stała na balkonie i paliła papierosa. A ja myślałam: „To ona pali przy rodzicach?”.

Dorota jest dla mnie fitnesssem mózgu. Kiedy ją czytam, jestem pod niezmiennym wrażeniem, jak słowa, które łączy w koślawym chichocie, powodują, że mi się coś otwiera, rozumiem więcej i głębiej. Kochałam nasz wspólny podcast pod niepoprawnym tytułem „Godzina czasu”.

A to wspólne granie?

Obie lubimy się bawić nie tylko do dobrej muzyki, czasami ciekawsze jest to, co nie wyszło, co skompromitowane. Nawet ktoś to ostatnio nam po kolejnej DJ-skiej imprezie napisał, że gdyby rozłożyć na części pierwsze nasz set i zanalizować wybór piosenek, to wyszłoby, że mamy naprawdę okrutnie zły gust. A w naszym wspólnym graniu chodzi o to, że najlepszą zemstą wobec wszystkich tego świata niedogodności jest radość. Jeżeli komuś, kto ci truże, jak masz żyć, chcesz naprawdę zrobić przykrość, to stań na przeciwko niego ucieczona. I kiedy z Dorotą gramy, a ludzie zaczynają tańczyć, wytwarza się kula wspólnej radości. Tu stawką jest szczęście. Ta zabawa nie ma niczego wspólnego z intelektem. To jest na poziomie ciała.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

O co chodzi



COKOLWIEK BY NIE POWIEDZIEĆ O NASZEJ steranej podziałami ludzkości, ma ona przynajmniej jedną cechę wspólną. Jest to żarliwa i nieustająca ciekawość świata, której prześwieceniem płonem są wyszukiwarki internetowe.

Wyszukiwarka internetowa jest dziś podstawą bycia i życia. Człowiek bez wyszukiwarki jest – popatrzmy – skazany na korzystanie z bazy danych własnego umysłu. To prosty sposób na kompromitację, droga do śmieszności, zdziwienia i osamotnienia. Posługiwanie się dziś własnym rozumem podczas dowolnej dyskusji, powoływanie się na pamięć, na własne doświadczenie to samobójstwo.

Weźmy dla przykładu taką okoliczność: bliźni, z którym prowadzimy akurat, wydawałoby się, niezobowiązującą rozmowę o pierwszych oznakach wiosny, powiada do nas tonem nadętym, że oto na balkonie można już i sadzić, i siać. Bierze ów swą wiedzę nie ze sprawdzonego źródła, nie z wyklikanego repozytorium wiedzy globalnej na temat upraw balkonowych, a z przekonania – jak to się mówi – wewnętrznego. Z rzekomego doświadczenia pokoleń, a na dodatek z nasłuchiwaniami ptasich szczebiotów, obserwacji pączków i zerkania na termometr zaokienny. Oczywiście tzw. wewnętrzne przekonanie jakiegoś Kowalskiego, jego naiwne spostrzeżenia, powoływanie się na mądrości w stylu: „na świętego Grzegorza idzie zima do morza”, nic nie są warte. Jest dla nas jasne, że jest to człowiek epoki minionej, to sterany kombatan, po wielokroć sfrustrowany przymrozkami przygrunowymi. A więc wyciągamy telefon, uruchamiamy na jego oczach naszą wyszukiwarkę,

wpisujemy pytanie na temat upraw balkonowych i przygniatamy go jedynie słuszną wiedzą sprawdzoną globalnie, od Arktyki po Antarktydę. Bliźni ten, na co patrzymy z satysfakcją, pierw robi się czerwony jak burak, wstydzi się, bowiem brak wiedzy upokarza, i się oczywiście polaryzuje i radykalizuje. Przestaje być miłym, naiwnym znajomym z brakami w sprawach przyrodniczych, a staje się nienawistnikiem i radykałem zdolnym zabić. Rzecz jasna, w tej przemianie bardzo mu pomaga wyszukiwarka, z której się nauczył korzystać i bez której nie wyobraża sobie już ani życia, ani współżycia, ani niczego, co mu podpowiada wyobraźnia.

My także – jak tu ponuro siedzimy – narkotyzujemy się wiedzą pochodzącą z wyszukiwarek i nie wyobrażamy sobie poranka bez zapytania którejś z nich o znaczenie snu czy sprawdzenia, co nas boli. Nisko, w lewym boku, *vis-à-vis* ślepej kieszki. Przecież tam nic nie ma. A jednak musimy wiedzieć, czym to się leczy, i jakie są statystyki śmiertelności wśród mężczyzn po sześćdziesiątce cierpiących na to schorzenie. I tak przez cały dzień, aż do wieczora. Można więc rzec, że wieczorem przed zaśnięciem wiemy wszystko, a wszystko to jest gruntownie sprawdzone, w tym statystyki śmiertelności w czasie snu. Nie ma – podkreślamy – niczego, czego byśmy nie wiedzieli.

Powinniśmy zatem być zadowoleni, czuć się lepiej, spokojniej i pewniej, a tymczasem jest na odwrót. Czujemy się gorzej, jesteśmy niespokojni i niepewni. Poczucie wszechwiedzy w zasięgu ręki nas nie satysfakcjonuje. Inni mają podobnie. Niby wiedzą, ale nie wiedzą. Szukają więc dalej i kopią głębiej. Założyliśmy, że ludzie korzystający z wyszukiwarek przestają zadawać proste pytania, bo proste odpowiedzi im już nie wystarczają. Zaczęli więc wyszukiwarkom zadawać zadania problemowe, zaczynające się od słów: „o co chodzi z...”. Na przykład ostatnio ludzie są ciekawi „o co chodzi z Trumpem” albo „o co chodzi z wiosną”, albo „o co chodzi z czekoladą dubajską”, albo „o co chodzi z Nawrockim”. Słowem, wiedza ludzi o co chodzi z czymkolwiek jest zerowa. Bardzo smutne. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM!**

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**



EFEKT TRUMPA

Prezydent USA wywrócił kanadyjską politykę do góry nogami i obudził kanadyjski nacjonalizm. Nawet jeśli ma on postać jedynie bojkotu amerykańskiej whisky, wydaje się bardzo niekanadyjski.

MAŁGORZATA SIDZ Z EDMONTON (KANADA)

JUSTIN TRUDEAU, PRZEZ NIEMAL DEKADĘ premier Kanady, definitywnie przeszedł do historii. Przynajmniej w tej roli, bo nie jest wykluczone, że 53-letni dopiero ekspolityk znajdzie dla siebie jakąś nową przestrzeń aktywności.

W ciągu tej dekady Trudeau przeszedł nieoczywistą drogę: od początkowego zachwyty, potem przez coraz większą niechęć (ze strony rodaków, bo w świecie wciąż go lubiano), aż po odbudowanie – na koniec – jeśli nie popularności, to szacunku. A to za sprawą twardej postawy

wobec Donalda Trumpa, który uparł się, by tytułować go „gubernatorem” (jakby Kanada już była częścią USA).

Nowy premier, 60-letni Mark Carney – zaprzysiężony 14 marca – nie ma wprawdzie aparycji Justina Trudeau. Ma jednak inne atuty. Znamienne, że



JENNIFER GAUTHIER / REUTERS / FORUM

Usuwanie butelek amerykańskiego wina z półek w sklepie z alkoholami w Vancouver. Napis z lewej zachęca do kupowania kanadyjskich produktów zamiast amerykańskich. 10 marca 2025 r.

deau złożył rezygnację 6 stycznia, za sprawą dojmującego spadku poparcia i konfliktów wewnątrz jego partii.

Potem jednak stało się coś niezwykłego: w ostatnich dwóch miesiącach urzędowania Trudeau sondażowe notowania Partii Liberalnej wzrosły o kilkanaście punktów procentowych, do ok. 34 proc. Natomiast konserwatyści, którzy do niedawna chętnie przychylali się do określenia, że Poilievre to „kanadyjski Trump”, notują spadek. Wprawdzie wciąż cieszą się poparciem ok. 38 proc., ale w styczniu było to 46 procent.

Jest tylko jeden powód, który wyjaśnia tę zmianę: ataki Trumpa na Kanadę i Trudeau.

CZAS TRUDEAU | Były już premier zawdzięczał swój wybór w 2015 r. głosom młodych. Obiecywał im walkę z kryzysem klimatycznym, wspieranie praw mniejszości, pojednanie z członkami Pierwszych Narodów i legalizację marihuany (dla wielu pewnie to ostatnie było najważniejsze). Kampanię wyborczą zaczął na tęczowej paradzie w Vancouver. Mówił o nadziei, chciał przywrócić wiarę w rząd. *Sunny ways*, powtarzał, idźmy drogą światła. Porównywano go do Obamy, ówczesnego prezydenta USA.

Dziś sklepy z legalną marihuaną są co krok, ale oczekiwania i problemy się zmieniły. Kryzys poparcia dla Trudeau zaczął się wraz z pandemią. Miano mu za złe nie tylko surowe restrykcje, ale też sposób traktowania protestów przeciw tym restrykcjom. Oraz inflację, którą wywołały finansowe zapomogi z tego czasu. Odtąd jego rządy kojarzą się głównie ze wzrostem kosztów życia, wzrostem cen nieruchomości i najmu oraz właśnie inflacją.

Do tego rachunku wielu dolicza złą politykę imigracyjną. W ostatnich latach Kanada akceptowała nawet po milion przybyszów rocznie. Nie były na to gotowe rynek pracy, infrastruktura ani rynek nieruchomości. Z czasem zaczęto też krytykować warunki umowy handlowej NAFTA (dziś USMCA) ze Stanami Zjednoczonymi z 2018 r.

KAWA CANADIANO | Jednakże swojego premiera mogą krytykować Kanadyjczycy, a nie ktoś z zewnątrz. Gdy Trump zaczął kpić z Trudeau jako „gubernatora Kanady”, nawet najbardziej przeciwni mu rodacy stanęli za nim murem. Doceniono też jego twardą postawę wobec groźby ceł. Kanadyjczycy po raz pierwszy od lat zobaczyli w nim silnego lidera.

Dzięki Trumpowi Kanadyjczycy zjednoczyli się wobec wspólnego wroga. W sklepach zaczęto zaznaczać flagą z liściem klonowym rodzime produkty. Konsumenci zaczęli bojkotować produkty z USA i odwoływać wycieczki na Hawaje.

W mediach społecznościowych popularne są dziś strony, gdzie ludzie dzielą się informacjami o kanadyjskich zamiennikach dla amerykańskich produktów. Według portalu Newswire.ca aż 84 proc. Kanadyjczyków zaczęło czytać etykiety, by unikać kupowania tego, co amerykańskie. Kawa americano to teraz w wielu kawiarniach kawa canadiano.

Trump dokonał również niemożliwego: sprawił, że patriotyzm czują dziś nawet mieszkańcy francuskojęzycznego Quebecu, z których wielu marzy o secesji i niepodległości.

Z TARCZĄ | Dziś można powiedzieć, że ministra finansów Chrystia Freeland, która zrezygnowała w okolicy Bożego Narodzenia i zainicjowała tym efekt domina, doprowadzając do rezygnacji premiera, uczyniła mu przysługę.

Dzięki ostatnim miesiącom Trudeau odchodzi z tarczą, a nie na tarczy. Pytany na pożegnanie, co sądzi o ciągłych zmianach decyzji w sprawie ceł ze strony Trumpa – to, co ministra spraw zagranicznych Melanie Joly nazywa „melodramatem” – podsumował swoje urzędowanie, mówiąc, że przeżył już wojny i pandemię, więc kwestie związane z Trumpem to dla niego „zwykły czwartek”.

Na koniec ogłosił zaś ogromny projekt infrastrukturalny: budowy szybkiej kolei łączącej główne ośrodki wschodniej Kanady: Toronto z miastem Québec, przez Ottawę i Montreal. Budowa zajmie cztery lata, a pociąg ma osiągać prędkość do 300 km/h. To trochę tak, jakby chciał powiedzieć Trumpowi: ja nie mówię, by budować mój kraj, ja to robię.



członkowie Partii Liberalnej wybrali go wcześniej na nowego lidera ogromną większością, oddając na niego prawie 86 proc. głosów.

ZWROT NASTROJÓW | Teraz kraj czekają, prędzej lub później, przyspieszone wybory (te planowe miały się odbyć jesienią). To, czy Kanadyjczycy wybiorą w nich premierem Carneya, czy też postawią na lidera konserwatystów Pierre’a Poilievre’a, zależy od tego, kogo uznają za lepszego bojownika w dwóch konfliktach: w rozpętanej przez Trumpa wojnie handlowej oraz w walce z rosnącymi kosztami życia. Koszty bowiem są dziś głównym problemem wewnętrznym.

Jeszcze pod koniec 2024 r. wydawało się, że na szczęblu ogólnokrajowym kończą się w Ottawie rządy liberałów. Tru-

→ **Z ZEWNĄTRZ** | Kim jest Mark Carney? To pierwszy premier w historii Kanady, który nie ma doświadczenia politycznego. Jest ekonomistą (absolwentem Harvarda i Oxfordu), pracował dla prywatnych banków, potem w latach 2008-13 był prezesem Banku Kanady, a w latach 2013-20 prezesem Banku Anglii (pierwszym w jego historii prezesem z zewnątrz, nawet jeśli to wciąż Brytyjska Wspólnota Narodów).

Wybór Carneya pokazuje, że gospodarka to dziś priorytet, a kwestie idei i wartości liberalnych muszą ustąpić zadaniu najważniejszemu: stawieniu czoła Trumpowi. Ekonomista wydaje się naturalnym wyborem.

Dla Carneya, który Trumpa nazywa „szkolnym prześladowcą”, to niemal misja. W mowie wygłoszonej w dniu wygranej przywołał postać lidera Partii Konserwatywnej, mówiąc, że Kanadzie „potrzebny jest nie ktoś, kto będzie klęczał przed Trumpem, lecz ktoś, kto mu się postawi”.

Carney zapowiada bój do końca, aż „USA okażą Kanadzie szacunek i dopóki nie dołączą do nas w tworzeniu wiarygodnych i rzetelnych zobowiązań na rzecz wolnego handlu”. Ostrzega, że „nastaly mroczne dni”, a sprowadził je na Kanadę „kraj, któremu już nie możemy już ufać”. Dodał, że Kanada „nigdy, przenigdy” nie będzie częścią USA.

PRIORYTETY | Carney przyznaje, że jest outsiderem w świecie polityki (według sondażu ze stycznia 76 proc. Kanadyjców nie potrafiło rozpoznać go na zdjęciu), ale nie uważa tego za słabość. „Gospodarka jest słaba, dlatego tu jestem. Potrzebne są wielkie zmiany” – mówił. Te zmiany to szukanie nowych partnerów handlowych, uszczelnianie granic i tworzenie silnej ekonomii. Zapowiada też, że będzie kontynuować tradycję rządów Trudeau: „fiskalnej odpowiedzialności, sprawiedliwości społecznej i relacji międzynarodowych”.

Nowy gabinet jest zmniejszony z 36 do 23 osób. Tylko trzy to nowe twarze, pozostali to postaci z rządu Trudeau. W dniu zaprzysiężenia Carney określił Kanadę jako „dynamiczną nację, która celebrowa różnorodność, dba o najsłabszych i dąży do lepszego jutra”. Obiecał, że skupi się na tym, „co najważniejsze dla Kanadyjców”, tj. na rozwoju, tworzeniu do-



Nowy premier Kanady Mark Carney

brych miejsc pracy, bezpieczeństwie i obniżeniu kosztów życia. To ostatnie, obok wojny handlowej z USA, nazwał najważniejszą kwestią dla rządu.

DRUGI JUSTIN? | Wcześniej, gdy nominacja Carneya na lidera Partii Liberalnej była dopiero plotką, Partia Konserwatywna ukuła hasło przeciw niemu: „Just like Justin” („Taki sam jak Justin”). Pierre Poilievre nazwał nowy rząd „gabinetem Trudeau po operacjach plastycznych”. W dniu zaprzysiężenia premiera stwierdził, że głos oddany na Partię Liberalną to „czwarta kadencja Trudeau – ta sama ekipa, te same obietnice, te same cele”.

Polemizując, Carney zarzucił liderowi konserwatystów brak wiedzy ekonomicznej i podkreślił, że w odróżnieniu od niego zna sektor prywatny od podszewki. Carney z dumą określa siebie jako technokratę, który „ma kontakty” w świecie.

Dla krytyków jest stereotypową postacią człowieka z Davos, członka Światowego Forum Ekonomicznego i snobem, który w imię ambicji zawodowych porzucił swego czasu ojczyznę dla Wielkiej Brytanii. Według konserwatystów jako były doradca Trudeau ponosi też część odpowiedzialności za sytuację ekonomiczną.

RUSZA KAMPANIA | Tymczasem pierwszą decyzją Carneya jako premiera było zlikwidowanie podatku węglowego dla konsumentów i podatku węglowego na paliwo – wprowadził je Trudeau w imię walki ze zmianami klimatu i oba wywoływały protesty.

Jednak Poilievre uważa, że Carneyowi nie można ufać, skoro jeszcze w 2021 r. pisał w autobiografii, że podatek węglowy to rzecz fundamentalna, i popierał dążenia do neutralności węglowej. Carneya złapano też na niekonsekwencji: w anglojęzycznych mediach zapowiadał pociągnięcie rurociągu z zachodu na wschód kraju, a w wywiadzie przeprowadzonym we francuskojęzycznym Quebecu mówił, że nie zmusi mieszkańców prowincji do jego budowy.

Poilievre przekonuje, że ukryte koszty podatków węglowych – tych nałożonych na biznes i dalej obowiązujących – dotkną obywateli. Obiecuje, że pozbędzie się tego podatku raz na zawsze, a zamiast tego będzie inwestować w ropociągi i wydobycie gazu.

W tej trwającej już kampanii Poilievre stara się przenieść uwagę Kanadyjców z wojny handlowej z USA na kwestie wewnętrzne. Obiecuje przywrócić „kanadyjskie marzenie”, według którego dzięki jednej pensji można żyć godnie, kupić dom i patrzeć w przyszłość. Woła: „Bring it home”, sprowadźmy pracę do Kanady i zmniejszmy podatek dochodowy.

CIAŻĄCA ANALOGIA | Jeśli Carney nie ogłosi wcześniejszych wyborów, opozycja może złożyć wniosek o wotum nieufności. „Musimy renegotjować umowę handlową z USA, to może trwać nawet dwa lata. Potrzebujemy kogoś wybranego na 4-letnią kadencję, by mógł to zrobić” – przekonuje premierka Alberty, konserwatystka Danielle Smith.

Faktem jest jednak też, że Poilievre’owi, który liderem konserwatystów jest od 2022 r. i do niedawna był faworytem wyborów, grunt pali się pod nogami. Uznanie go za „kanadyjskiego Trumpa” nie jest już pozytywne nawet dla konserwatystów. Stare hasło „Fuck Trudeau” nie ma racji bytu, podobnie hasło „Axe the Tax!”, czyli likwidacji podatku węglowego (skoro liberałowie zmienili w tym względzie stanowisko).

Budowany dotąd wizerunek Poilievre’a jako człowieka z klasy pracującej, który kieruje się zdrowym rozsądkiem, sprawdzał się w czasie spokojnym. Wobec wojny handlowej zimny ekonomista może być lepszym wyborem. Według badań IPSOS Kanadyjczycy, owszem, uważają Poilievre’a za mocnego negocjatora,

który mógłby zmierzyć się z Trumpem, ale gdy mieli wskazać, kto uległby jego oczekiwaniom, 31 proc. wskazało właśnie na lidera konserwatystów, a tylko 6 proc. na Carneya.

Z drugiej strony przy pytaniu, kto z nich zjednoczy kraj i stworzy programy rządowe, które pomogą przeetrwać wojnę handlową, większość wskazała Poilievre'a (choć wygrał różnicą tylko paru procent).

NOWA KANADA | Gdy po świecie rozlewa się konserwatywna fala, Carney pró-

buje czegoś nowego. Liberalne wartości łączy z twardą ekonomią. Obiecuje kontynuować politykę liberalnych wartości Trudeau, lecz podkreśla też, że jest chrześcijaninem i chodzi do kościoła. Choć wywodzi się z partii Trudeau, jego doświadczenie w sektorze prywatnym to powiew świeżości w kanadyjskiej polityce.

W każdym razie – słowa będzie musiał poprzeć szybko czynami. Wojna handlowa to kryzys, a dla ekonomisty kryzys to okazja. W jego przypadku: aby sprawdzić się jako lider i przekonać

wyborców. Carney nie marnuje czasu: w połowie marca leciał już do Europy, by budować sojusz z Francją i Wielką Brytanią oraz rozmawiać o pokoju na Ukrainie.

Na kogo więc postawi większość Kanadyjczyków? Jedno jest pewne: Kanadyjczycy są dziś wściekli na Stany. Trump wywrócił kanadyjską politykę do góry nogami i obudził kanadyjski nacjonalizm. Nawet jeśli w łagodnej postaci, np. rezygnacji z amerykańskiej whisky, wydaje się on jednak wyjątkowo niekanadyjski. © MAŁGORZATA SIDZ

Czy Kanada zrezygnuje z zakupu amerykańskich samolotów?

KONFLIKT MIĘDZY STANAMI a Kanadą, który zaczął się od wprowadzenia cła przez Donalda Trumpa, może rozszerzyć się na sferę obronności: premier Mark Carney bierze pod lupę zamówienie na 88 myśliwców dla kanadyjskiej armii. Jest ono realizowane przez amerykańską firmę Lockheed Martin we współpracy z rządem USA.

WIELKIE ZAMÓWIENIE na myśliwce F-35, warte 19 mld dolarów kanadyjskich (13,3 mld dolarów USA), rząd w Ottawie złożył w 2023 r. Pierwszy samolot ma trafić do Kanady w 2026 r. Jednak teraz Carney obawia się, że koszty projektu są zawyżone (wraz z późniejszymi kosztami utrzymania i konserwacji Ottawa może zapłacić 70 mld dolarów kanadyjskich).

Niektórzy eksperci już wcześniej wątpili, czy ten myśliwiec sprawdzi się w niskich temperaturach (zagrożeniem dla Kanady mogą być napięcia w Arktyce). Wydaje się jednak, że impulsem do rozważań nad zerwaniem kontraktu może być sytuacja na



Kanadyjskie pojazdy bojowe podczas ćwiczeń wielonarodowej brygady NATO na Łotwie. Brygada taka stacjonuje w każdym z trzech krajów bałtyckich, a dwa tysiące żołnierzy z Kanady stanowi trzon jednostki, która broni Łotwy. 14 listopada 2024 r.

linii USA-Ukraina – gdy rząd Trumpa, wywierając presję na Kijów, ograniczył (czasowo, ale jednak) możliwości dostarczonego uzbrojenia: wyrzutni HIMARS, rakiet ATACMS, a może też myśliwców F-16 (w mediach ukraińskich pojawiły się informacje, że ograniczono zdalnie ich zdolności walki radioelektronicznej).

ALTERNATYWĄ DLA F-35 mógłby być samolot SAAB JAS 39 Gripen ze Szwecji – chwalony za sterowność, który lepiej miałby sprawdzić się w arktycznych warunkach. Ponadto kontrakt z koncernem SAAB miałby pozwolić na montowanie myśliw-

ców w Kanadzie, dając tu miejsca pracy, tnąc koszty i zapoznając Kanadyjczyków z technologią pozwalającą na ich serwisowanie także na miejscu. W każdym razie, minister obrony Bill Blair otrzymał teraz zadanie ponownego przyjrzenia się umowie z USA, aby „upewnić się, czy uwzględni ona interesy Kanady”.

PREMIER CARNEY, który na spotkaniu z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem nazwał Kanadę „najbardziej europejskim z nieeuropejskich krajów”, dąży do zbliżenia z Europą. Obiecał też dalsze wsparcie Ukrainy. Ale żeby być

tu wiarygodnym krajem, Kanada musi modernizować armię. Sprzęt starzeje się, rekrutów odstrasza niskie pensje, brakuje nowoczesnych systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwraкетowej. W odpowiedzi na te problemy w 2024 r. znacznie podniesiono budżet wydatków wojskowych. O ile w roku fiskalnym 2024-25 wyniósł on 39 mld dolarów kanadyjskich, to w kolejnych dwóch ma wynieść odpowiednio 46,7 i 47,6 miliardów. Do 2032 r. wydatki na obronność mają stanowić 2 proc. PKB, podczas gdy w 2024 r. było to tylko 1,39 proc. PKB.

© MS



PHILIPP SCHULZE / DPA / PAP

Zakłady Rheinmetall w Unterlues, produkcja dział do czołgu Leopard 2A4. 6 czerwca 2023 r.

Niemcy się zbroją

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

Państwo niemieckie zadłuża się na ogromną skalę. Przyszły rząd chce, by setki miliardów euro poprawiły stan Bundeswehry i infrastruktury publicznej. To szansa też dla Polski.

JUŻ KOLEJNY TYDZIEŃ TRWAJĄ W BERLINIE negocjacje między przyszłymi koalicjantami. Po jednej stronie stołu siedzą politycy chadecji (CDU/CSU), po drugiej socjaldemokraci (SPD). W sumie aż kilkuset posłów i posłanek, podzielonych na kilkanaście grup roboczych, dopina ostatnie szczegóły umowy koalicyjnej. Zwłaszcza chadecy chcą, by nowy rząd powstał jak najszybciej, tak aby najpóźniej do Wielkanocy ogłosić polityczną dobrą nowinę: Friedrich Merz kancle-rzem Niemiec.

Można sądzić, że w planach Merza, przewodniczącego CDU, wprowadzenie się do Urzędu Kanclerskiego nie ogranicza się tylko do najbliższej czteroletniej kadencji. Każdy szanujący się polityk chadeccki musi mierzyć dalej.

Zobowiązuje go do tego scharakteryzowana przez dawnych partyjnych liderów. Konrad Adenauer był kanclerzem przez 14 lat, wyciągnął kraj z powojennego znoju, wprowadził do NATO, pojednał z Izraelem i zadbał o boom gospodarczy. Helmut Kohl rządził przez 16 lat,

doprowadził do zjednoczenia Niemiec. Również 16 lat urzędowała Angela Merkel. W porównaniu z obecnym czasem chaosu, nie tylko w polityce światowej, wielu wspomina dziś jej rządy jako okres spokoju i dobrobytu.

CZAS INWESTYCJI | Zanim objął urząd kanclerza, Friedrich Merz zadbał już o program, którego skutki Niemcy odczuwają przynajmniej przez kolejnych kilkanaście lat. Potrzebując do tego większości dwóch trzecich, chadecja porozumiała się bowiem – jeszcze w ramach starego składu Bundestagu – nie tylko z SPD, ale też z Zielonymi. Te trzy formacje przegłosowały 18 marca, na ostatnim posiedzeniu starego parlamentu, ogromny pakiet finansowania publicznego na najbliższe 12 lat.

Dzięki temu głosowaniu – obejmującemu także zmiany w konstytucji – przyszły rząd będzie mógł pozwolić sobie na znacznie większe zadłużenie. Z kredytów ma zostać stworzony fundusz inwestycyjny o sumie 500 mld euro. Z tego

100 mld euro ma trafić do 16 krajów związkowych (landów), 100 mld euro ma pójść na „zielone” projekty związane z klimatem. Pozostałe 300 mld ma stać się kołem zamachowym dla wielkiej modernizacji krajowej infrastruktury.

W ostatnich dekadach Niemcy bardzo ograniczyli inwestycje publiczne. Spektakularne zawalenie się mostu Karola w Dreźnie we wrześniu 2024 r. stało się obrazem symbolizującym stan kraju, który w czasach Merkel wyznawał fetysz bycia na plusie i niezaciągania żadnych długów.

SZANSA DLA POLSKICH FIRM | Pierwsza kadencja kanclerza Merza będzie więc czasem poluzowania polityki fiskalnej i masowych inwestycji. Potok zleceń publicznych ma ożywić niemiecką gospodarkę, która obecnie znajduje się już trzeci rok w recesji.

Branża budowlana zaciera ręce. Skorzastać mogą także spółki, za którymi stoi polski kapitał. Budimex Bau, niemiecka firma-córka polskiego potentata budowlanego, wcześniej narzekała na protekcyjność i niesprawiedliwe traktowanie względem podmiotów niemieckich w publicznych przetargach. – Przegłosowany pakiet inwestycyjny może być rewolucją – mówi „Tygodnikowi” Agnieszka Prusinowska-Rendon. Członkini zarządu Budimex Bau liczy, że ze względu na dużą liczbę potencjalnych inwestycji o część zleceń będą mogły także powalczyć firmy z polskim rodowodem.

Zresztą sami Niemcy głośno mówią o skali potrzeb. Deutsche Bahn, publiczna kolej, w tym tygodniu organizuje w Warszawie spotkanie dla potencjalnych polskich partnerów. Sieć trakcyjna, dworce oraz infrastruktura cyfrowa – to wszystko ma zostać gruntownie zmodernizowane, także przy wsparciu polskich firm.

500 MLD NA ARMIE | Przegłosowane 18 marca zmiany konstytucji umożliwią przyszłemu rządowi także masowe inwestycje w sferze obronności – tak, aby poprawić sytuację niemieckiej armii. Na obronność ma być przeznaczonych 500 mld euro, a na dalsze wsparcie Ukrainy – kolejne miliardy.

Wygląda więc na to, że owa „epokowa zmiana” (niem. *Zeitenwende*), którą

kanclerz Olaf Scholz zapowiadał w lutym 2022 r., na początku rosyjskiej inwazji, zmaterializuje się tak naprawdę teraz, w następnych latach. Niemcy chcą się zbroić na wypadek rosyjskiej agresji.

Carlo Masala, niemiecki ekspert ds. bezpieczeństwa z Uniwersytetu Bundeswehry w Monachium, uważa, że Europa potrzebuje kolejnych 10 lat, żeby była w stanie obronić się przed ewentualną napaścią. – Ale jak najwięcej musi zmienić się już w ciągu najbliższych czterech lat – mówi Masala „Tygodnikowi”.

– Dziś jesteśmy uzależnieni od zdolności amerykańskich. Mam na myśli strategiczne zdolności transportowe, możliwości tankowania w powietrzu, wszystko, co dotyczy dowodzenia, rozpoznania i nadzoru w oparciu o satelity, ale także dostępność pocisków manewrujących dalekiego zasięgu – Masala wylicza, gdzie państwa europejskie, w tym Niemcy, muszą rozpocząć potężne inwestycje.

Plany przyszłego rządu w Berlinie są zgodne z linią Komisji Europejskiej. Szefowa Komisji, Ursula von der Leyen, tak samo jak Merz należy do CDU. Także z jej inicjatywy Unia Europejska zamierza zmobilizować w sumie 800 mld euro na zbrojenie się państw wspólnoty.

STAWKA GRY | Czy historyczna decyzja o zaciągnięciu tak wielkich kredytów na sfinansowanie równie wielkich zamierzeń umożliwi Merzowi gładki start w roli kanclerza?

Niekoniecznie. Podczas kolejnego etapu negocjacji chadecy i socjaldemokraci spierają się o przyszłą politykę migracyjną. Przed wyborami Merz obiecywał jej drastyczne zaostrzenie. Jednak SPD widzi to inaczej. Tymczasem brak działań w tym obszarze to pożywka dla Alternatywy dla Niemiec (AfD), która w nowym Bundestagu będzie największą partią opozycyjną.

Nowa koalicja wie, o jaką stawkę toczy się gra. Jeśli nie zrealizuje planów i obietnic, za cztery lata AfD będzie mogła występować jako faktycznie jedyna już alternatywa wobec wszystkich partii politycznego „mainstreamu”.

W tym momencie w Niemczech przeważa jednak wiara, że zapowiedziane inwestycje pozwolą nadać krajowi nowy impet. ©

Syryjskie laboratorium

KRZYSZTOF STRACHOTA

Ponad 100 dni minęło od obalenia Baszara al-Asada i przejęcia władzy przez opozycję. Czy trwająca od 2011 r. wojna wreszcie się zakończyła? I co dalej z Syrią?

SĄ POWODY DO OPTYMIZMU. UKONSTYTUOWAŁ SIĘ RZĄD I PREZYDENT, PRZYGOTOWANO RAMOWĄ KONSTYTUCJĘ NA OKRES PRZEJŚCIOWY. FORMALNIE DOCIERA SIĘ PROCES PODPORZĄDKOWANIA SIŁ ZBROJNYCH I REGIONALNYCH OŚRODKÓW POLITYCZNYCH WŁADZOM W DAMASZKU. POWOLI WRACAJĄ UCHODZCY. NOWE WŁADZE ZOSTAŁY *de facto* uznane międzynarodowo: są, także dla Zachodu, bezalternatywnym reprezentantem Syrii i partnerem w rozmowach.

Choć wątpliwości jest bezmiar. Syrią rządzi Ahmed alSzaraa, weteran Al-Kaidy i do niedawna lider ugrupowania HTS, głównej siły, która obaliła Asada. Demokratyczność, a co najmniej inkluzywność nowych władz są wątpliwe. Draft konstytucji pisano pod dyktando rządzących i władze ustawodawcza oraz sądownicza w okresie przejściowym pięciu lat podlegają prezydentowi. Prawa dla mniejszości etnicznych i religijnych nie brzmią wiarygodnie (bez ich reprezentacji politycznej i przy słabych sądach).

Jednak jest względna stabilność, prezydent uchodzi za technokratę. No i nie ma dla niego, powtórzmy, alternatywy.

Eufemizm i obietnica

Normalizacja i stabilność: w takim kraju jak Syria (autorytarnym, wieloetnicznym i wielokonfesyjnym, po 14 latach wojny) słowa te brzmią jak eufemizm i obietnica.

Wciąż trwają regularne walki. Na północy walczą ze sobą proturecka Syryjska Armia Narodowa i kurdyjskie Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF), formalnie obie podporządkowane Damaszkowi. Na początku marca doszło do powstania na terenach zamieszkałych przez proasadowskich alawitów, a potem ich pacyfikacji (liczba ofiar mundurowych z obu stron bliska jest stratom, jakie opozycja i armia Asada poniosły w czasie ofensywy, która go obaliła; ofiar cywilnych jest dużo więcej).

Damaszek sprawuje również nominalną kontrolę nad siłami arabskimi i druzyjskimi w południowej Syrii ➔

Tysiące ludzi zebrało się w Aleppo, aby uczcić 14. rocznicę wybuchu powstania przeciwko obalonemu reżimowi partii Baas. Syria, 15 marca 2025 r.



NEBIEHA ALTAHA / GETTY IMAGES

→ i nad niegdyśniejszymi dżihadystami uigurskimi i centralnoazjatyckimi. Trudno szacować za to, jak duże są siły Państwa Islamskiego, zwalczanego przez nowe władze (od 7 lat w pilnowanych przez Kurdów obozach przebywa 10 tys. weteranów IS).

Strategiczne punkty na południu są okupowane przez Izrael, który regularnie dokonuje głębszych rajdów, a przede wszystkim bombardowań (ponad 600 od grudnia). Na północy działają siły tureckie zwalczające kurdyjskie SDF. W Syrii cały czas operują siły USA, a w zredukowanych bazach siedzą Rosjanie. Do zbrojnych incydentów dochodzi na granicy z Libanem i Irakiem.

Powojenna normalizacja – reintegracja, rozliczenia i nowe rozdania, budowa instytucji – nigdy nie jest niekontrowersyjna i bezkosztowa. To proces, za który płacą najsłabsi (w ostatnich 20 latach w Iraku byli to chrześcijanie; ich liczba spadła dziesięciokrotnie), i który nie musi się udać. Syria bez wątpienia będzie aktualizować tu regionalne standardy.

Lustro Bliskiego Wschodu

Tymczasem problem Syrii waży szczególnie, bo to najbardziej „miarodajny” konflikt Bliskiego Wschodu. Tu od kilkunastu lat realnie ścierają się interesy głównych aktorów. Upadek Asada to największa od dekad klęska Iranu, na którą złożyły się wielomiesięczne bombardowania izraelskie i wsparta przez Turcję ofensywa opozycyjnych sił HTS. Dziś pętla wokół Iranu zaciska się (głównie w Jeme-

nie, ale też w Iraku – przede wszystkim przez groźby Trumpa). Choć Teheran nie powiedział ostatniego słowa: przypisuje się mu wsparcie dla marcowego powstania alewickiego i wzmacnianie Kurdów.

Upadek Asada zdeklasował też Rosję jako siłę polityczną i militarną w regionie. Ma ona jednak cięń szansy, by symbolicznie wrócić – na fali układów z Trumpem i „handlowania” Iranem. Z kolei dla Izraela obecna sytuacja jest nie tylko miarą sukcesu, jakim jest wypchnięcie Iranu i Hezbollahu z Syrii. Jest to też izraelski *modus operandi* w regionie: kreowanie i zarządzanie chaosem, swoboda jednostronnych działań militarnych, przesuwanie granic i wygrywanie obaw mniejszości (Izrael aspiruje do patronatu nad Druzami, ale też Kurdami).

Tureckie przełożenie

Niejasna jest za to postawa administracji Trumpa. Dla USA nowa Syria jest elementem osaczania Iranu. Kurdowie, którzy wraz z Amerykanami zwalczali Państwo Islamskie, są ich relatywnie lojalnym i efektywnym klientem (Stany obawiają się odrodzenia ISIS). Jednak widać ciągoty, by USA odpuściły sobie region i w pełni delegowały inicjatywę na rzecz Izraela.

Na tym tle wyróżnia się Turcja. Dzisiejsza Syria jest koronnym dowodem cierpliwości i sprawności Ankary, potwierdzeniem jej obszernego arsenału środków politycznych i wojskowych. Jeśli ktokolwiek z aktorów zewnętrznych ma dziś re-

alne przełożenie na Syrię, to właśnie Turcja.

Przełożenie to nie oznacza jednak wszechmocy – na to Turcji brak środków, a jej sukces możliwy był kosztem Iranu i Rosji (co znacznie popsło relacje i prowokuje do wyrównania rachunków). Wiąże się też z ryzykiem próby sił z Izraelem (Ankara optuje za integralnością terytorialną Syrii i sygnalizuje wolę ochrony jej przestrzeni powietrznej – przeciw Izraelowi).

Na widowni

W roli widzów obsadzeni są natomiast aktorzy bezpośrednio zainteresowani stabilnością i normalizacją Syrii, i to na prawie każdych warunkach: państwa arabskie i Unia Europejska. Ich wpływ na sytuację w Syrii, na władze i siły polityczne, jest minimalny (państwa arabskie) lub znikomy (UE).

Hojne zaś deklaracje wsparcia finansowego (np. w połowie marca w Brukseli obiecano 7,5 mld euro) są dość głośne. Choćby dlatego, że wciąż obowiązują sankcje USA, transakcje finansowe są trudne do realizacji, a każda operacja naraża na ryzyko amerykańskich sankcji wtórnych. Przykładowo pod zarzutem „współpracy z terrorystami”, jakimi nominalnie są wywodzące się z HTS władze.

To kolejny już syryjski paradoks.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Autor koordynuje projekt Śródkowy Wschód w Ośrodku Studiów Wschodnich w Warszawie.

Nadal pomagamy walczącej Ukrainie

39 agregatów prądotwórczych, 10 stacji zasilania, 4 koagulatory (urządzenia chirurgiczne do zamykania ran), 5 noszy próżniowych do ewakuacji, urządzenia do dezynfekcji narzędzi chirurgicznych w warunkach polowych (10 sztuk), podgrzewacze do płynów infuzyjnych (13 sztuk), podkłady chłonne (210 kg). Łącznie prawie 4 tony pomocy.

To wszystko – dary czytelników i czytelniczek „Tygodnika”, którzy odpowiedzieli na nasz apel – pojechało ostatnio w dwóch transportach, w grudniu i lutym, na Ukrainę. Trafiły do szpitali polowych, kompanii medycznych na froncie i jednostek frontowych (w tym dwa mocne agregaty do jednostek obrony przeciwlotniczej na wschodniej Ukrainie).

„Dziękujemy, że jesteście z nami” – słyszeliśmy w rozmowach.

„Dziękujemy narodowi polskiemu” – mówiły lekarki ze szpitala polowego w Pawłohradzie, do którego trafiają ranni spod Pokrowska.

Nasza akcja trwa. Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych:

20 1090 2590 0000 0001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywasasiedzka.org>
(darowiznę można odliczyć od podatku)

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka



AA / ABACA / ABACA PRESS / FORUM

W poczuciu zagrożenia na Tajwanie powszechne są szkolenia z przysposobienia wojskowego czy pierwszej pomocy. Obejmują także dzieci i młodzież. Na zdjęciu: szkolenie pod nadzorem Korpusu Piechoty Morskiej Tajwanu w Tajpej, 19 października 2024 r.

Krzemowa tarcza Tajwanu

THOMAS J. SHATTUCK, EKSPERT DS. TAJWANU:

Trump patrzy na bezpieczeństwo Tajpej z perspektywy ekonomii. W przypadku ataku Chin na Tajwan Amerykanie zostaliby odcięci od dostaw półprzewodników potrzebnych do produkcji i telefonów komórkowych, i myśliwców.

MARTA ZDZIEBORSKA: Trump sięga po brutalne środki, by zmusić sojuszników i partnerów USA do ustępstw. Czy Tajwan, obserwując dociskanie Ukrainy, boi się, że będzie następny?

THOMAS J. SHATTUCK: Odpowiedź jest oczywista, tym bardziej że Tajwan nie ma nawet ze Stanami formalnych relacji dyplomatycznych. Prezydent Tajwanu nie może spotkać się z Trumpem w Białym Domu tak jak Wołodymyr Zełenski. Rozmowy między Waszyngtonem a Tajpej odbywają się na niższym szczeblu i zazwyczaj za zamkniętymi drzwiami. Wszystko po to, by nie drażnić Chin. Jest też jedna podstawowa różnica. Choć Ukraina dramatycznie potrzebuje pomocy Amerykanów, Zełenski przy-

najmniej może blefować, że w najgorszym wypadku i tak sobie poradzi, bo ma wsparcie ze strony Europy.

Tajwan tego luksusu nie ma, bo jest od dekad uzależniony od amerykańskich dostaw broni.

Tajwan ma co prawda dobre stosunki z Japonią i może w niektórych sprawach liczyć na poparcie ze strony Kanady, Australii, a nawet krajów europejskich. Nie ma jednak mowy o tym, że bezpośrednio sprzedadzą mu broń. Dlatego bez względu na to, kto akurat urzęduje w Białym Domu, Tajpej musi wzmacniać relacje z Waszyngtonem. Dobrym przykładem jest tu niedawna decyzja, że tajwański koncern TSMC zainwestuje w budowę nowych fabryk w USA.

Ten lider w produkcji najbardziej zaawansowanych technologicznie półprzewodników na świecie chce wyłożyć na stół 100 mld dolarów.

TSMC nie czekało, aż Trump spełni groźbę nałożenia ceł na import tajwańskich półprzewodników, tylko zaproponowało mu deal korzystny dla niego ekonomicznie i politycznie. Po ogłoszeniu nowych planów inwestycyjnych, prezydent Tajwanu Lai Ching-te zorganizował wspólną konferencję prasową z prezesem TSMC, co pokazało, jak ważny jest to ruch dla Tajwanu.

Tajwańska opozycja twierdzi, że przeniesienie części produkcji do USA osłabi sytuację wyspy. To w myśl kalkulacji, że tylko „krzemowa tarcza”, czyli dominacja w branży półprzewodników, zabezpiecza Tajwan przed inwazją Chin i zapewnia dobre relacje z Amerykanami.

Nie kupuję tej teorii, bo produkcja tajwańskich półprzewodników w USA ma stanowić niewielką część tego, co wytwarza się na Tajwanie. Na wyspie produkuje się około 90 proc. najbardziej zaawansowanych technologicznie chipów, więc zagraniczne inwestycje TSMC nie osłabią geopolitycznej pozycji Tajwanu. Potęgę w branży półprzewodników buduje się bardzo długo. Chiny są w dalszym ciągu mocno zależne od zagranicznych dostaw, choć od dekady rozwijają rodzimą

→ produkcję. Spójrzmy też, jak powoli postępują inwestycje TSMC w USA. Firma zaczęła produkcję w swojej pierwszej fabryce w Arizonie dopiero w końcówce rządów Bidena, choć plany dotyczące tej inwestycji ogłosiła jeszcze za pierwszej administracji Trumpa.

Tajwan to potęga w branży półprzewodników, do tego chce zmniejszyć swoją nadwyżkę handlową w relacjach z USA, kupując m.in. skroplony gaz ziemny z Alaski. Czy zgodzi się Pan z tajwańskimi ekspertami twierdzącymi, że w starciu z Trumpem Tajwan ma lepsze karty niż Ukraina?

Nie popadałbym w przedwczesny optymizm, choć na pewno oprócz kwestii gospodarczych pomóc może to, że Trump nie jest negatywnie nastawiony do tajwańskich polityków, tak jak do Wołodymyra Zełenskigo. Jego napięte relacje z prezydentem Ukrainy zaczęły się wraz z rozmową telefoniczną w 2019 roku, która doprowadziła do wszczęcia przeciwko niemu procedury impeachmentu.

Przypomnijmy, że Trump najpierw kazał wstrzymać wypłatę pomocy wojсковej dla Ukrainy, a potem naciskał na Zełenskigo, by zlecił wszczęcie postępowania antykorupcyjnego wobec Joego Bidena i jego syna Huntera, który przez kilka lat zasiadał w zarządzie ukraińskiej spółki gazowej.

Z tej perspektywy patrząc, prezydent Tajwanu w relacjach z Trumpem ma czystą kartę. Inna sprawa, że John Bolton, były doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, twierdzi w swojej książce „Room Where It Happened” – red., że był świadkiem, jak Trump podważa globalne znaczenie Tajwanu i amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa dla tej wyspy. Nie sądzę jednak, by Republikanin, bez względu na swoje prywatne poglądy, chciał przejść do historii jako prezydent, za którego rządów doszło do aneksji Tajwanu przez Chiny.

W lutym Trump odmówił odpowiedzi na pytanie reporterów, czy Ameryka pozwoliłaby na przejęcie siłą Tajwanu. Czy to Pana dziwi?

Absolutnie nie, bo taka jest od dekad polityka Waszyngtonu. Nie udzielając jednoznacznej odpowiedzi, Amerykanie trzymają w niepewności Chiny, co ma pomóc w strategii ich odstraszenia, a także



SARAH MILLER / THOMAS-SHATTUCK.COM

THOMAS J. SHATTUCK – ekspert z Uniwersytetu Pensylwanii, specjalizuje się w tematyce Tajwanu, relacjach tajwańsko-chińskich oraz kwestiach związanych z pozycją USA w regionie Indo-Pacyfiku. Były zastępca dyrektora programu azjatyckiego w think tanku Foreign Policy Research Institute.

tonowania zapędów Tajwanu, by ogłosić niepodległość. Oczywiście zdarzają się wyjątki, jak w przypadku Joego Bidena, który zapewniał, że amerykańskie wojsko pomogłoby Tajwanowi w przypadku inwazji. W tej całej sprawie trzeba pamiętać, że zajęcie wyspy przez Chińczyków byłoby ciosem dla Ameryki, który doprowadziłby do przerwania tzw. pierwszego łańcucha wysp, blokującego dostęp Chin do otwartego Pacyfiku. A to osłabiłoby pozycję strategiczną USA w regionie i podkopałoby zaufanie amerykańskich sojuszników, jak Japonia czy Filipiny.

Elbridge Colby, kandydat na stanowisko podsekretarza obrony ds. polityki, przestrzegał podczas przesłuchania w Senacie, że upadek Tajwanu byłby „katastrofą dla interesów USA”. Czy Trump to rozumie?

Myślę, że pod kątem ekonomicznym – na pewno. W przypadku ataku Chin na Tajwan Amerykanie zostaliby odcięci od dostaw półprzewodników potrzebnych do produkcji zarówno telefonów komórkowych, jak i myśliwców. A to wywołałoby ogromne straty dla amerykańskiej gospodarki, w tym także dla firmy technologicznej Apple, której ważnym dostawcą jest TSMC. Odcięcie od tajwańskich półprzewodników wstrząsnęłoby zresztą całą światową ekonomią.

Colby w ślad za Trumpem naciska na tajwańskie władze, by zwiększyły wydatki na obronę do 10 proc. PKB. Sceptycy mówią, że to nierealne i że nawet przy takim budżecie Tajwan nie poradzi sobie bez zaangażowania USA.

Tajwan nie jest całkowicie bezsilny. Nawet jeśli w przypadku chińskiej inwazji Amerykanie nie zaangażują się w konflikt, Tajwan będzie bronił się sam, wklajając się w długą i krwawą walkę. Natomiast sam pomysł przeznaczania 10 proc. PKB na obronność jest absolutnie nierealny, biorąc pod uwagę wielkość Tajwanu i jego starzejące się społeczeństwo. Skala wydatków to tylko część układanki. Dużym problemem są opóźnienia w dostawach amerykańskiej broni. Część sprzętu zakupionego w czasie pierwszej kadencji Trumpa trafiła na wyspę dopiero pod koniec rządów Bidena.

Z czego wynikają te opóźnienia?

Po pierwsze, potrzeba dużo czasu na produkcję broni. Po drugie, Tajwan traktowany jest mniej priorytetowo w kolejce dostaw niż formalni sojusznicy, a w szczególności jeśli któryś z nich uwikłany jest akurat w konflikt. Dobitnie pokazała to wojna w Ukrainie, przez którą jeszcze bardziej opóźniły się dostawy na Tajwan. Przez lata pokutowało myślenie, że potencjalny atak Chin na wyspę to sprawa odległej przyszłości. Tymczasem amerykańscy wojskowi i pracownicy wywiadu ostrzegają, że do 2027 roku, czyli za niecałe dwa lata, Chiny będą gotowe, by przeprowadzić udany atak na Tajwan. To nie znaczy, że Chiny to robią, ale będą miały do tego zdolność militarną. Gdyby Tajwan złożył teraz nowe zamówienie na broń, to raczej by jej do tego czasu nie dostał.

Raymond Greene, nieformalny ambasador USA na Tajwanie, w jednym z wywiadów zapewniał, że Ameryka stara się przyspieszyć dostawy broni i że w przypadku zakończenia wojny w Ukrainie Tajwan będzie na liście priorytetów. To tylko studzenie obaw Tajpej czy element szerszej strategii?

Już za pierwszej kadencji Trumpa podkreślano, że absolutnym priorytetem dla Stanów Zjednoczonych jest Azja i rywalizacja z Chinami. Patrząc na to, kto zasila dziś szeregi nowej administracji, można wywnioskować, że Azja znów będzie naj-

ważniejszym regionem z punktu widzenia polityki zagranicznej i obronnej USA. To, co powiedział Raymond Greene, nie jest niczym szokującym. Podobnie uważa Elbridge Colby, który od lat podkreślał, że zbyt duże zaangażowanie w dozbrajanie Ukrainy odciąga uwagę Ameryki od Tajwanu. Podczas przesłuchania w Senacie Colby był również mocno krytyczny wobec tej wyspy.

Dlaczego?

W styczniu tajwański parlament zatwierdził cięcia budżetowe, w tym cięcia wydatków na obronność. Na przykład tymczasowo zamrożono program budowy okrętów podwodnych, a także obcięto budżet na szkolenia personelu oraz kampanie reklamowe wspierające rekrutację do wojska. To wywołało frustrację wśród amerykańskich polityków z różnych opcji, co widać było podczas senackiego przesłuchania Colby'ego. Senator niezależny Angus King zadał mu pytanie, dlaczego Ameryka miałaby chronić wyspę, która sama najwyraźniej nie chce inwestować we własną obronę. Parlament kontrolowany przez opozycję (wobec ugrupowania prezydenta Tajwanu, Demokratycznej Partii Postępowej – red.) zatwierdził cięcia w najgorszym możliwym momencie.

Z drugiej strony prezydent Lai Ching-te deklaruje, że Tajwan zwiększy wydatki na obronę z około 2,5 do ponad 3 proc. PKB. Według nieoficjalnych doniesień władze rozważają też duże zamówienia amerykańskiego sprzętu wojskowego.

I to jedna z najlepszych strategii, by przypodobać się Trumpowi. Niewiele się o tym mówi, ale za jego pierwszych rządów Ameryka sprzedała Tajwanowi więcej broni niż inni prezydenci w ciągu dwóch kadencji. Trumpowi nie dorównuje nawet Joe Biden słynący z deklaracji poparcia dla Tajpej.

Trump dzięki tym działaniom był popularny na Tajwanie. Czym jeszcze zaskarbił sobie Tajwańczyków?

Zwiększoną obecnością amerykańskich okrętów w Cieśninie Tajwańskiej i serią przychylnych legislacji. Trump podpisał przyjęty przez Kongres Taipei Act. To przepisy zakładające, że Stany będą premiovac kraje utrzymujące relacje

CHOĆ STANY ZJEDNOCZONE honorują tzw. politykę jednych Chin i nie traktują Tajwanu jako suwerennego państwa, to utrzymują z nim istotne relacje gospodarcze i wojskowe. Na mocy Taiwan Relations Act, ustawy przyjętej w 1979 r. przez amerykański Kongres, Amerykanie mają obowiązek zaopatrywania Tajwanu w broń, a także podtrzymywania własnej gotowości wojskowej, by nie dopuścić do ataku Chin na wyspę. Tajwańczycy obawiają się, czy Trump ze swoim transakcyjnym podejściem będzie szanował te tradycyjne gwarancje bezpieczeństwa. Już podczas swojej kampanii prezydenckiej sugerował, że Tajwan powinien płacić Amerykanom za obronę przed Pekinem. Z drugiej strony to może być tylko retoryka. Z nieoficjalnych doniesień agencji Reutersa wynika, że pomimo zakręcenia kurka z pieniędzmi na pomoc zagraniczną, administracja Trumpa odmroziła programy wsparcia wojskowego dla Tajwanu o łącznej wartości około 870 mln dolarów. Jak powiedział na początku marca tajwański wiceminister spraw zagranicznych François Chihchung Wu, Tajwan „modli się” o bliższe relacje z USA w zakresie bezpieczeństwa. W najbliższych miesiącach Tajwańczycy będą robić wiele, by przekonać do siebie Trumpa.

z Tajwanem i karać te, które je zerwały. To był ważny, symboliczny gest po tym, jak stosunki dyplomatyczne z Tajpej zerwało kilka państw, w tym Panama i Salwador. Trump podpisał też Taiwan Travel Act, który autoryzował wzajemne wizyty urzędników wyższego szczebla w USA i na Tajwanie. Za pierwszej kadencji Trumpa wyspę odwiedzili sekretarz zdrowia i podsekretarz stanu ds. gospodarczych. To były pierwsze wizyty na tak wysokim szczeblu od czasu, gdy USA w 1979 r. nawiązały relacje dyplomatyczne z Chinami. Administracja Bidena dla odmiany wołała wysyłać na Tajwan nieoficjalne delegacje byłych urzędników Departamentu Stanu i Departamentu Obrony.

Tajwan przecierał oczy, gdy Trump podczas ostatniej kampanii prezydenckiej oskarżył go

o rujnowanie amerykańskiej branży półprzewodników i sugerował, że powinien płacić Amerykanom za obronę przed Chinami. Skąd ta zmiana w retoryce?

Słowa Trumpa wobec Tajwanu wpisują się w jego narrację, że inne kraje wykorzystują Amerykę w relacjach handlowych i sprawach związanych z obronnością. W przypadku Tajwanu Trump uderza także w sentyment dotyczący dawnej potęgi USA. Amerykańskie firmy były liderem w branży półprzewodników, z nim w latach 80. zaczęły przerzucać się na zamówienia z Azji.

Jak zwykli Tajwańczycy reagują na Trumpa 2.0?

Boją się, że pomimo gotowości koncernu TSMC do nowych inwestycji w Ameryce, Trump spełni swoje groźby i nałoży cła na tajwańskie półprzewodniki. Są też obawy, że Trump mógłby wykorzystać Tajwan jako kartę przetargową w rozmowach handlowych z Chinami. Po tym, jak świat obserwował awanturę Trumpa i Zełenskigo w Białym Domu, ten strach przed nieprzewidywalnością Ameryki jest jeszcze większy. Wydarzenia ostatnich tygodni to także świetna pożywka dla chińskiej propagandy przekonującej, że Ameryka nie jest stabilnym sojusznikiem i nie można mu ufać.

Czytałam, że po inwazji Rosji na Ukrainę wielu Tajwańczyków zapisało się na kursy przetrwania, bojąc się, że atak ze strony Chin staje się coraz bardziej realny. Czy podobne ruchy obserwuje się po dojściu Trumpa do władzy?

Nie słyszałem o czymś takim, ale proszę pamiętać, że Tajwan żyje w obliczu groźby chińskiej inwazji od wielu dekad. Dla mieszkańców to jest normalne, że wstają codziennie rano do pracy, opłacają rachunki, a w tym czasie Chiny prowadzą w pobliżu Tajwanu manewry wojskowe. Tak jak zwykli Tajwańczycy nauczyli się życia w takim napięciu, tak politycy muszą dostosowywać się do wymagań każdej kolejnej amerykańskiej administracji. Tym razem padło na transakcyjnego Trumpa.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

*Autorka jest dziennikarką „Press”.
Stale współpracuje z „Tygodnikiem”.*

TERAZ JESTEM SPOKOJNY

KS. ADAM BONIECKI:

Wiem, że to już ostatni etap życia. Może będzie trwał rok, może pięć lat – ale ostatni. I bardzo wiele rzeczy w religii, w praktykach, w treściach wiary, przestają mieć takie znaczenie, jakie miały.

WOJCIECH BONOWICZ: Słyszałem, że od pewnego czasu regularnie odwiedzasz swoje mieszkanie tu, w Krakowie. Co Cię tam ciągnie?

KS. ADAM BONIECKI: Konieczność segregowania listów. Miałem fatalny zwyczaj – wszystkich przestrzegam przed takim zwyczajem – żeby zachowywać większość listów, jakie do mnie przychodziły. Są tych listów całe pudła, a do tego jest jeszcze mnóstwo powitykanych tu i tam. Muszę teraz każdy taki list wziąć do ręki, obejrzeć. Ludzie pisali o bardzo osobistych sprawach, otwierali swoją duszę. Trzeba to przed śmiercią uporządkować, spalić te, których nie powinny czytać osoby trzecie.

A ci ludzie, których listy czytasz, jakoś do Ciebie wracają?

Są tacy, którzy wracają, są tacy, których nie mogę sobie przypomnieć. Wielu już umarło. Na niektóre listy kiedyś odpowiedziałem, na inne nie. Są takie sprawy, o których chciałbym z nadawcami porozmawiać, dopytać o coś. Takie listy odkładam, może jeszcze kiedyś na nie odpiszę.

W książce „Testament”, ale też w innych Twoich tekstach czuć narastające poczucie winy: że się z czymś nie zdążyło, nie podziękowało, no właśnie – na przykład nie odpowiedziało na list.

To fatalnie, bo nie powinienem tak myśleć.

Ale chyba tak jest, że nigdy nie zdążymy zrobić wszystkiego, co powinniśmy?

Byli ludzie, którzy zdążyli. Na przykład Jerzy Turowicz, który odpowiadał od razu – długo, krótko, ale odpowiadał. Ja, niestety, nie. Ale to się jakoś uklepało, były inne sprawy. A teraz odżyło z powrotem.

Miałeś mnóstwo kontaktów. Stąd te listy.

Byli ludzie, których znałem bardzo blisko – rzeczywiście znałem, pamiętam ich. Znajomi z konfesjonatu, z duszpasterstwa, z redakcji. Bywa, że nie mogę skojarzyć nazwiska, nie widzę twarzy, ale wiem, że to była bliska znajomość. Ale byli też ludzie nieznani mi osobiście, którzy po prostu pisali do „Tygodnika” i do mnie. Tej korespondencji było nieraz bardzo dużo. W dodatku odziedziczyłem część poczty po „ojcu Malachiaszu”, czyli Tadeuszu Żychiewicz. Trzeba specjalnej cechy charakteru, której mi brakuje, żeby odpowiadać na każdy list, zamiast chować je do pudeł. No trudno.

Powiedziałbyś, że to Twoja pokuta teraz?

No nie, to by była za lekka pokuta. Ale jest poczucie, że już nic nie zrobię. Tamte sprawy się przewalały, ludzie jakoś żyli dalej bez mojej odpowiedzi. Pokutę widzę raczej w moim fizycznym osłabieniu. To jest fatalne. W końcu jeszcze nie tak dawno chodziłem normalnie, działałem normalnie, a teraz jestem takim „dziadkiem”. Choć może i to wcale nie jest po-

kuta, tylko przestawienie się na zupełnie inny sposób bycia. I pokusa, żeby się zwalniać z różnych rzeczy. Bo jestem taki biedny, nieszczęśliwy kaleka. Chciałbym, ale już nie można.

Mówiłeś już o tym trochę w wywiadzie o starości, który zrobiła Ania Goc. O ograniczeniach, ale też o uwalnianiu się od tego, co zbyteczne.

Widzę, że na starość przestajemy się przejmować niektórymi sprawami, którymi przejmowaliśmy się jeszcze parę lat wcześniej. To nie jest owoc pracy nad sobą, duchowej przemiany. Po prostu w perspektywie bliskiej śmierci te różne sprawy... No, człowiek macha na nie ręką, nie poruszają go już. Ale żadnej jego wielkości w tym nie ma. Natomiast ważne jest, żeby coś na to miejsce powstało. Żeby się czymś zajmować, czymś →

KS. ADAM BONIECKI,
ur. 1934 r. W „Tygodniku” od 1964 r.,
w latach 1999-2011 redaktor
naczelny pisma. Szef polskiej edycji
„L'Osservatore Romano” (1979-1991),
przełożony generalny Zgromadzenia
Księży Marianów (1993-1999), następnie
ukarany przez zakon zakazem wystąpień
medialnych poza „Tygodnikiem”.

Na zdjęciu ks. Adam Boniecki w swoim
mieszkanu. W tle obraz „Adasinek”
Albina Talika.



GRAZYNA MAKARA

*Ks. Adam Boniecki wśród mieszkańców
DPS-u. Kraków. 25 lipca 2023 r.*

→ się przejmować. I to wymaga wysiłku. Bo człowiek nieraz bez sensu angażował się w rozmaite sprawy tak bardzo osobiście.

To jak w obecnej sytuacji przeżywasz Wielki Post?

W kazaniu powiedziałbym pewnie: „Wielki Post jest okazją, którą powinno się wykorzystać, drodzy bracia i siostry...”. Ale czy ja sam ją wykorzystuję? Mieszkam w domu chorych – płatnym, jakby się kto pytał – gdzie mam zapewnione jedzenie, sprzątanie. Wraz z rozpoczęciem Postu w moim życiu nic się nie zmieniło. Jak człowiek żyje cały czas w takim stanie jakby wielkopostnym, to nie ma czego zmieniać. Wiem, że to już ostatni etap życia. Może będzie trwał rok, może pięć lat – ale ostatni. Przedtem tego nie wiedziałem, nawet kiedy miałem lat osiemdziesiąt kilka. Byłem dziarski, działałem w miarę normalnie. Teraz wiem, że to jest końcówka. Tak że Wielki Post...

...nie robi już takiego wrażenia.

Jest bardzo wiele rzeczy w religii, w praktykach, w treściach wiary, które przestają mieć znaczenie, jakie miały. Były na przykład takie obrazy z Ewangelii, które były dla mnie ważne – obrazy uczt, posiłków, przyjęć. Ileś kazań na ten temat powiedziałem. A teraz trudno byłoby mi się na tym oprzeć. Słowa są coraz mniej adekwatne do tego, co jest, co się odczuwa. Poczynając od słowa „Bóg”. Wszystko, co o Bogu wiemy, to są jakieś fragmenciki czegoś nieznanego. Idziemy w kierunku tajemnicy.

I to nawet nie przeszkadza specjalnie. Był moment, kiedy wydawało mi się, że wszystko już za mną. Miałem pewność, że umrę, zakopią mnie, będą najpierw pamiętać, potem zapomną – i spokojnie. Taka niewiara pogodna. A potem zaczął się proces odtwarzania wiary, ale już na innym poletku, można powiedzieć.

Tak zapytam może trochę niezręcznie, ale...

Zapytaj niezręcznie.

Czy czujesz, że Bóg jest z Tobą w Twojej starości? Że jest blisko?

Tak. Ale to nie jest tego rodzaju obecność, że stoi stół, stoi ławka, jest okno –



GRAŻYNA MAKARA

i Pan Bóg, który czeka na mnie. To nie tak. Powiedziałbym raczej, że jest spokój, poczucie, że to wszystko ma jakiś ostateczny sens i jest zwieńczone miłością Boga do mnie. Wiem, że jak tak mówię, to brzmi to zbyt... Ale to w tym kierunku ewoluje.

Ale czy to się przechyliła w stronę tego, co mistyka nazywa „nocą ciemną”? Czy raczej w stronę światła?

Ciemna noc była wtedy, kiedy myślałem, że umrę, a jednak jako człowiek wierzący muszę modlić się dalej. To był specyficzny okres. A potem wróciła nadzieja, światło. Jestem spokojny, że coś tam jest. Są sygnały od tych, którzy takie doświadczenia przeszli.

Kiedyś w kazaniu wielkopostnym usłyszałem zdanie: „Post to śmierć, to czas, kiedy coś powinno w nas umrzeć”. Jak myślisz, co w tym czasie powinno „umrzeć” w nas przede wszystkim?

Jestem na takim etapie, że co ma umrzeć, umrze samo i cześć. Nie muszę się głowić, co powinno umrzeć pierwsze, a co potem. Widzę, co zanika i co odradza się – ale już inaczej. A czy to się w dobrej kolejności odbywa? Nie wiem, może w dobrej. W każdym razie odwrotnej, niż myślałem kiedyś. Takie mówienie jest bardzo niebezpieczne. Bo przecież nie wiemy, na jakim etapie są ludzie, do których mówimy. W jakim są stanie. Trzeba bardzo uważać.

Pytania nie znikają, ale zmienia się ich waga.

Godzę się, że jak nie ma jednoznacznej odpowiedzi, to nie ma.

Ale tu pokładam nadzieję w Duchu Świętym, który cedzi to, co mówią kaznodzieje.

Do mnie już takiego kazania nie trzeba mówić. Jestem w stanie permanentnego, ale względnie łagodnego Wielkiego Postu. Wokół mnie są ludzie naprawdę chorzy, którym nie ma co przypominać o umieraniu. Bo oni lepiej wiedzą, co to słowo znaczy.

Kiedyś Twoim Kościołem był cały świat. Teraz jest nim DPS?

To nie jest tak, że kiedy człowiek łąduje w DPS-ie, wszystko inne ze swego życia wykreśla. Nie, to nadal jest obecne, nawet tak po ludzku, w sensie interesowania się, ciekawości. Obserwuję na przykład ewolucję, jaką przechodzi wiara Polaków. Dzięki czytaniu, słuchaniu ludzi wiem, że wchodzi ona w bardzo ostry zakręt. To, co ujawniono na temat Kościoła jako instytucji, prowadzi do wiary katolickiej, która jednocześnie dystansuje się wobec „aparatu urzędowego”. Co jest uproszczeniem oczywiście, bo jest bardzo dużo dobrych rzeczy w tym aparacie, ale...

...zaufanie zostało podważone.

W wielu ludziach coś pękło.

Podważone zostało ślepe zaufanie – i bardzo dobrze. Natomiast mój stosunek do Kościoła jako takiego się nie zmienił.

Jesteś potrzebny tym, wśród których mieszkasz?

Niektórym na pewno tak. Na codzienne msze święte, które odprawiam, przychodzi sześć, siedem osób. Niedużo. Ale są tacy, którzy nie przychodzą, a jednak cieszą się, że w pobliżu jest ksiądz. Mieszkańcy DPS-u to sztuczna społeczność, ludzie, którzy znaleźli się w jednym miejscu z różnych powodów. Są tacy, którzy wszystko robią sami, i tacy, którzy nie mogą trafić do swojego pokoju. Z wieloma mam tylko ograniczony kontakt. Ale jest coś dobrego w tym, że tu jestem.

Jesteś księdzem już blisko 65 lat.

Co się zmieniło w tym czasie

w Twoim rozumieniu i przeżywaniu kapłaństwa?

Kiedy startowałem, miałem do dyspozycji pewien aparat pojęć, gotowych ocen, krótko mówiąc – uproszczone widzenie świata i ludzkich spraw. W ciągu tych 65 lat spotkałem wielu ludzi. Byli wśród nich grzesznicy, byli nawróceni i byli ludzie święci, niektórych nawet potem kanonizowano. Dziś jestem dużo spokojniejszy w ocenach. Może po prostu Pan Bóg też jest spokojniejszy w ocenianiu naszego postępowania i człowiek to powoli odkrywa.

Chcesz powiedzieć, że z wiekiem zbliżamy się do łagodności Boga, do tego, co nazywamy miłosierdziem.

Niektórzy od razu tak mają. Ja się zbliżałem z trudem. Byłem bardzo gorliwym księdzem. Na pierwszej placówce, w Grudziądzu, godzinami siedziałem w konfesonale. Moje doświadczenie mówi mi, że ksiądz jako taki bardziej zbliża się ku miłosierdziu Bożemu, kiedy odchodzi od litery prawa kościelnego. Prawo to zresztą, nawet za mojego życia, wiele razy się zmieniało. A i litera bywa nieuważnie czytana. Na przykład zapomina się, że w odniesieniu do uczestnictwa w niedzielnej mszy świętej prawo mówi, że trzeba wziąć pod uwagę stan człowieka. A tego się nie pamięta, pamięta się tylko, że trzeba w niedzielę iść do kościoła.

Tymczasem bywają sytuacje, że właśnie nie trzeba iść – bo na przykład jestem chory albo opiekuję się chorym.

Powiedziałbym, że fatalnym grzechem jest raczej rezygnacja z marszu, korygowania własnych poglądów, wyciągania wniosków. Owszem, jak się przyjrzeć takiej tajemnicy jak tajemnica Eucharystii, to widać, że wszystkie wyjaśnienia są marne i lepiej nie kombinować. A z drugiej strony – te kombinacje są cenne i nie wyrzucałbym ich. Chodzi o to, żeby nie wciskać ich ludziom na siłę.

Czy myślisz o tym, w jaką stronę potoczą się sprawy świata? Czy czujesz jakąś odpowiedzialność za przyszłość?

Myślę o tym. Ale nie czuję odpowiedzialności. Nie mam już na to wpływu. To wszystko jest przerażające. Rozprawdanie głowic atomowych nie jest żadnym sposobem, żeby zabezpieczyć pokój. Jednemu odbije szajba i wszystko pójdzie w proszek. Staram się tego nie roztrząsać. Pan Bóg jest wszechmocny. Ludzie urządzali świat rozmaicie, a potem jakoś się to harmonizowało. Ale w tej chwili przyszłość wygląda dość przerażająco.

Papież Jan Paweł II – w rozmowach z Józefem Tischnerem i Krzysztofem Michalskim – mówił, że istnieje „miara wyznaczona złu”. Że jest coś w rodzaju „zgody” Boga na działanie zła, ale tylko do pewnego momentu. Naiwnie streszczam, ale sens jest mniej więcej taki.

Nie wiem, wygląda na to, że nie ma miary. Człowiek wymyśla coraz straszniejsze rzeczy. Ale miło, że papież tak myślał. Jakby papież tak nie myślał, to byłoby fatalnie. Papież powinien tak myśleć. Skądinąd teraz być papieżem? Okropność.

Tak dużo jest wyzwania.

A Franciszek świadomie nie tylko nie zmniejszał ich liczby, ale stworzył nowe. Tam, gdzie wszyscy zaklepywali, on przyłożył rękę: „Rozkopać! Rozkopać!”. A teraz umiera.

Jak Cię tak słucham i czytam, to się zastanawiam, czy na starość pojawia się więcej odpowiedzi, czy jednak więcej pytań?

Nie wiem, jak jest ze starością w ogóle, mogę tylko mówić o swojej. Pytania nie

znikają, ale zmienia się ich waga. Godzę się, że jak nie ma jednoznacznej odpowiedzi, to nie ma. W tej chwili ważne dla mnie pytania to są pytania o niebo, o Boga, o istnienie po śmierci. Wydaje mi się, że dotychczasowe odpowiedzi zbyt były antropomorficzne, na miarę człowieka.

Pytanie o zło też jest ważne.

Nie wydaje Ci się, że ono dręczy ludzi?

Ludzi może dręczy, ale mnie nie. Było zło, czasem ukryte, czasem manifestowane, ale istniało zawsze. Źródłem zła jest to, że człowiek nie stawia sobie żadnych granic. Nie mam poczucia, że nasze czasy są pod tym względem wyjątkiem. To, z czym mamy do czynienia, to są raczej nowe formy manifestacji zła, ujawniania zła.

Skoro o granicach mowa. Wielki

Post jest czasem, kiedy można sobie o tych granicach przypomnieć, na nowo je wyznaczyć. Są rozmaite praktyki postne...

W seminarium zalecano nam w tym okresie post ilościowy. Miary były takie, że człowiek chodził wiecznie głodny. Mimo to z zapalem tego przestrzegałem. Duchowo chyba nic mi to nie dało, ale ćwiczenie ciekawe. Zdarzało się, że jakaś praktyka postna mi służyła. Przez długi czas nie piłem w Wielkim Poście wina. Teraz – *mea culpa* – zdarza się, że piję, ale mniej niż kiedy indziej. Natomiast żadnych ukochanych praktyk nie mam. To znaczy takich, które zachowywałbym od młodości do starości. Moją stałą praktyką jest brewiarz. To jest zobowiązanie w sumieniu. Nie zawsze byłem taki skrupulatny, a teraz bardzo tego pilnuję.

I potrafisz przy tym utrzymać uwagę? Pamiętam z rozmów z kolegami księżmi, że czasem to się jednak dość mechanicznie odbywa.

To jest na tyle długie, że jest trochę mechaniczne. Ale zawsze znajdzie się coś, co zwróci twoją uwagę. Jakiś fragment psalmu, jakaś antyfona. Nigdy nie jest tak, że odmawia się mechanicznie od początku do końca.

A Pan Bóg tego słucha w ogóle?

Nie wiem i się tym nie zajmuję. Ja się zobowiązałem odmawiać. I odmawiam.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

Modlić się czy medytować

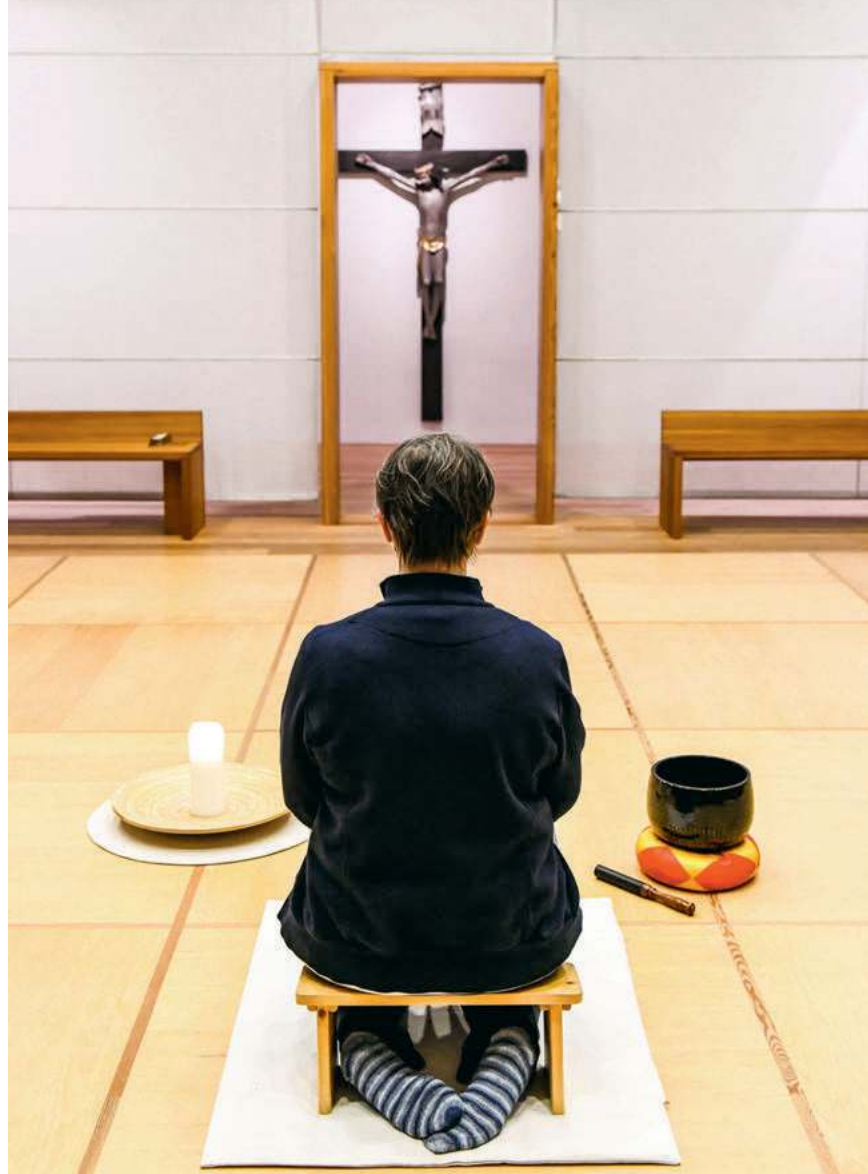
KS. JACEK PRUSAK SJ

Chrześcijańska medytacja przeżywa renesans, ale też budzi wiele obaw. Czym naprawdę jest praktyka kontemplacji?

TY ZAŚ, GDY CHCESZ SIĘ MODLIĆ, wejdź do swej izdebki, zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu” (Mt 6, 6). Te słowa Jezusa jednoznacznie wskazują, jak ma wyglądać modlitwa. Ale jak rozumieć owo „wejście do środka” i trwanie w obecności niewidzialnego Boga? Odpowiedzi udziela chrześcijańska praktyka kontemplacji. Inne słowa Jezusa – „Modląc się, nie bądźcie gadatliwi jak poganie!” (Mt 6, 7) – zachęcają do modlitwy opartej na milczącej komunii z Bogiem, czyli praktykowaniu wewnętrznej ciszy. Nie chodzi o negowanie modlitwy ustnej czy przeciwstawianie modlitw indywidualnej i wspólnotowej. Ale to milczący spoczynek w Bogu uważa się za cel wszystkich modlitw i ich ukoronowanie. Czy aby to osiągnąć musimy, jak twierdził na tych łamach o. Wojciech Drażek, „zostawić wszystkie myśli o Nim i pobożne praktyki i otworzyć się na ciszę”? („Modlitwa głębi”, „TP” 8/2025).

Kontemplacja. Renesans czy regres

Chrześcijaństwo zna trzy nurty poszukiwania spoczynku w Bogu: modlitwę monologiczną (np. modlitwa Jezusowa), modlitwę Biblią (*lectio divina*) i praktykę kontemplacji. Ta ostatnia określana jest dzisiaj zbiorczo medytacją chrześcijańską, choć należą do niej zarówno modlitwa głębi, jak i modlitwa skupiona na powtarzaniu określonych słów czy wezwania i z tego powodu nazywana niedyskursywną medytacją monologiczną. Ani modlitwa monologiczna, ani *lectio divina* („święte czytanie”) nie budzą



PAP / DPA

W Centrum Medytacji Chrześcijańskiej i Duchowości, krypta kościoła Świętego Krzyża we Frankfurcie, 19 stycznia 2021 r.

w Kościele kontrowersji. Wręcz przeciwnie: wskazywane są jako właściwe formy chrześcijańskiej medytacji i kontemplacji. Inaczej wygląda sprawa z modlitwą głębi czy z „chrześcijańską mantryczną modlitwą monologiczną”, którą jej zwolennicy, skupieni wokół Światowej Organizacji Medytacji Chrześcijańskiej (WCCM), nazywają po prostu medytacją chrześcijańską. Jak słyszymy, chrześcijańska praktyka kontemplacji przeżywa swój renesans w Kościele. Jednak z drugiej strony padają oskarżenia, że ów „renesans” niewiele ma wspólnego z autentyczną tradycją modlitwy chrześcijańskiej, a więcej – z synkretyzmem religijnym i uleganiem fascynacji medytacją Wschodu. Krytycy argumentują, że Biblia nigdzie nie mówi o modlitwie pozabawionej słów, myśli czy obrazów. Ani o tym, że jest ona kwestią milczenia czy „złania z boskością”. Wątpliwości i uprze-

dzenia co do modlitwy głębi są na tyle silne, że Ruch Odnowy Kontemplacyjnej spotyka się w Polsce ze stanowczą krytyką biskupów i działa poza strukturami parafialnymi. Wśród jego największych krytyków jest m.in. bp Andrzej Siemieniewski, ordynariusz legnicki, autor wydanej ostatnio książki „Medytacja chrześcijańska” (W drodze, 2024). Czy jest wyjście z tego impasu?

Spoczynek Boga i w Bogu

Poszukiwanie i doświadczenie „spoczynku w Bogu” na modlitwie nie jest w tradycji chrześcijańskiej powiązane z opanowaniem jakiejś techniki relaksacyjnej, ale z przyjęciem odpowiedniej postawy wobec Boga. Kiedy wchodzimy do „wewnętrznej izdebki” i modlimy się do Ojca w ukryciu, uczestniczymy – zdaniem świętych Ambrożego i Augustyna – przez akt stworzenia w odpoczynku

Boga w nas samych, w „Boskim Szabacie” w głębiach naszego umysłu czy serca.

Nie znaczy to bynajmniej, że postawa ciała i praca z oddechem nie mają żadnego znaczenia (co widać chociażby w niektórych naukach o modlitwie Jezusowej, zawartych w „Filokalii” – zbiorze tekstów z zakresu ascetyki i duchowości w tradycji prawosławnej od IV do XV w.). Niemniej w centrum modlitwy jest akt wiary w działanie łaski. Taka postawa wyrasta z przekonania, że „wołą Boską jest nasze uświęcenie” (1 Tes 4, 3), a przez fakt stworzenia człowiek to *capax Dei* – istota zdolna do kontaktu z Bogiem. Łaska stworzenia „na obraz i podobieństwo Boga” (Rdz 1, 27) „wytwarza” pomiędzy człowiekiem a Trójjedynym Bogiem intymną więź, której „spoiwem” jest śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Nie jest to zatem „naturalny potencjał” ludzkiej natury, tylko jej „naturalne” przeznaczenie.

Słowa bez znaczenia

Medytacja niedyskursywna, czyli modlitwa, która nie polega na rozmyślaniu czy aktywowaniu wyobraźni, budzi wiele nieporozumień. Dotyczą one zwłaszcza „pracy z umysłem” i idei „czystej modlitwy”. Anonimowy, średnio-wieczny mnich angielski (najprawdopodobniej kartuz), autor „podręcznika” do kontemplacji chrześcijańskiej pod tytułem „Obłok niewiedzy”, nauczał, że „dla człowieka pragnącego kontemplacji wszelka myśl, mimo całej swojej dobroci i świętości, jest większą przeszkodą niż pomocą”. Z tego powodu zalecał, by „pozostać przy czystej intencji skierowanej ku Bogu i tylko ku Niemu”, powtarzając jedno- lub dwusylabowe słowo pochodzące z Biblii (np. „Bóg”, „Jezus”, „amen”, „maranatha”), bez zastanawiania się nad jego treścią.

Krytycy tej formy modlitwy, którzy reprezentuje urzędowo bp Siemieniewski, słusznie zauważają, że przy takiej praktyce słowa są tylko narzędziem utrzymywania skupienia czy podtrzymywania intencji i nie czyni się użytku z ich znaczenia. Z czego jednak wyciągają błędny wniosek, że słowa spełniają tu podobną funkcję jak mantra w religiach Wschodu. Nic bardziej mylnego, skoro mantra, poza powtarzającą się sekwencją dźwięków, związana jest z ukrytą w boskich imionach czy atrybutach „duchową mocą” oraz z ich kultem.

To nie mantra

Medytacja niedyskursywna nie jest żadną „chrześcijańską mantrą”, bo żadne słowo nie opiera się na ukrytej w nim mocy. Słowo „Bóg”, odmieniane w różnych przypadkach, nie jest imieniem własnym, tylko tytułem normatywnym. Stwórca nie może być nazwany – objawione imię Boga (YHWH) jest niewymawialne.

Wypowiadanie na modlitwie imienia „Jezus” jest głębokim aktem wiary, ale nie w owo imię, tylko w Niego samego, w Chrystusa (to słowo też nie jest ani imieniem, ani nazwiskiem). W języku greckim formuła „Pan Jezus” jest wołaczem, wskazującym bezpośredniego adresata. Tylko dlatego jest uprzywilejowana w modlitwie. Z kolei aramejski zwrot „Maranatha” (1 Kor 16, 22), czyli „Przyjdź, Panie Jezu!” (Ap 22, 20), to też nie mantra, jak błędnie sugerują to sami członkowie WCCM, tylko modlitwa o nastanie chwalebnej paruzji Pana Jezusa. Bo samo mechaniczne powtarzanie słowa nie jest modlitwą, ale gadulstwem, jak ostrzegał Jezus – „Nie każdy, który mi mówi: »Panie, Panie!«, wejdzie do królestwa niebieskiego” (Mt 7, 21).

Kłopot z chrześcijańską medytacją niedyskursywną pojawia się wtedy, gdy sprowadzimy modlitwę do techniki, która jest zaprzeczeniem kontemplacji. Mantra jest techniką modlitwy. W przeciwieństwie do modlitwy kontemplacyjnej, która jest wyzyciem się techniki w relacji do Boga – jej warunkiem wstępnym jest przecież zgoda na „ubóstwo duchowe”. Nie ma chrześcijańskich technik kontemplacji ani mantr. Są tylko pragnienie i tęsknota „przekuwane” w modlitwę w różnych jej formach. „Możliwe jest bowiem kochać Boga, ale nie myśleć o Nim. Miłością można Go pochwycić, nigdy jednak myśleniem” („Obłok niewiedzy”). Co jednak nie oznacza, że „doświadczenie duchowe jako takie jest raczej bezpostaciowe”, jak twierdzi o. Drażek. Ale raczej – że „nikt nigdy Boga nie widział” (J 1, 18). Miłość nie może być bezpostaciowa. Nie ma więc bezpostaciowego doświadczenia modlitwy. Choć istnieje bezpostaciowe doświadczenie medytacji.

Intencja i uważność

W centrum obu chrześcijańskich tradycji modlitewnych – modlitwie monologicznej, gdzie treść powtarzanej frazy ma zna-

czenie, oraz w medytacji niedyskursywnej, która nie skupia się wprost na słowach – jest intencja modlącego się, a więc skupienie się na Bogu. Obie również wskazują, że tę intencję powinna wspierać uważność, ponieważ nasz umysł bez przerwy się rozprasza, co widać jak w soczewce w czasie modlitwy. Uczenie się właściwego podejścia do rozpraszających stanów mentalnych jest więc pierwszym celem praktyki kontemplacji, która starając się „skierować umysł ku Bogu”, równocześnie ten umysł ćwiczy.

Modlitewne ćwiczenie umysłu opiera się na dwóch procesach: koncentracji i poszerzaniu świadomości, zgodnie z biblijnym wezwaniem „Zatrzymajcie się i wiedźcie, że Ja jestem Bogiem” (Ps 46, 11).

Niedyskursywna medytacja chrześcijańska jest zawsze modlitwą monologiczną, przynajmniej w swej początkowej fazie. Dzieje się tak właśnie ze względu na intencję. Traktowanie tej modlitwy jako „chrześcijańskiej mantry” wynika z niezrozumienia jej sensu. Mantra jest praktyką ezoteryczną, opartą na inicjacji i jej kolejnych stopniach. W medytacji chrześcijańskiej jedynym „guru” jest Duch Święty („wewnętrzny Nauczyciel”) – „On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem” (J 14, 26). Żadne słowo czy fraza w medytacji chrześcijańskiej nie mogą być „tajemne”. „Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione ani nic tajemnego, co by nie było poznane i na jaw nie wyszło” – mówił Jezus (Łk 8, 17).

Czy buddyści się modlą?

Chrześcijaństwo naucza, że modlitwa jest darem, a pragnienie kontaktu z Bogiem – łaską, która uprzedza naszą motywację. Pragniemy Boga, bo On chce dać się znaleźć, dając się poznać. Przeszkodą w kontemplacji nie może być Objawienie, tylko co najwyżej nasze ludzkie ograniczenia w jego przyjęciu. Właśnie dzięki intencji chrześcijańska medytacja niedyskursywna staje się modlitwą.

W przeciwieństwie choćby do medytacji buddyjskiej, mimo wielu zewnętrznych podobieństw. Różnica staje się wyraźna, gdy spytamy buddystę zen, pracującego z koanem (paradoksalnym stwierdzeniem, wybijającym z myślowej rutyny) albo z oddechem, czy robi

→ to samo, co medytujący chrześcijanie. Medytujący buddyści nie powiedzą, że się modlą. Podobne różnice wychodzą pomiędzy praktykami kontemplacji chrześcijańskiej a zwolennikami Medytacji Transcendentalnej. W medytacji chrześcijańskiej nie dąży się do tego, by odkryć, że człowiek ma już w sobie wszystkie zasoby duchowe, tylko – co najwyżej – nie jest ich świadomy. Modlitwa Jezusowa jest, owszem, „modlitwą serca”, ale nie jest kulturową wariacją uniwersalnej „modlitwy serca” praktykowanej w innych religiach i ścieżkach duchowych.

Czysta modlitwa

W kościelnej dyskusji o modlitwie kontemplacyjnej największe kontrowersje budzi założenie, że dojrzała modlitwa to „modlitwa bez słów, obrazów czy myśli”, i że językiem relacji z Bogiem pozostaje wewnętrzna cisza. Problem jednak polega nie na tym, że zwolennicy medytacji chrześcijańskiej „małpują” medytację Wschodu, jak twierdzi bp Siemieniowski, ale że taka „czysta modlitwa” była nauczana i propagowana przez żyjącego w V wieku Ewagriusza z Pontu, najbardziej subtelnego teologicznie pisarza i systematyka duchowości ojców pustyni.

Prawosławni uważają go do dzisiaj za nauczyciela modlitwy w całym tego słowa znaczeniu. To od niego uczył się Jan Kasjan, traktowany przez krytyków niedyskursywnej medytacji chrześcijańskiej jako jedyny autentyczny spadkobierca duchowości pustyni na Zachodzie.

Ewagriusz nauczał, że modlitwa to coś więcej niż opanowanie myśli – to uwolnienie się od nich. Porzucanie myśli przybiera różną postać w trakcie naszego rozwoju duchowego. Zaczyna się od umiejętności odrzucania rozpraszających myśli dnia codziennego, potem przechodzi w zdolność do stawiania oporu grzesznym pasjom (*logismoi*) i eliminacji konstruktów mentalnych, opartych na codziennym warunkowaniu „ja”, a w końcu umysł pozbawiony treści wchodzi w stan czystej kontemplacji („intelektualnego oświecenia”).

Na tym etapie modlitwa nie jest już aktywnością, ale stanem. Kontemplatyk odkrywa swoją prawdziwą naturę „stając twarzą w twarz” z „bezforem-

nym” Bogiem w Jego prostej naturze. Ta najwyższa forma modlitwy nie jest ekstazą, rozumianą źródłowo jako „wyjście poza siebie” (*ekstasis*), tylko katastazą (*katastasis*), a więc powrotem do swojego naturalnego stanu i odkryciem, że poczucie oddzielenia od Boga jest iluzją. Zjednoczenie z Bogiem jest „naturalnym” stanem umysłu, bo „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28), ale nie osiągnie się go bez współpracy z łaską.

Istniejemy dzięki Bogu

Czym jest jednak ta jedność? Z interpretacją tego stanu jest niemały problem. Praktycy kontemplacji chrześcijańskiej ujmują go w kategoriach „transpersonalnych stanów świadomości”, co znaczy, że odwołują się do subiektywnego doświadczenia, propagując tzw. niedualne chrześcijaństwo. Skoro „nasze życie jest ukryte z Chrystusem w Bogu” (Kol 3, 3), to nie istnieje niezależne „ja” czy samoistna „dusza”. Co jednak nie oznacza, że nie ma i nas. Istniejemy dzięki Bogu. I nie tylko dzięki Niemu, ale i w Nim. Możemy o sobie powiedzieć „Ja” dzięki Chrystusowi – dzięki różnicy w Bogu, a nie rozdzielaniu w Nim. „On jest obrazem Boga niewidzialnego. Pierwotnym wobec każdego stworzenia, bo w Nim zostało wszystko stworzone” (1 Kol, 15-16).

Nasza „bliźniaczość” z Bogiem nie jest uzurpacją, ale faktem. Czymś więcej niż zewnętrzne podobieństwo. Dlatego ostatecznym celem rozwoju duchowego jest nasze przeobóstwienie. Praktyka kontemplacji służy do tego, by nie tyle przekroczyć człowieczeństwo, ile w pełni je odkryć, poprzez dyscyplinę wglądu w siebie i śmierć „ego”. „Bóg stał się człowiekiem po to, by człowiek mógł stać się Bogiem” – pisał św. Ireneusz. Jest to równocześnie poznawanie siebie i oddawanie czci Bogu, boskości człowieka i człowieczeństwu Boga. Chrześcijaństwo nie jest szukaniem Boga w sobie, tylko siebie w Bogu, ponieważ On jest „głębszy i większy” niż nasza świadomość. Zapominają o tym zarówno sympatycy, jak i krytycy niedyskursywnej medytacji chrześcijańskiej. I stąd dylematy, czy się modlić, czy medytować.

© KS. JACEK PRUSAK SJ

Dzieci wam pouciekają

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Religia w szkole? Raz, a może dwa razy w tygodniu? Ciekawe, jak na te pytania odpowiedziałby ks. Jan Kaczkowski, zmarły dziewięć lat temu szef hospicjum, ale też katecheta.

Z UCZENIEM RELIGII W SZKOLE JEST głębszy problem: to nie jest tylko pytanie, czy będzie jedna lekcja, czy dwie, czy napisze się to, czy tamto [w ustawach – red.] – powiedział dwa miesiące temu podczas spotkania w Żorach ks. Adam Boniecki, pytany o obecne spory nt. katechezy. Chwilę później dodał, że szkolna religia częstokroć była i jest po prostu do niczego, i przytoczył rozmowę ze swoim znajomym biskupem twierdzącym, iż uzyskanie święceń jest równoznaczne z przygotowaniem do pracy w szkole. „G... prawda! Jest potrzebny talent i przygotowanie” – mówił dosadnie Redaktor Senior „TP” i dodawał, że to Kościół „położył” sprawę nauczania religii, nie dbając o jego jakość. „Źle uczymy – puentował. – Nie tego, co trzeba, nie tak, jak trzeba, i nie ci, co powinni”.

Ciekawą odpowiedź na pytania, „jak, czego i kto” powinien nauczać – da się wyczytać z krótkiego życiorysu zmarłego dziewięć lat temu (28 marca 2016 r.) ks. Jana Kaczkowskiego, założyciela słynnego Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio. Dwaj duchowni – Kaczkowski i cytowany wyżej ks. Boniecki, których rodziny dzieli niemal pół wieku – znali się zresztą dobrze i cenili. Redaktor Senior „TP” niemal dokładnie dekadę temu (w kwietniu 2015 r.) wygłaszał laudację na cześć odbierającego w Krakowie Medal św. Jerzego młodego, choć już śmiertelnie chorego na nowotwór mózgu duchownego. A wcześniej w świat poszły jego słowa, że Kaczkowski broni honoru polskiego kleru.



ARCHIWUM RODZINY KACZKOWSKICH

Urodzony w Sopocie Jan Kaczkowski bronił też – dodajmy – dobrej reputacji polskich katechetów.

Łysy i ślepy jak Stępień

Mało brakło, by do szkoły w ogóle nie trafił. Na szóstym roku seminarium słyszy od jednego z biskupów, że nie powinien być katechetą, bo „pouciekają mu dzieci, i nawet tego nie zauważą” (to aluzja do bardzo słabego wzroku).

Zresztą nie inaczej postrzegać go będą początkowo także uczniowie. „Łysy i ślepy jak Stępień”, postać z polsatowskiego serialu „Trzynasty posterunek”, tyle że w sutannie – takie skojarzenie ma w czasie pierwszej lekcji Szymon, uczeń Kaczkowskiego w połowie lat dwudziestych. „No więc wchodzi Stępień, a w zasadzie wysoki człowiek w sutannie, z musztardówkami na nosie – wspominał Szymon w rozmowie na potrzeby napisanej przeze mnie w 2018 r. dla WAM biografii puckiego duchownego. – Mówię: »Ja pierdiele, niepełnosprawnego klechę nam przysłali! O co tu chodzi?!«. Chyba większość odebrała to podobnie, bo był grupowy wybuch śmiechu”.

Inny z jego uczniów, Piotr, początki wspominał tak: „Już na starcie odróżniał się od poprzedniego księdza, zwanego »Pączkiem«, który robił wszystko dość schematycznie: mówił o Boży, kazał prowadzić zeszyt i odmawiać »Ojcze nasz«. Jan był ekscentryczny i nieprzewidywalny w tym, co będzie na lekcji. Używał niezrozumiałych słów: »emanacji«, »transcendencji«. Potrafił też przekląć albo być nieprzyjemny dla kogoś, na kogo się uwziął.

Realizował program, ale był mistrzem dygresji: mówił o polityce, filozofii, socjologii, psychologii. Nigdy wcześniej nie widziałem księdza, który by się nie bał dyskusji o antykoncepcji, seksualności, masturbacji. Nie mówił »tak jak ksiądz«, nie zachowywał się »tak jak ksiądz«, nawet nie ubierał się »tak jak ksiądz«, bo niby miał koloratkę, ale też dobrze skrojoną granatową marynarkę zapinaną na jeden guzik. To wszystko sprawiło, że ja – chłopak z Kaszub, który miał jasno sprecyzowany pogląd, »co księdzu przystoi« – byłem do niego zrażony (...) Po kilku miesiącach myślenia, że »tak księdzu nie przystoi«, zacząłem się jednak zastanawiać, czy to nie jest dobre. Bo zdąłem sobie sprawę, że nikt z nami w ten sposób nie rozmawiał: jeśli słyszałem coś wcześniej o seksualności, to w stylu »grzmienia z ambony«”.

Co najmniej kilkoro z jego uczniów zostanie jego „synkami” – pozostaną mu bliscy na lata, niektórzy do dziś. Zapamiętają, że z lekcji religii najważniejsze było dla niego spotkanie. I że w szkolny program – nie zawsze zresztą realizowany przezeń z przesadną skrupulatnością – próbował wplatać tematy bliskie uczniom.

Pouciekają czy nie

O umocowaniu katechezy w szkolnym systemie nie mówił za wiele. Powrót religii do szkół w 1989 r. nazwał w wywiadzie-rzecz („Życie na pełnej petardzie”, WAM) „nieszczęsnym”. A pytany przez Piotra Żyłkę, dlaczego sam chodził na katechezę w liceum, pomimo złych doświadczeń w podstawówce, odpowiadał: „Ponieważ po prostu była wpisana w plan

Ks. Jan Kaczkowski z rodziną i przyjaciółmi przed domem letniskowym nad jeziorem Wysoka w Kamieniu. Lata 90. XX w.

zajęć, a trochę z przekory. Ale to był okres, w którym Kościół agresywnie i nieumiejętnie angażował się w politykę (...) Bogu dzięki, że była to tylko godzina w tygodniu! Katecheci, jakich wówczas spotkałem, nie dawali zbyt wiele nadziei” – opowiadał, wymieniając po kolei: księdza lubianego, bo na wycieczkach opowiadał z pasją o znakach kolejowych; katechetę otoczonego kserówkami, którego nikt nie słuchał; duchownego, który robił się czerwony, gdy dostawał kłopotliwe pytania; kapłana, który – podobnie zresztą jak jego uczniowie – zionął alkoholem...

Jaka płynie z tych archiwalnych scen i cytatów lekcja na dziś? Jest warta przypomnienia w momencie, gdy dyskusja na temat religii w szkole toczy się w niemal całkowitym oderwaniu od tematu jakości katechezy (kto powinien jej uczyć, a kto i jak przygotowywać do tego księży i katechetów; czy powinna się toczyć w modelu takim jak obecnie, bardziej konfesyjnym, czy religioznawczym; itd.). W tym sensie jest w polskim systemie przedmiotem wyjątkowym. O języku polskim toczy się debata, czy swoim „kanonicznym” modelem zachęca, czy może zniechęca do literatury, o matematyce, biologii, geografii, na ile nauczane kompetencje przystają do życia, o niemal wszystkich przedmiotach rozmawia się w związku z dylematem „ile wiedzy, ile umiejętności”. Religia była i jest niemal wyłącznie traktowana jako zdobycz polityczna. Może dlatego na stawianiu pytania o jej jakość nikomu specjalnie nigdy – włącznie z Kościołem – nie zależało.

Wkrótce będzie się to musiało zmienić. Liczba godzin katechezy od września tego roku skurczy się z dwóch do jednej, religia będzie mogła widnieć tylko na początku i na końcu dnia zajęć, a więc będą na nią chodzić tylko ci, którzy będą chcieli (a nie ci, którzy – jak dotąd bywało – nie mieli co ze sobą zrobić). Żarty się skończą, a dostępne do niedawna narzędzia presji ustąpią charyzmie, zaangażowaniu, wiedzy. Albo ich brakowi.

W wariacie drugim dzieci pouciekają księżom i świeckim katechetom tak, że ci nawet tego nie zauważą. Tyle że – w odróżnieniu od życiorysu ks. Kaczkowskiego – pouciekają naprawdę i z zupełnie innych powodów. ©

ZUZANNA

Radzik: *Optymalizacja kobiet*



RANO SALOWA DYSKRETNIE WNOSI tacę ze śniadaniem. Cztery kromki tostowego chleba spakowane są w plastik. Obok pudełeczko margaryny, serek topiony i dżem o składzie cukier, żelatyna i aromat. „Gdzie jest

moje ekstra pięćset kalorii? Halo, ja mam tu karmić człowieka!” – oburzam się zdziwiona i dotknięta do żywego. Jak tak można karmić położnice? Gdzie mój rosół, kwasy, tłuszcze? Serek topiony i margaryna to nie jest prawdziwe jedzenie! Powtórzę swoje oburzenie każdemu, kto pisze z pytaniem, jak się mam; każdemu, kto dzwoni. Będę narzekać mimo dowiedzionego z domu prowiantu. I tak, widząc kolejne śniadania i niewiele lepsze kolacje, gderam, jakby mnie głodzono. Ostatniego wieczora rozplączę się na widok tostowego chleba w plastiku. Podnoszę go i oglądam pod światło. Dobrze myślałam, prześwituje! Ktoś z rodziny przekonuje, że szpital tylko podtrzymuje przy życiu, to rodzina ma zadbać o pacjenta. Tak, wiem, nie chciałam rodzić w bardziej eleganckim szpitalu, więc sama się prosiłam. Wiem, że wszędzie chodzi o przetarg na wyżywienie i jego zwycięzcę, który optymalizuje koszty. Stąd na deser do obiadu tani budyń z supermarketu. Stąd w instytucji odpowiedzialnej za zdrowie produkty, których jedzenie nie przyszkodziłoby mi normalnie do głowy.

Tak naprawdę nie chodziło o ten serek topiony ani prześwitujący chleb tostowy. Nie tylko. Chodziło o brak szacunku. O to, że leżę na oddziale poporodowym, ale system mnie nie widzi. Niby wszyscy tacy przejęci kryzysem demograficznym, ale dać jeść matkom się nie opłaca. A ja tu karmię człowieka, którego najpierw musiałam wyrwać z siebie, a teraz karmię sobą. Siebie zaś tym serkiem nie wykarmię. Jestem jak ranne zwierzę, dosłownie. W podziękowaniu za nowego obywatela dostaję dżem bez owoców, chleb bez chleba, ser bez sera.

Tak naprawdę chwyciłam się krytyki szpitalnego wikt, żeby oblec w coś, co uchodzi, przychodzącą z wnętrza mnie złość. Bo przecież złościć się nie wypada. Poza tym, nie mam o co. Niewiele mogą zarzucić, poród był całkiem szykowny, tytułowano mnie „madame” aż do samego końca. Położne do znudzenia pytały, czy mogą dotknąć, zbadać, zajrzeć. Znieczule-

nie na żądanie, bez dyskusji (w końcu to Bruksela, nie Warszawa). Pełna kultura. Raj dla rodzających, jak mówią. To skąd ta złość?

Zoptymalizowane śniadanie mówi do mnie każdego ranka, że system, ten zimny, kalkulujący drań, ten cały sposób, w jaki urządzamy społeczeństwo, ma mnie gdzieś. Patrząc na tacę ze śniadaniem czuję, jak ześlizguję się w tę podkategorię obywatela, sekcję dla matek. Nie wystarczy, że całe życie jestem kobietą, jeszcze teraz to? Podgrupa, którą można zgnoić w specjalny sposób? Zoptymalizować na nas wszystko: porody, karmienie, opiekę, choroby, naszą własną emeryturę?

Performowanie macierzyństwa w późnym kapitalizmie, moja droga, zaczyna się dla ciebie dzisiaj. Oto twój pakiet startowy, potem może być jeszcze gorzej. Tak jak nie należy się prawdziwy ser, tak samo oskładkowany urlop macierzyński ani żebyśmy nie były poszkodowane na emeryturze. Nie należy się ściąganość alimentów, bo kobiety jakoś ogarną, dzieciom z głodu nie dadzą umrzeć. Nie należy się wytchnienie czy prawo do pracy w razie opieki nad niepełnosprawnym potomkiem. Nie należy się nawet prawo do znieczulenia podczas porodu.

Tak, komunikat akcji „Usłysz głos bólu” organizowanej przez Fundację Rodzić po Ludzku i Fundację Ius Medicinæ zwrócił moją uwagę, bo dopiero co, skręcając się z bólu, pytałam: „Jeśli ja rodzę ze znieczuleniem, to jak jest bez?”. Dopiero co na pierwsze wiadomości z pytaniem o to, jak się mam po porodzie, odpowiadałam wciąż w emocjach: „Jak to możliwe, że rodzaj ludzki wciąż trwa, jeśli to tak wygląda?”. A w końcu mój poród był z XXI wieku: wanna z ciepłą wodą, znieczulenie, kiedy chciałam, kulturalny personel. To jak to jest, że w Polsce znieczuliła się tylko 23 proc. porodów? Czemu można znieczulić rwanie zęba, ale nie rozpiekający skurcz? Czemu w województwie mazowieckim (rekordowo) znieczuliła się 41 proc. porodów, ale w kujawsko-pomorskim i lubelskim tylko 2 proc.? I czemu i tu, i tam tak mało? Rodzące, pytane przez biuro Rzecznika Praw Pacjenta, odpowiadają, że w szpitalu nie było możliwości znieczulenia, lekarz odmówił lub nie wiedziały, że jest taka możliwość, jednocześnie 69 proc. ankietowanych chciałoby mieć możliwość znieczulenia zewnątrzoponowego oraz dostęp do innych sposobów łagodzenia bólu.

Pytane szpitale odpowiadają zaś, że nie stać ich na drugiego anestezjologa. Więc ja wam powiem, że gdyby to mężczyźni rodzili, anestezjolog by się znalazł. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościota kobiet”.

O. WACŁAW

Oszajca: Modlitwa Boga



CZWARTĄ NIEDZIELĘ WIELKIEGO POSTU nazywamy niedzielą radości, choć wokół pełno ludzi głodnych, wypędzonych, schorowanych, torturowanych, gwałconych, mordowanych... Z czego tu się cieszyć? Można sobie i innym wmawiać, że skoro nie możemy temu zaradzić, to po co się tym przejmować. Na szczęście wciąż jeszcze istnieją media, które burzą to prowadzące do znieczulicy dobre samopoczucie, a z rzeczywistością w ciuciubabkę lepiej się nie bawić. Jeśli dotychczasowy tzw. komfort życia zaczyna się sypać, to dobrze, gdyż to znaczy, że odezwała się w człowieku jego prawdziwa natura – owo biblijne podobieństwo do Boga, czyli to, co w nas najpiękniejsze. Chcąc się o tym przekonać, wystarczy przeczytać i przemyśleć Jezusowe opowiadanie o ojcu dwóch synów.

Wbrew tradycji w tej przypowieści, podobnie jak w opowiadaniu o Adamie i Ewie, chodzi przede wszystkim o Boga, o to, jak On reaguje na nieczne postępowanie jego dzieci. W przypowieści o dobrym ojcu, jak się tę przypowieść od jakiegoś czasu nazywa, młodszy syn co prawda przehułał spory majątek, ale jego starszy brat zmarnotrawił coś nieskończenie cenniejszego. Przez całe życie marnotrawił miłość. Czcił ojca i matkę, ale sercem był daleko od nich. „Złym okiem” patrzył na ojca i nie pozwalał mu być dobrym. Natomiast młodszy, poszedłszy po rozum do głowy, wraca do ojca i najprościej jak umie mówi: „Ojcze, zgrzeszyłem względem Boga oraz względem ciebie. Nie jestem już godny nazywać się twoim synem. Przyjmij mnie jako jednego z twoich najemników”. Temu starszemu synowi warto się przyjrzeć, czy przypadkiem kogoś nam nie przypomina? Jego rozczarowanie życiem wzięło się z nieumiejętności cieszenia się szczęściem.

Czyż nie bywa tak, że oskarżamy Boga o to, czym sami grzeszymy? Nie pamiętając, że „wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, zanim jeszcze Go poprosicie”, nie dopuszczamy Boga do głosu i zagłuszamy go modlitewną paplaniną. Zamiast informować Boga, zacznijmy dowiadywać się, czego On potrzebuje od nas, o co Bóg modli się do nas i gdzie pragnie nas posłać, żeby przez nas odpowiedzieć swoim dzieciom. Przecież jesteśmy ciałem, krwią i słowem Jego Syna, Jezusa Chrystusa, jesteśmy Bożym Ciałem. Dlatego na modlitwie nam i Bogu trzeba mniej gadania, a więcej słuchania, czytania, myślenia i działania. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Ołtarz po ojcu



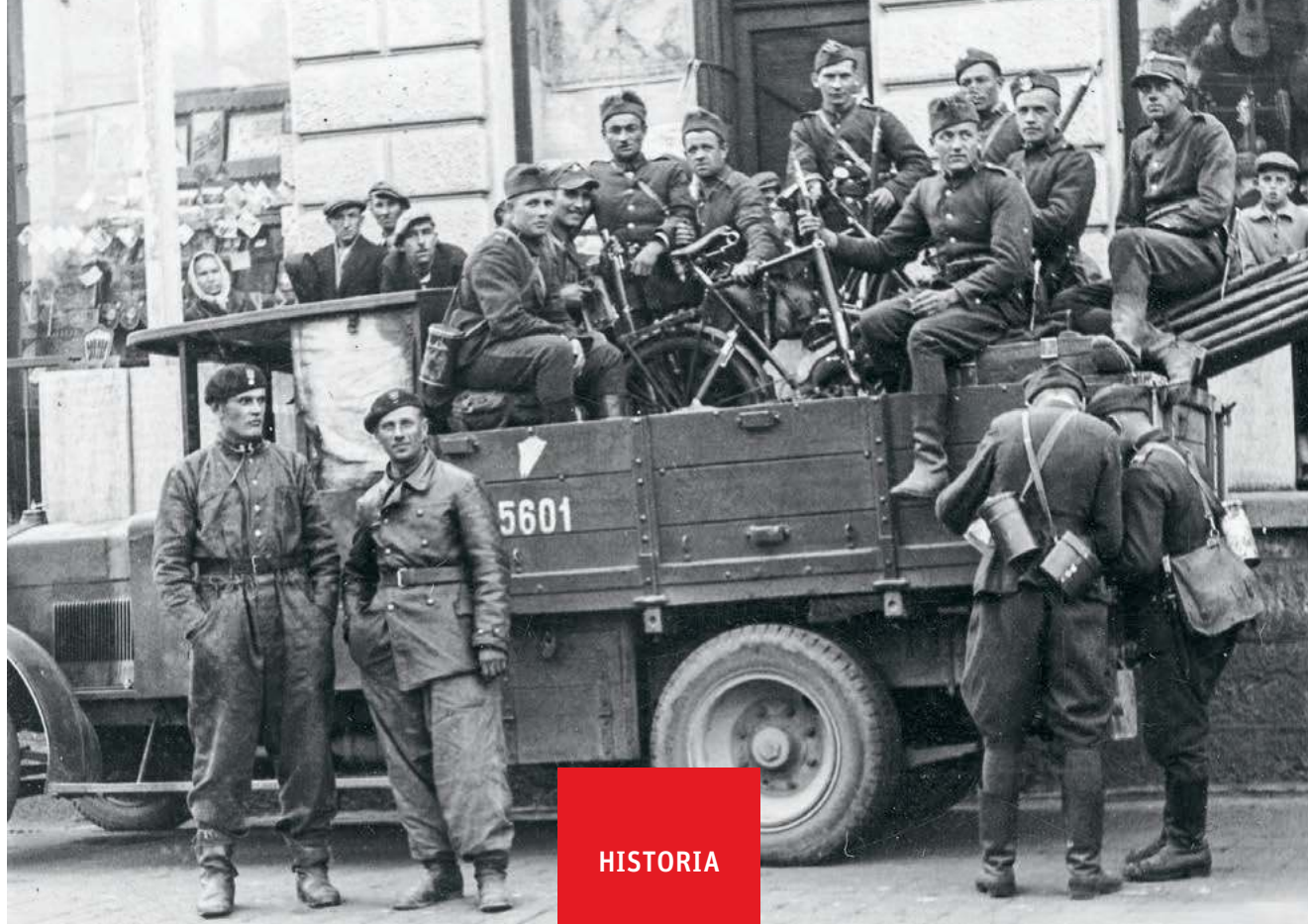
„JEŚLI PRZYNIESIESZ DAR SWÓJ PRZED OŁTARZ i tam sobie przypomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (zob. Mt 5, 23-24). Kto może o sobie powiedzieć, że jest pojednany ze wszystkimi? Lektura greckiego tekstu pozwala odkryć, że w tym przypadku mamy do czynienia nie tyle z ludzkim wymaganiem, co z prawdziwie boską obietnicą! „Pojednaj się” występuje w biernej stronie imperatywu: *diallagethi* – tzn. „bądź / zostań pojednany”. Chodzi o pojednanie bardziej w kategoriach otrzymanego daru niż wypracowanej przez siebie postawy. Czy przebaczenie nie przychodzi do nas jako łaska?

Byłem w ubiegłym tygodniu na południu Libanu, w miejscowości Kfour – dramatycznie doświadczonej w ostatnich miesiącach. Chrześcijanie mieszkają tu po sąsiedzku z muzułmanami; kościoły (stary i nowy) również niemal stykają się z meczetami (starym i nowym). Nie znaczy to, że wszystko jest tu łatwe. Proboszczem w Kfour jest ojciec Józef. Tłumaczy, że nie przystąpi do odbudowy zniszczonego kościoła, dopóki nie zostaną odbudowane domy jego parafian. „Najpierw ludzie – mówi. – To oni są Kościołem!”. Czwierć wieku temu proboszczem w tej wiosce był jego ojciec (księża maronicy w większości zakładają rodziny). Któregoś dnia został porwany przez Hezbollah. Dopiero po czterech latach jego ciało zostało przywiezione do wioski i zwrócone rodzinie.

Kiedy Józef otrzymał święcenia kapłańskie, biskup chciał go posłać na probostwo do Kfour, by przejął dziedzictwo po tacie. To, co biskupowi wydawało się przemawiać za taką decyzją, nowo wyświęconemu księdzu przedstawiało się jako niemożliwe. Nie wyobrażał sobie stanąć przy ołtarzu, od którego porwano jego ojca, wśród ludzi jakoś za to współodpowiedzialnych. Potrzebował na to dwunastu lat! Dopiero po tym czasie był w stanie odmówić Modlitwę Pańską w kościele w Kfour. „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...” Nie potrafi tego procesu opisać inaczej, jak tylko w kategoriach łaski. Staliśmy z nim oparci o ten „ojcowski” ołtarz i odmawialiśmy pacierz...

Tak. Ten, który nas wzywa do swojego ołtarza, byśmy Mu złożyli dary, uzdalnia nas także do tego, byśmy najpierw przyjęli od Niego dar pojednania. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekollekjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



ZBIORY KRZYSZTOFA PIĘCIAKA

HISTORIA

GDYBYŚMY ZDAŻYLI

Wobec zagrożenia niemieckiego i sowieckiego, przed 1939 r. Polska modernizowała armię. Przegrała z czasem i finansami.
Lekcja historii, której lepiej nie powtarzać.

KRZYSZTOF PIĘCIAK



NARCYZ WITCZAK-WITACZYŃSKI / NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

ZŁOŻENIA BYŁY AMBITNE. DRUGA POŁOWA lat 30. XX w. to dla Wojska Polskiego miał być czas prężnej modernizacji. Opracowany na lata 1937-42 plan (znany jako plan sześćioletni; jego szczegóły regulowały uchwały Komitetu ds. Uzbrojenia i Sprzętu) zakładał rozwój armii, która miała być wyposażona w nowocześniejszą broń i sprzęt.

Szybko okazało się jednak, że z braku środków plan ten trzeba rozciągnąć w czasie. Trwałby zapewne do 1944 r., być może dłużej – gdyby jego realizacji nie przerwała II wojna światowa.

PLANY | Siła nowoczesnej armii – każdej armii – wiąże się z możliwościami państwa. Najpierw z potencjałem ludnościowym: determinuje on, ilu żołnierzy można mobilizować. Znaczenie ma nie tylko liczba, ale też wykształcenie. O ile do piechoty można kierować każdego zdrowego rekruta, to działonowy (dowódca obsługi armaty) musi dokonać matematycznych obliczeń: wyliczyć odległość do celu, różnice wysokości, przełożyć je na nastawy działa itd. Dalej jest ekonomia: ile jest fabryk i hut, które mogą produkować broń i amunicję, wytapiać stal i aluminium, produkować paliwa i smary.

90 lat temu to było pierwsze z wielu wyzwań. Tym trudniejsze, że tamta Polska zaczynała jako kraj uboższy od sąsiadów, zniszczony przez I wojnę światową.

Choć dziś zagadnienie modernizacji wojska przed 1939 r. kojarzy się głównie z motoryzacją – a ta z kolei ze zmotoryzowaną 10. Brygadą Kawalerii i jej skutecznością w 1939 r. – to idea była rozbudowa armii na wielu polach. Nie chodziło tylko o jednostki motorowe, ale też o modernizację artylerii czy sprawy często mniej doceniane, jak radiostacje i samochody ciężarowe.

Na stronie obok od góry: żołnierze zmotoryzowanego pododdziału łączności Wojska Polskiego. Na ciężarówce łącznościowcy z wyposażeniem oraz rowerem gońca rowerowego jednostki. Fotografia wykonana pod koniec lat 30.

Żołnierze 1. Pułku Strzelców Konnych w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. Wbrew nazwie pułk ten udało się w pośpiechu zmotoryzować tuż przed samym wybuchem wojny. W głębi widoczne ciężarówki, z którymi wyruszył on na front.

NOWE PUŁKI | Zaczynając od artylerii: w 1936 r. zaplanowano zwiększenie liczby haubic, wzmocnienie artylerii ciężkiej, rozrost i motoryzację oddziałów rozpoznania artylerii, a także dalsze prace nad nowymi modelami armat i moździerzy.

Planowano rozbudowę broni pancernej o czołgi lekkie (te miały zastąpić wysłużone tankietki) i średnie. Zaplanowano też – i częściowo zrealizowano – nowocześnie obronę przeciwpancerną i przeciwlotniczą. Dalsze – niezrealizowane – kroki w piechocie to karabiny samopowtarzalne dla strzelców wyborowych i poprawa łączności, najpierw w kompaniach ciężkich karabinów maszynowych.

A jak mogłoby być, gdyby po motoryzacji artylerii udało się przejść także do etapu przezbrajania „zwykłych” pułków piechoty? W 1939 r. sporządzono zestawienie stanów liczebnych dla planowanego pułku „zwykłego” i zmotoryzowanego. Zmodernizowany pułk miałby mieć 50 aut (w 1939 r. miał ich zwykle tylko kilka), 31 motocykli oraz 9 tankietek transportowych. Z kolei hipotetyczny pułk zmotoryzowanej piechoty miałby ponad setkę aut i kompanię motocykliстів.

Te plany – tyleż ambitne co istotne, gdyż pułk piechoty był wtedy podstawową jednostką organizacyjną w piechocie – pozostały jednak na papierze.

WYSPY MODERNIZACJI | Udało się za to zmodernizować kilka innych obszarów.

Najpierw: artyleria przeciwlotnicza. Wyposażona w nowoczesne armaty 40 mm, produkowane na licencji szwedzkiej firmy Bofors, korzystała ona z ciągników i samochodów przewożących broń i obsługę. Budowano też nowe większe armaty kalibru 75 mm i planowano – tego do wojny nie udało się zrealizować – wyposażić obronę przeciwlotniczą w 20-milimetrowe najcięższe karabiny maszynowe. W dalszej kolejności otrzymać miały je także pułki piechoty.

O ile przeciwlotnicy otrzymali auta i ciągniki, to armaty przeciwpancerne – także produkowane w Polsce na licencji Boforsa – pozostały przy ciągu konnym. Nie ukończono też – planowanego na okres do wiosny 1939 r. – wyposażenia każdego z czynnych pułków piechoty w 12 armat przeciwpancernych. Większość pułków wyruszyła na wojnę z dziećmioma takimi armatami, a pułki re-

zerwowe i Korpusu Ochrony Pogranicza miały ich jeszcze mniej.

PRZECIW CZOŁGOM | Niższy poziom systemu obrony przed czołgami miały stanowić karabiny przeciwpancerne wzór 35 w plutonach piechoty i szwadronach jazdy. Wbrew powszechnej opinii, która głosi, że ich utajnienie uniemożliwiło przeszkolenie żołnierzy, strzelców wyborowych zapoznano z tą bronią latem 1939 r., wydano też instrukcję jej użycia.

Przygotowywano się również do zwalczania czołgów wiązkami granatów i butelkami z benzyną. Pod tym ostatnim względem Polska uprzedziła słynne fińskie „koktajle Mołotowa”: niemieckie czołgi zapłonęły od nich już 1 września.

Nie zdążono za to zrealizować planu wprowadzenia nowych cięższych armat przeciwpancernych kalibru 47 mm. Oddziały przeciwpancerne nie miały też łączności radiowej, pozwalającej interweniować czy wysłać odwód (gdyby nawet było z czego go utworzyć) w miejsce ataku wrogich czołgów.

Jak było potem, wiemy: atakujące niemieckie czołgi stosowały taktykę polegającą na tym, że w jednym miejscu koncentrował się wysiłek kilkudziesięciu pojazdów, co dawało przewagę nad obrońcami. A gdy zaczynał się odwrót, ciągnięte przez konie armaty ustępowały szybkością niemieckim zagonom pancernym.

SZPEJ | Lata 30. to też czas testów nowego sprzętu, który miał służyć szeregowym żołnierzom. Obok takich nowości jak pistolet maszynowy Mors wzór 39 czy samopowtarzalny karabin wzór 38, testowano nowe wyposażenie indywidualne (dziś mówi się na to: szpej).

Były to np. ubiory maskujące, a zwłaszcza szelki podtrzymujące oporządzenie. Miały one odciążyć żołnierza, który dźwigał do 30 kilo ekwipunku (podobne rozwiązania stosowała armia niemiecka, a wcześniej austro-węgierska), bagnety z powłoką antykorozyjną, wprowadzano też lunety dla strzelców wyborowych. Ćwiczono na dużą skalę działania oddziałów narciarskich, przewidzianych do operowania zimą na nizinach i w górach (podobne prowadziła armia fińska).

Te rozwiązania poprawiały (lub poprawiałyby) ekwipunek i uzbrojenie pojedynczego żołnierza – ale nie mogły wpłynąć na wynik kampanii.

→ **KIEROWCY I DROGI** | „Gdy wchodziliśmy do pierwszych zabudowań, na niebie ukazywał się już świt. W coraz mocniej jaśniejących płamach brzasku porannego odróżnialiśmy domy, drzewa, opłotki, a później... działa, jaszczke, ciągniki, samochody – najpierw pojedyncze – potem grupy, całe parki. Przecieraliśmy oczy, by się upewnić, czy to nie złudzenie, tak nieprawdopodobnie zdobyc ta wyglądała” – tak gen. Bronisław Prugar-Ketling wspominał poranek 16 września we wsi Muzyłowice, gdy jego żołnierze z 11. Dywizji Piechoty zdobyli niemiecki sprzęt (był to epizod boju, w którym rozproszono batalion z pułku SS „Germania”).

Ale, dodawał później generał, zabrali z sobą tylko kilkanaście samochodów terenowych; większość bogatego łupu trzeba było, z braku wyszkolonych obług i kierowców, spalić.

Czytelnika z roku 2025 r., gdy posiadać prawa jazdy jest powszechne, może to zaskoczyć. Ale w ubogim kraju, jakim była – w porównaniu z sąsiadami – II Rzeczpospolita, umiejętność prowadzenia samochodu stanowiła rzadkość. Aut było na drogach wielokrotnie mniej niż w Niemczech, mniej było więc też kierowców, mechaników, utwardzonych dróg i stacji paliw. Niższa ogólnie była kultura techniczna. Wszystkie te czynniki wpływały na możliwości modernizacji armii, gdy w grę wchodził nie tylko zakup sprzętu, ale też wyszkolenie żołnierzy, którzy mieliby go obsługiwać.

LOGISTYKA | „W dniu 27 VIII 1939 zameldowałem się u dowódcy 1. Brygady Górskiej (...). Amunicja miała być dostarczana przy linii kolejowej Kraków-Sucha. Wypiek chleba na razie we własnym zakresie. Brygada poza 3 autami ciężarowymi nie miała własnych kolumn amunicyjnych i żywnościowych. Do [tego] czasu pułki Brygady zaopatrywały się we własnym zakresie. Z chwilą wybuchu wojny organizacja zaopatrzenia nie była jeszcze całkowicie zorganizowana” – notował kpt. Antoni Michalik, kwatermistrz (tj. logistyk) z 1. Brygady Górskiej Strzelców.

Pod tym suchym zapisem kryje się fakt, że – mimo starań logistyków – podczas odwrotu żołnierzom zwykle nie uzupełniano żywności i amunicji, bo nie było ich czym dowieźć.

Formowane w pośpiechu latem 1939 r. brygady górskie – broniące południowej

granicy – miały otrzymać zaledwie po kilka aut... Nie zdążono przygotować dla nich zapasów amunicji, mundurów, paliwa. Ich organizowanie przerwał wybuch wojny, a te braki uczyniły z niektórych jednostek – choć bijących się dzielnie, często dosłownie w obronie rodzinnych domów – oddziały „jednorazowego użytku”.

BUDŻETY | Międzywojenna Polska, mając poczucie zagrożenia, wydawała na armię kwoty nieporównywalne z tymi przeznaczanymi obecnie: wydatki sięgały nawet jednej trzeciej budżetu państwa. Ale większość z tych kwot to nie środki na zakupy sprzętu, lecz tzw. koszty vegetatywne, jak wykarmienie ludzi i koni czy ogrzanie koszar.

Nowy sprzęt też kosztuje, lecz w perspektywie wieloletniej i do tych kwot trzeba doliczyć środki na eksploatację. Szacuje się, że sam zakup nowego sprzętu (pojazdów czy samolotów) to tylko część (czasem mniejsza) kosztów jego użytkowania. Jak zwykły użytkownik auta musi co jakiś czas wymienić filtry czy hamulce, tak napraw wymaga ciężarówka i czołg.

Znane jest też zestawienie kosztów utrzymania oddziału konnego, przewyższające wydatki na podobną jednostkę zmotoryzowaną (sic!). Jednak sformowanie tej ostatniej wymagało – prócz zakupu sprzętu, wyszkolenia kierowców i mechaników (optymalnie też rezerwistów) – również budowy zaplecza dla żołnierzy, garaży itd. Szkolenie i budowa zaplecza – to także koszty modernizacji armii.

WIĘCEJ I CELNIEJ | Różnicę widać, gdy zestawimy Wojsko Polskie z wrogiem.

Wehrmacht kojarzy się z wojskami szybkimi, pancernymi; jednocześnie często powtarza się, że niemieckie dywizje piechoty opierały się na taborze konnym. Istotnie, dywizje pierwszej fali mobilizacyjnej (do tej grupy zaliczała się większość sił zruconych przeciw Polsce) miały prawie 5 tys. koni każda. Ale obok koni miały też park maszynowy. Na samochodach Niemcy oparli „kręgosłup” wojska: łączność i logistykę, kompanie sanitarne, szpitale polowe; w pełni zmotoryzowane były też dywizyjne bataliony przeciwpancerne.

Co z tego wynika? Nawet jeśli dywizje polska i niemiecka miały na papierze tyle samo łuf, to niemiecki dowódca miał więcej informacji (mówiąc współczesnym

językiem: miał lepszą świadomość sytuacji) dzięki oddziałom rozpoznawczym wyposażonym w radia i wsparciu lotniczemu. Mógł skuteczniej dysponować swoimi siłami. A gdy do walki doszło, artyleria była w stanie wystrzelić więcej pocisków (bo szybciej je uzupełniano) i celniej, bo ostrzał korygowali obserwatorzy, wyposażeni w radia lub telefony polowe (tych naszej armii bardzo brakowało).

ELASTYCZNOŚĆ | Różniła się też taktyka. Działając elastycznie, Niemcy skutecznie wykorzystywali środki, które posiadali, np. tworząc mobilne oddziały pościgowe. Złożone z żołnierzy oddziałów rozpoznawczych (motocyklistów, kawalerzystów, kolarzy), ciągników z armatami przeciwpancernymi (używany do wsparcia w pierwszej linii) i działkami przeciwlotniczymi (zabójczymi też dla piechoty), saperów i żołnierzy piechoty przesadzonych na ciężarówkach, a także baterii artylerii z ciągnikami – stale naciskały na cofające się polskie siły.

Gdy grupy pościgowe wysforowały się naprzód, ich dowódcy mogli skorzystać z radia i meldować np. o wyczerpywaniu się amunicji – dowodziły ją wtedy kolumny ciężarówek. O tym, że mogą wyruszyć bezpiecznie, bez zagrożenia atakiem jakiegoś polskiego zagonu, informowali lotnicy – przypisane do korpusów (a czasem nawet do dywizji) eskadry rozpoznawcze na bieżąco rozpoznawały teren.

LEKCJA HISTORII | To bolesna prawda: w modernizacji swej armii II Rzeczpospolita przegrała z czasem i finansami. Jednak przynajmniej: nawet gdyby plany rozwoju wykonano, nawet gdyby były większe środki i lepsi planiści, Polska lat 30. znalazła się między dwoma totalitaryzmami: III Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Każdy z nich dysponował potężniejszą armią, silniejszą gospodarką, większym potencjałem ludnościowym – i niedemokratycznym systemem, który pozwalał dyrygować zasobami.

Mimo wszystko, warto docenić tamten wysiłek – i na ile to możliwe, wyciągnąć z niego dziś wnioski.

© KRZYSZTOF PIĘCIAK

Autor jest doktorem historii, pracuje w Oddziale IPN w Krakowie. Autor prac o historii Polski w XX w. i historii wojskowości, w tym o Wojsku Polskim przed 1939 rokiem.

"TYGODNIK POWSZECHNY" MA SWÓJ ZNACZEK



Oto znaczek pocztowy,
który Poczta Polska wydaje specjalnie
na 80. urodziny „Tygodnika Powszechnego”.
Swoją premierę miał 24 marca.

Autorem grafiki, jubileuszowego stempla i koperty w pierwszym dniu obiegu jest Bożydar Grozdev.

MAGAZYN
wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze, redaktorzy i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy.
Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.



MAGAZYN „Wyborczej”
Szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

WYSYCHAMY

PROF. MATEUSZ GRYGORUK, HYDROLOG:

Coraz częstsze susze i powodzie to nie tylko kwestia zmian klimatu. To także konsekwencja tego, jak zarządzamy wodą.

MARTYNA SŁOWIK: „Sytuacja hydrologiczna staje się coraz trudniejsza. Udział wody wysokiej to tylko 1 proc., a strefa niska to aż 58 proc. Rośnie liczba stacji z niskim przepływem”. To komunikat Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej z lutego. Dlaczego z wodą jest tak źle?

MATEUSZ GRYGORUK: Odpowiedź można by zakończyć na słowach: bo w ostatnich miesiącach nie padał ani śnieg, ani deszcz. Jednak w rzeczywistości mówimy tutaj o rzeczach, które są dużo bardziej złożone i łączą się ze sobą. Musimy pamię-

tać chociażby o tym, że stan wody to nie to samo, co przepływ. Średni przepływ Biebrzy w posterunku wodowskazowym Burzyn to około 35 metrów sześciennych na sekundę, natomiast obecnie wynosi on tylko 16 metrów sześciennych na sekundę. Można więc powiedzieć, że już teraz brakuje połowy rzeki. Przez dłuższy czas nasze zasoby wodne nie były uzupełniane. Możemy to porównać do planowania budżetu: na koniec roku mamy tyle pieniędzy, ile mamy, co jest wynikiem naszych zarobków i wydatków oraz ewentualnie oszczędności. Nie zawsze jest

tak, że mamy mało pieniędzy, ponieważ zbyt mało zarabiamy. Czasami to nasze wydatki są za duże. I podobnie jest z zasobami wodnymi w naszym kraju: dużo wydajemy, a mało zarabiamy.

Zbliżamy się do bankructwa?

W ciągu ostatnich kilku, a nawet kilkunastu lat deszcz padał bardzo nieregularnie. Rozkład i charakter opadów też był inny niż wcześniej: wraz z pogłębiającą się zmianą klimatu pada rzadziej, ale często te deszcze są nawalne, czyli np. w trzy godziny spada tyle wody,



ile dawniej w ciągu miesiąca. Co więcej, z powodu wyższych temperatur powietrza zdecydowanie więcej wody paruje. To wszystko wpływa na nasz bilans wodny, który w wielu miejscach w Polsce staje się ujemny.

Jeżeli chodzi zaś o poziom wód i przepływ w rzekach, to pamiętajmy, że za to, ile wody jest w rzece w okresach niżówek, odpowiadają wody podziemne. A one powstają poprzez infiltrację, czyli przesiąkanie wody z opadów czy roztopów przez kolejne warstwy ziemi. Problem polega na tym, że jak już pada, to wodę z deszczu staramy się jak najszybciej usunąć z krajobrazu, nie zatrzymujemy jej. Uszczelniliśmy bardzo dużo powierzchni w kraju. I zamiast pozwolić wodzie wsiąkać, zasilać wody podziemne, to odprowadzamy ją do kanalizacji deszczowej i od razu do rzeki.

Trzymając się finansowej metafory: jeżeli spada dużo deszczu, to my nie mamy zwyczaju ani możliwości „odlewania” jej na oszczędności, tylko od razu konsumujemy albo marnotrawimy. W wyniku takiego działania wody podziemne nie ulegają odtworzeniu. I zaraz będzie bieda.

Zatem problem coraz częstszych susz wynika zarówno ze zmiany klimatu, jak i ze złego gospodarowania wodą

przez całe lata – betonowania miast, uszczelniania zlewni, prostowania rzek?

Tak. I co ważne: do suszy się przyzwyczajamy, a często długo jej nie zauważamy, czego nie można powiedzieć o powodzi. Jest marzec, wody jest zatrwająco mało, a mimo tego nie widać rolników, którzy wychodziliby na ulicę i krzyczeli, że jest susza, że za chwilę przyjdzie okres wegetacyjny i będą mieć problem z uprawami.

Winne są zarządzające publicznymi wodami Wody Polskie?

Moim zdaniem nie. W wielu sprawach Wodom Polskim nie sposób odmówić profesjonalizmu. Pracuje tam wielu kompetentnych ludzi. Trzeba jednak pamiętać, że jest to instytucja zarządzana centralnie. W wojsku o tym, kto dostaje awans, decyduje dowództwo. W Wodach Polskich i o polityce wodnej decydują rządzący, a więc i my, którzy zwykle co 4 lub 8 lat zmieniamy wizję gospodarki wodnej. Bardziej jest to kwestia ścierania się dwóch grup interesów.

W gospodarce wodnej cały czas jest grupa ludzi, która mówi, że aby zapobiegać suszy, ale i powodzi, to trzeba budować zbiorniki retencyjne. Łączy się z tym szerokie lobby wykonawców. Ale jest też druga grupa, która chce renaturyzować

rzeki, bo też ma w tym swój interes – lubi, gdy w rzekach są stabilne populacje ryb. I każdy próbuje zrealizować swój plan. I jednej, i drugiej grupie trudno odmówić racji. Moim zdaniem należy położyć nacisk na to, że tak jak renaturyzacja rzek nie rozwiąże całkowicie problemów suszy, tak i budowa kolejnych zbiorników nie zapobiegnie powodzi, choćby taką, jaką mieliśmy we wrześniu 2024 r.

Nota bene, ta powódź wystąpiła w miejscach, gdzie wszystkie rzeki są uregulowane i jest to najbardziej hydrotechniczne przekształcony obszar naszego kraju. Renaturyzacja rzek i budowa zbiorników mogą i muszą się wzajemnie uzupełniać. Wspólnie mogą pomóc ograniczyć ryzyko powodzi i suszy.

Chce mi Pan powiedzieć, że interesy obu tych grup zawsze są równoważne? Przecież hydrologia jako nauka jest obiektywna, a jej prawidła nie podlegają chyba negocjacji?

Oczywiście, jednak kwestie społeczno-percepcyjne są bardzo ważne. Gdy 5 lat temu były konsultowane PUW-y – Plany Utrzymania Wód – to pojawiło się kilkadziesiąt głosów w dyskusji. W tym roku w ramach konsultacji do Wód Polskich trafiło ponad 3 tys. komentarzy. To świadczy, z jednej strony, o coraz większej świadomości społecznej ➔

Niski stan wody w Wiśle, widok z wysokości rezerwatu przyrody Wyspy Zawadowskie. Warszawa, 28 lipca 2022 r.



→ i wrażliwości na kwestie środowiskowe, z drugiej o tym, że przestaliśmy ślepo wierzyć w pewne stare dogmaty związane z wodą, bo widzimy, że one już nie działają.

Przykład?

Znalazłem ostatnio podręcznik z 1962 r. pt. „Przewodnik do ćwiczeń z melioracji wodnych”. Nie ma w nim mowy o żadnej naturze, środowisku. Wszystko jest kwestią inżynierii, techniki stosowanej na polach uprawnych. Ta książka powstała zapewne w reakcji na jakiś problem, który trzeba było rozwiązać, by ludziom żyło się lepiej, by rolnicy mogli efektywniej wykonać pracę. Proszę sobie wyobrazić, że w rozdziale o „regulacji rzeki” jest instrukcja, że trzeba wziąć pod uwagę dosłownie wszystko – przepływy ekstremalne, zabudowę koryta, przekroje, a nie ma słowa o środowisku rzeki.

Kłopot w tym, że wielu interesariuszy wciąż traktuje meliorację i regulację rzek dogmatycznie – jako działanie dla działania, a nie jako remedium na nowe problemy. Teraz już wiemy, że jeśli przez 20-30 lat kombinujemy przy glebach czy rzekach, to one ulegną takiemu przekształceniu, że nie będzie się dało z nich korzystać, przestaną nas chronić i spełniać swoje funkcje. Uregulowane, wyprostowane rzeki i zabudowane tereny zalewowe nie dają szans na ochronę przed powodzią i nasilają suszę, gdy długo nie pada. Zniszczyliśmy torfowiska i rzeki i tego nie da się łatwo przywrócić.

Co w polskich realiach najbardziej wpływa na pogarszającą się sytuację z wodą?

Moim zdaniem – bałagan w ustawie Prawo wodne. W obecnym kształcie jest ona zlepkiem wcześniejszych dokumentów prawnych dotyczących wody, które były wiele razy modyfikowane i nowelizowane, niekoniecznie racjonalnie i całościowo, oraz w dopasowaniu do zmieniających się realiów.

Na przykład artykuł 227. ustawy Prawo wodne definiuje prace utrzymaniowe. Mówi on o tym, że utrzymywanie wód powierzchniowych „polega także na zachowaniu stanu dna lub brzegów oraz na remoncie lub konserwacji istniejących budowli regulacyjnych”. Dalej, w punkcie 3. artykuł ten wymienia zamknięty

zakres ośmiu czynności, poprzez które to utrzymanie wód jest realizowane.

Jakie to czynności?

Wykaszanie roślin z dna i brzegów, usuwanie roślin pływających i korzeniących się w dnie, usuwanie drzew i krzewów, usuwanie przeszkód, zasypywanie wyrw, usuwanie namulów i rumoszu, remont urządzeń wodnych, rozbiórka tam bobrowych.

Podsumowałabym ten katalog słowami: „wielkie usuwanie”.

I coś w tym jest. Nie można posadzić drzew przy rzece w ramach prac utrzymaniowych, ale można je w ramach „utrzymania wód” usunąć. Nie może pani wrzucić kamienia do rzeki bez pozwolenia na budowę, ale można go z niej wyjąć. Przy tak zdefiniowanych pracach utrzymaniowych każdy urzędnik i wykonawca podchodzi do tego literalnie: ja mam tutaj zamknięty katalog i będę się go trzymał. Nie da się prowadzić prac utrzymaniowych tak, aby podjąć próbę odtworzenia pewnych procesów.

Ten zamknięty katalog prac wygląda jak „klapki na oczach” – nie uwzględnia tego, co wydarzyło się na danej rzece, ile w niej jest wody i co się dzieje w jej ekosystemie. Nie dziwi, że na początku tego roku wśród przyrodników, działaczy ekologicznych i osób zainteresowanych rzekami w swojej okolicy konsultacje Planu Utrzymania Wód ogłoszone przez Wody Polskie wywołały tyle kontrowersji.

Głównym czynnikiem determinującym wykonanie lub nie tego planu są niestety pieniądze. PUW-y są na tyle ogólne i tak szeroko zakrojone, że zapewne większość wskazanych w nich prac nie zostanie wykonana. Nie zmienia to faktu, że jak coś będzie w planie, to jedynym czynnikiem regulującym wykonanie tych prac będzie czynnik finansowy.

Jeżeli jest rzeka, która zalała komuś podwórko piąty raz w ciągu ostatnich trzech lat, to może warto sobie zadać pytanie, czy nie przenieść tego podwórka i ludzi, zamiast co roku pisać się na tę samą tragedię? Może to będzie tańsze, lepsze dla środowiska i ludzi, niż np. regulowanie rzeki? Wymaga to jednak redakcji

Prawa wodnego oraz edukacji społeczeństwa, by ludzie zrozumieli, że pogłębienie rzeki nic nie zmienia.

Co ciekawe, to pogłębianie rzeki jest zwane eufemistycznie „odmuleniem”, choć rzadko kiedy przy planowaniu „odmulenia” ktoś w ogóle posiłkuje się pomiarami geodezyjnymi w celu ustalenia, co tak naprawdę rzece dolega, ile tego mułu jest i jak wygląda stan dna w porównaniu do danych sprzed kilkunastu, kilkudziesięciu lat. Z prowadzonych przez nas badań wynika, że dna rzek w Polsce ulegają ciągłemu obniżaniu.

Od kilku lat w wakacje, a czasami nawet wiosną, możemy zobaczyć mapę Polski z zaznaczonymi miejscami, w których wprowadzono ograniczenia w poborze wody. Czy to możliwe, że już tego lata zabraknie wody w kranach?

Myślę, że woda w kranach w naszych domach będzie, ale może jej brakować dla przemysłu czy rolnictwa. Rolnicy sobie z tym poradzą, bo wykopią studnie i będą pobierali wody podziemne. Konsekwencje tego będą widoczne dopiero za kilka lat – na szybko niczego złego nie zaobserwujemy. No, może w międzyczasie wyschnie nam kilka małych rzek. Prywatnym użytkownikom grożą również ograniczenia w poborze, które i tak często nie są respektowane.

Zaczęła pani naszą rozmowę od ostrzeżenia Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej o niskich stanach i przepływach w rzekach. Jednak również Państwowy Instytut Geologiczny wydał ostrzeżenie o niżówce hydrogeologicznej, a to już coś znacznie poważniejszego. To oznacza, że wody podziemne są w złym stanie i jest ich za mało, a są przecież podstawą zaopatrzenia nas w wodę. Źródła podziemne są bardzo stabilne, ale też odnawiają się bardzo powoli i tylko wtedy, gdy dajemy im na to szansę, czyli nie uszczelniamy powierzchni, pozwalamy wodzie przesiąkać, zbieramy ją i zatrzymujemy w krajobrazie. Obecnie niestety bierzemy spod ziemi wodę jak z oszczędności, ale ona się kończy. Nawet jeżeli zaczniemy działania odtwarzające, co na razie idzie nam słabo, to efekty zobaczymy za wiele lat.

Wspomniał Pan, że aby poprawić sytuację wodną w kraju i zmniejszyć

chaos, trzeba zacząć od ustawy Prawo wodne. Co Pan proponuje?

W 2022 r. wraz z grupą ekspertów pracowałem nad Krajowym Programem Renaturyzacji Wód Powierzchniowych, który – moim zdaniem – wyszedł nam całkiem dobrze. Wtedy też Państwowa Rada Ochrony Środowiska zaproponowała zmiany w ustawie Prawo wodne. M.in. rozszerzenie dotychczasowego katalogu prac utrzymaniowych o nasadzenia drzew i krzewów w nadbrzeżnych strefach buforowych, wprowadzanie i kształtowanie tych stref, wprowadzenie działań, które pozwolą na ukształtowanie siedlisk zwierząt nad wodami, usuwanie gatunków inwazyjnych roślin i zwierząt, ale też usuwanie odpadów oraz – co bardzo istotne – założenie urządzeń monitoringu jakości wód, stanów wód i ich przepływów.

Zaryzykuję twierdzenie, że nawet gdybyśmy mieli bardzo źle napisane aktualizacje planów gospodarowania wodami, gdybyśmy mieli bardzo źle napisane dokumenty dotyczące ochrony przed powodzią czy zapobiegające suszy, to po proponowanych zmianach na tych wszystkich małych rzeczkach, które mamy w krajobrazie, mądrzy ludzie mogliby podejmować działania, które są w naszym wspólnym interesie: spowolnić odpływ, zachować wodę w krajobrazie.

Co się stało z tą propozycją?

3 lata temu położyliśmy ją na biurku minister klimatu Anny Moskwy. Do dzisiaj zapewne tam leży.

Obecna ministra czy wiceministra klimatu i środowiska też nie odpowiedziały?

Nic nie wiem o działaniach Ministerstwa Klimatu i Środowiska w tym zakresie. Może tegoroczna wiosenna susza to dobry moment, by o tym przypomnieć.

Z czym jeszcze w związku z pogarszającym się stanem wód musimy się liczyć w najbliższym czasie?

Zacznijmy od produkcji energii elektrycznej. Większość dużych elektrowni w Polsce to są elektrownie zlokalizowane blisko rzeki, żeby było je czym chłodzić. Planowana odbudowa elektrowni w Kozienicach polega na pobieraniu wody z rzeki Kiełbaski i następnie odparowanie tej wody po wytworzeniu energii. Nizówki w Wi-



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. MATEUSZ GRYGORUK, prof. SGGW, jest hydrologiem, dyrektorem Centrum Badań Klimatu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Współautor Krajowego Programu Renaturyzacji Wód Powierzchniowych, wiceprzewodniczący Państwowej Rady Gospodarki Wodnej.

śle, podobne do tych z zeszłego lata, mogą spowodować takie ograniczenia w dostępie do wody, że trzeba będzie wyłączyć bloki elektrowni Kozienice.

Czyli mogą wystąpić lokalne blackouty?

To prawdopodobne. Kolejna kwestia to ścieki. Wpuszczamy je do rzeki przy teoretycznym założeniu – bo na takich opierają się pozwolenia wodnoprawne – że jest w niej pewna ilość wody, która je rozcieńczy. A przecież przy permanentnej suszy i niskich przepływach wcale tak być nie musi. Może wydarzyć się kolejna tragedia podobna do tej na Odrze z 2022 roku. Rzeka po prostu nie da rady.

Co jeszcze – poza zmianami legislacyjnymi – musimy zrobić, żeby szybko zacząć poprawiać stan wód w Polsce?

Hydrologia jest do bólu banalna. Woda płynie zawsze z góry do dołu. Gdy będziemy pobierać ją z wód podziemnych, to w okresach nizin w rzekach będzie jej mniej. Gdy wyprostujemy rzekę, to będzie płynęła szybciej, a jak spadnie w krótkim czasie dużo deszczu, to ten szybki prąd spowoduje podtopienie obszarów, które są poniżej. W tym nie ma większej filozofii.

Zmiany legislacyjne często trwają długo nie tylko dlatego, że procesy prawne są czasochłonne, ale również dlatego, że to kwestia ego. Walka, żeby dany

zapis prawny przeszedł w naszym kształcie, a nie w tym zaproponowanym przez oponentów.

A czas ucieka.

W 2020 r. panowała straszna susza. Wtedy rzeki i rowy melioracyjne tak wysychały, że rolnicy zaczęli do nich wrzucać siano, aby wodę zatrzymać, spowolnić odpływ. Później – na wniosek szeroko rozumianego lobby rolniczego – zmieniono artykuł 395. ustawy Prawo wodne, który mówi, że nie wymaga pozwolenia wodnoprawnego spowalnianie zatrzymywania odpływu systemów melioracyjnych. Gdy mamy swój rów melioracyjny, możemy go zamknąć, jeżeli widzimy taką potrzebę i nie wpływa to negatywnie na obszary sąsiednie.

Żeby sytuacja w Polsce się poprawiła, konieczne są, po pierwsze, działania systemowe – na poziomie legislacyjnym i władzy centralnej. Po drugie, powinniśmy wprowadzić elementy hydrologii do szkół podstawowych jako przedmiot o znaczeniu strategicznym, bo gospodarowanie wodą w Polsce przestaje być kwestią hobby, a zaczyna być kwestią racji stanu. Po trzecie, może warto byłoby zostawić trochę zniszczeń popowodziowych. Nie odbudowywać, niech stoi, gnije, niech rząd zapłaci ludziom z naszych podatków za wybudowanie się w innym miejscu.

To pozwoliłoby zakorzenić się myśli, że skoro powódź była w 1997, 2010 i 2024 roku, to przyjdzie też w 2028 czy 2035. Odbudowywanie na terenach szczególnie zagrożonych powodzią, na które ona regularnie przychodzi, jest dobre tylko w krótkoterminowej perspektywie – w dalszej to są zmarnowane pieniądze i wiele powtarzających się ludzkich tragedii. Po czwarte wreszcie, bycie świadomym konsumentem, jakkolwiek pretensjonalnie to brzmi, jest czymś, co pozwala w pewnym skromnym stopniu wpływać na oszczędzanie zasobów wodnych.

Wybieranie sezonowej i lokalnej żywności, dieta wegańska czy chociaż wegetariańska, która ma niższy ślad wodny, lub chociażby – jeżeli chcemy jeść mięso – wprowadzanie naszej polskiej dziczyzny do naszego menu w miejsce mięsa hodowlanego – takie „głosowanie portfelem” może nam pomóc przygotować się na cięższe czasy.

© Rozmawiała MARTYNA SŁOWIK

ELIZA

Kącka:

Boczna odnoga czasu



AUTOBUS 116, DWIE STUDENTKI: „Byłaś na zebraniu zakładu?”. „Byłam”. „Jej, że ja nie mogłam! Zniszczyli ją, nie?”. „Bosz, chciałam to zobaczyć”. „No, mnie jej było żal”. „Mnie też by było, ale wiesz, zobaczyć dziekana, jak się normalnie rzuca na doktorantkę, to jest super. Terapia na miesiąc”. „No, prawda”. „Myślałam, że nudy będą, i się zwolniłam, że mam chorego ojca”. „Żałuj, kochana, żałuj”. „A jak ta doktorantka?”. „No, złamała się w trakcie”. „Aaaa, za to kocham UW”. „Nasz uniwarek”. „Kurcze, nie wiem, co ja tam będę pisać na magisterce, ale nie bierzemy jeńców, nie?”. „I ja to, wiesz, szanuję. Znaczący po raz pierwszy poczułam, że szanuję uniwersytet, jak ją gnoił”. „Tak, kochana”. „Dobrze trafiłyśmy”. „Dobrze”.

BIBLIOTEKA UNIwersytecka, HOL, SIEDZĘ TUŻ PRZY DWÓCH studentkach. Pierwsza: „Bosz, Anka, po co ja studiuję?”. „Myślałam, że cię to kręci”. „No nie”. „To może zmienić”. „Na co?”. „No, to już ty sama wiesz”. „Nie wiem”. „Co ty, Magda, uczysz się dla siebie. Co cię interesuje?”. „Co? Żeby już było »po«”. „Po czym?”. „Po wszystkim”. „Hej, to co wtedy będziesz robić?”. „Żyć”. „Czyli?”. „Nie bać się”. „Czego?”. „Że nie spełnię wymagań”. „To jest życie?”. „Tak”.

WRÓCIŁA KĄCKA Z PRZYSTANKU POLSKA-ZURYCH (PRZEMIŁY Festiwal Przystanek Polska) z tablicą „ulica Elizy Kąckiej Zurych”, ciężką, żeliwną. Tablica spójna z naszym lokalnym dizajnem warszawskim, ino większa. Odezwali się do mnie przyjaciele, że chwilowo stacjonują u matki przy Grójeckiej. No to jadę do nich tramwajem z tablicą, bo chcieli ją zobaczyć (zdjęcie nie daje poglądu na masę metalu). W tramwaju numer 14 podchodzi do mnie starszka: „Paniii, zmieniają nam nazwy ulic?!”. „E?”. „Rafał przed wyborami szaleje?”. „?!”. „Gdzie ta ulica Kąckiej będzie?”. „Oj, nie będzie, to zabawa”. „Jak to, pani wiezie tablicę i nie wie?! Tak was w ratuszu edukują?”. „Ja ją wiozę na eksport”. „Jaki?!”. „Wewnętrzny”. „Wariatka”. Wyskoczyłam, okazałam, pogadałam. I wracałam znów z tablicą. Na rogu Dolnej uzmysłowiłam sobie, że muszę zrobić zakupy w biedrze. Poszłam z tablicą, oparłam o lodówkę z serami. Gość do mnie: „O, infrastruktura”. „Ano”. „Gdzie to zawiesz?”. „Na mojej ulicy”. „No to brawo. Mokotów?”. „Powiedzmy”. Boczna odnoga czasu. Wracam z tablicą do domu. Ruda: „Masz swoją ulicę?”. „Powiedzmy, mała”. „Masz, Pingwin. Masz swoje państwo”. „A wiesz, że racja”. „Masz, nie musisz się ukrywać. Czy ja mogę mieszkać na

twojej ulicy?”. „Jasne, malutka”. „Mieszkam na ulicy Elizy Kąckiej, Pingwinie”.

ZURYCH, PÓŹNY WIECZÓR, PISZEMY Z RUDĄ. ONA: „JAKĄ masz godzinę teraz? Moją? Tak z ciekawości”. „Twoją”. „Jesteś niedaleko”. „Owszem”. „Czy to miasto jest ładne?”. „Bardzo”. „Ładniejsze niż Edynburg?”. „Inne, Brusiu, inne”. „Ale lepsze?”. „Inne”. „Określ to w skali”. „Taka jesteś? Remis”. „Czyli równie ładne”. „Tak, ale inny mają klimat. Wiesz, Edynburg to wiatr od morza”. „I od gór. Byłam na wzgórzu nad miastem”. „No właśnie. A Zurych to łagodniejsze falowanie. Nie czuje się tak mocno zatoki i gór”. „Ale są”. „Są, wie się o tym”. „Co masz na myśli, gdy piszesz: »wie się o tym«?”. „To, że wiem o górach i jeziorze za plecami miasta”. „Czy miasto ma plecy, Pingwinie?”. „Ma, oddycha”. „Tak, miasto ma plecy, zgadzam się z tobą. Edynburg opiera się o skałę”. „Tak, kiedy wieje”. „Czy Zurych potrzebuje oparcia?”. „Tego nie wyczułam”. „Jak to? Chodziłaś po mieście i nie wiesz?”. „No widzisz, zabrakło cię tutaj”. „Ale Pingwin, miasto żyje, nie wiesz?”. „Wiem”. „Jakiego koloru jest Zurych?”. „O, niech Cię. Nie wiem”. „Wiesz”. „Nie wiem”. „Edynburg jest sinozielony”. „Dobra jesteś”. „No to jaki jest Zurych?”. „Szaroniebieski z dodatkiem czerwieni”. „Czerwieni? Gdzie?”. „Cegły, dachy”. „Ja nie o to Cię pytam”. „A o co?”. „Jakiego koloru jest Zurych”. „No dobra, jest sinoniebieski”. „Tak?”. „Tak, Ruda”. „To teraz wiem, dlaczego go lubisz”. „No widzisz”. „A o co opiera się Zurych?”. „O niebo?”. „Tak, Pingwin, o niebo. Niebo to granit”. „Skąd wiesz?”. „To jasne”. „No dobrze, więc Zurych opiera się o ścianę nieba. Twardą”.

AUTOBUS 175, JAZDA NA OKĘCIE. I KOREK W REJONIE RAKOWCA. Wleczemy się, czytam. Gość siedzący vis-à-vis szarpie się z walizką. Przetawia nerwowo, przesuwając, znów szturchnął stojących. „Co pan wyrabiasz?” – starsza z siedzeń nad nami. „Spóźni się”. „To trzeba było tak sówkę”. „Jeszcze czego”. „Nie stać?”. „Jeszcze czego, żeby temu kraju dokładać”. „A to nie pana kraj?” – chłopak na oko dziesiętnastoletni. „W Amsterdamie mieszkam” – walizkowy. Młody: „Pan to odszczeka”. „Co?”. „Z tą Polską”. „Ja nic nie mówiłem o Polsce”. „Ale kraj pana rzekomo zawodzi”. „Chcę tylko stąd wyjechać, szybko. A nie mogę, bo stoję w pieruńskim korku”. „Pan to odszczeka, w imię tych, co ginęli tutaj w powstaniu warszawskim”. Starsza: „Nasze dzieci”. Walizkowy: „A, to pan w tę melodię”. Młody: „Ja tu tylko pilnuję”. „Czego?”. „Moralności”. „Nasze dzieci, śliczne, mądre, młode”. Walizkowy: „Matko, jakbym się znalazł w starym filmie”. Młody: „Pan ma czas jeszcze odszczekać”. Nie odszczekał, wysiedliśmy. Przed odprawą walizkowy spojrzął się na mnie: „Skąd oni się biorą?”. „Nie wiem”. „Po raz pierwszy od dawna zacząłem się bać. Takiego gówniarza. Niepojęte”. Milczymy. „Musi pani tu żyć?”. „Muszę”.

©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

W świecie, który dzieli,
my szukamy tego, co łączy.

Najnowsze, specjalne wydanie
„Tygodnika Powszechnego” powstało dla tych,
którzy mają dość prostych podziałów
na swoich i obcych.

To zaproszenie do rozmowy ponad liniami frontu,
ponad uprzedzeniami i schematami.

Dyskutujmy, zamiast się okopywać.
Bo Polska jest jedna – choć niejednorodna.

W numerze m.in.

- Bogdan de Barbaro
- Natalia de Barbaro ■ Justyna Bargielska ■ ks. Adam Boniecki
- Wojciech Bonowicz
- Olga Drenda ■ Urszula Honek
- Dorota Maślowska ■ Zbigniew Mikotejko ■ Magdalena Nowicka-Franczak ■ Michał Okoński
- Michał Oleszczyk ■ Marek Rabij
- Tomasz Stawiszyński
- ks. Józef Tischner
- Ewa Woydytło.



Weź, czytaj i rozmawiaj z nami!

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE

TERAPIA DLA POLSKI

W sprzedaży od środy 26 marca, w najlepszych salonikach prasowych i kioskach.



PIERWSZE SŁOWO GNIEW

Dawno temu wierzono, że nie ma innego życia po śmierci niż to, które ocaleje w pieśniach. W czasie wojny literatura wraca do swoich początków.

MONIKA OCHĘDOWSKA

TEN TEKST BĘDZIE O SŁOWACH ORAZ o energii. A także o energii słów, które z dnia na dzień – gdy wybucha wojna i trzeba zamieszkać na stacji metra albo wstąpić do wojska, choć było się poetą – zmieniają swój charakter.

Kiedy ktoś nas atakuje w środku nocy, słowa mają znaczenie krytyczne, jak zero-jedynkowy kod: potwierdzają albo podważają istnienie. „Są potrzebne, żeby co rano, stygnąc w środku, pytać przyjaciela, czy żyje” – notuje pisarka i tłumaczka Sofija Andruchowycz (informacje o wszystkich cytowanych książkach znajdują się na końcu tekstu – przyp. autorki). Dlatego w czasie tej wojny na przemian przeklina się ruskich „pidarów” (gniew najlepiej oddaje obsceniczna leksyka) albo mówi o miłości, bo „język wojny wszystko nazywa po imieniu”, zauważa pisarz i żołnierz Ołeksandr Myched.

Palące serce

Wojenna trauma rozdziera ludzi, uwalniając z samego ich środka dziwną energię, niedostępną w czasach pokoju. Starożytni Grecy wierzyli, że owa *energeia* to nie tylko składnik wszystkich istot żywych. Wedle klasycystki i poetki Alice Oswald rozumiano ją jako „rzeczywistość jaskrawą nie do wytrzymania”. Rzeczywistość stawiała się nie do wytrzymania, gdy na ziemię schodzili bogowie. Czyli wtedy, gdy doświadczano gwałtownych przeżyć, na przykład wojennego bólu i cierpienia.

Szczepan Twardoch

W starożytnej grece nie znano słowa takiego jak „emocje”, mówiono raczej o pasji i namiętnościach, które rozumiano jako rodzaj sił wpływających na człowieka z zewnątrz albo lepiej – z góry. To, co czujemy, pochodzi od bogów. Ogarnia nas, oszałamia, trafia jak grom. Jesteśmy przedmiotem targających nami sprzeczności. W takich sytuacjach język, który jest w stanie odpowiedzieć światu, sam staje się naszym narzędziem walki, energią właśnie.

W „Iliadzie” pochodzące ze świata boskiego namiętności w sensie dosłownym „rozpalają serca” uczestników walki. Ale przecież aż do Wielkiej Wojny czyn zbrojny i działalność żołnierską wiązano bezpośrednio z męskością, militarzowano ją. „Byłeś rozgniewany. Twoją pierś rozpiekał *thumos*”, mówi do bohatera swojej najnowszej powieści Szczepan Twardoch. „*Thumos*” albo „*thymos*” to greckie określenie miejsca, z którego wypływają fale wzburzenia, źródło namiętności (dosłownie: „gorące serce”, co można tłumaczyć jako rodzaj odwagi). Bohater, którego rozpieka *thumos*, jest jednocześnie rodzajem proroka. Jego powinnością jest niesienie wieści o słusznym gniewie w świat. Bohater Twardocha jest takim właśnie prorokiem. Do tego prorokiem prawdopodobnie martwym.

Grecy wierzyli, że nie ma innego życia po śmierci niż to, które ocaleje w bohater-skich pieśniach. Nic dziwnego, że sztuka, jak zauważa w swojej książce Myched, wraca w czasie wojny do takich „magicznych początków, pieczar rytuałów”. W ta-

kich okolicznościach „próby składania słów w całość są rodzajem oddychania”. Oczywiście, jeżeli tylko jesteśmy w stanie dobyć z siebie jeszcze jakieś słowa.

Biały koń

No dobrze, ale zacznijmy od początku. Pod koniec lutego, tuż po trzeciej rocznicy pełnoskalowej wojny w Ukrainie, ukazuje się „Null” Szczepana Twardocha – powieść o żołnierzach walczących na pierwszej linii frontu. Głównym bohaterem jest polski ochotnik o ukraińskich korzeniach, do którego towarzysze broni zwracają się per Koń. Kiedyś Koń był pilotem, obsługiwał drony. Dziś siedzi ze Szczurem w zamaskowanej jamie na lewym brzegu Dniepru, skąd biegnie do nas jego opowieść. A właściwie biegnie opowieść o nim, czy też opowieść Twardocha skierowana bezpośrednio do niego, bo „Null” jest inwokacją, wołaniem.

Oficjalnie Koń jest Koniem, bo na zdjęciach publikowanych w mediach społecznościowych zakryto mu kiedyś dla bezpieczeństwa twarz obrazkiem uśmiechniętego końskiego łba. Tak naprawdę jednak do nazywania Konia Koniem można znaleźć inne, dużo lepsze powody. Pamiętacie platońską alegorię duszy jako rydwanu? Woźnica symbolizował w niej część rozumną, zaś dwa skrzydlate konie części odpowiadające namiętnościom takim jak gniew i pożądanie. Koń – bohater Twardocha – rzeczywiście, jak już wiemy, jest rozgniewany. Wedle tego porządku jest jednak tą częścią duszy, która zawsze



Sofija Andruchowycz



Oleksandr Myched

→ sprzymierza się z rozumem, z tym, co sprawiedliwe.

Są w „Nullu” momenty, gdy Koń myśli o „Iliadzie”. A pierwszym słowem eposu Homera jest przecież gniew. „Wszystko zaczęło się od gniewu”, mówi do siebie Koń, a może mówi to do Konia Twardoch? Gniew, to „fatalne i uroczyste niczym nieznoszący sprzeciwu apel” słowo – jak zauważył niemiecki filozof Peter Sloterdijk – jest pierwszym znanym nam leksemem Europy. Kamieniem węgielnym starego kontynentu, naszym punktem startowym.

Rozpoczynająca epos pieśń o heroicznej energii wojownika wynosi gniew do rangi materii, z jakiej uformowany jest świat: „Gniew Achilla, bogini, głos, obfity w szkody, który ściągnął klęsk tyle (...) Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu, a na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu walające się trupy rycerskie wśród pola” (tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski). Pierwsze słowa Europy wydają się znów bardzo aktualne, reportersko oddające obrazy Buczy i Mariupola. Wiecie, że reportaż jest dzieckiem wojny? Narodził się sto lat temu, w odpowiedzi na rok 1914.

Twardoch wielokrotnie nawiązuje do eposu Homera. Wybiera jego fragment na motto swojej powieści, każe swojemu bohaterowi rozmyślać nad jego sensem, ale też zwraca się do swojego Konia tak, jak robili to starożytni – w drugiej osobie liczby pojedynczej. Dlaczego? Ponieważ „Iliada”, jak pisała Alice Oswald w swoim „Monumencie”, to poemat, który wywołuje zmarłych. Cmentarzysko głosów.

Mężczyzna leżący

Prowadzący nas przez tekst „Nulla” głos także wywołuje swego bohatera z martwych. Koń wie, że powinien uważać się

bie za zmarłego, bo „jak ktoś chce doczekać końca wojny, to wojna staje się nie do zniesienia”. Lepiej już nie żyć, niż czekać na życie po wojnie, mówi Koniowi w okopie jego kumpel Jagoda. „My trupy” – mówią o sobie ludzie z tzw. nulla, „nam pizda”. „Jesteśmy w jądrze śmierci, u jej podstawy” – notuje równocześnie Sofija Andruchowycz. „Boję się zaglądać do galerii w telefonie. Nie mogę patrzeć na obrazy przeszłości” – pisze w kronikach inwazji Oleksandr Myched.

Ustaliliśmy, że w starożytnej grece nie znano słowa „emocje”, mówiono raczej o namiętnościach, które rozumiano jako rodzaj sił wpływających na człowieka. To, co przychodzi z zewnątrz, przychodzi na nas razem z bogami. Z kolei śmierć wedle takiego porządku daje zapewnienie końca czasu, dotknięcia wieczności. Kiedy Homer pisał o kimś, że „jest mężczyzną”, najczęściej chodziło o to, że „pokazał swą siłę” i „pragnął pięknej śmierci”.

Męstwo przejawia się na polu bitwy, bo wedle archaicznej ontologii świat jest sumą walk, wyjaśniał w eseju „Gniew i czas” Sloterdijk. Jeśli będziemy tkwić w nim apatyczni, zaczniemy odczuwać czas wyłącznie jako „brudny kłęb, w którym nie da się wyodrębnić poszczególnych dni” (Myched). Tylko wojownik obudzony przez gniew doznaje boskiej obecności. Kto ma w sobie gniew, dla tego kończy się niewyraźny czas, brudny kłęb znika: „kto opiewa gniew, oddaje hołd potędze, która uwalnia człowieka z wegetacji, wyrwa z codzienności, ze sfery natury. Gniew zapewnia nieśmiertelność, gniew zbliża do bogów” (Sloterdijk).

W ujęciu starożytnych bohater i jego piewca są ze sobą związani w religijnym sensie. W takim sensie związany jest ze swoim bohaterem Szczepan Twardoch. Różnica między bohaterami Homera

a bohaterem Twardocha jest jednak znacząca. Zresztą, od czasów Wielkiej Wojny, żołnierz przedstawiany w literaturze jest mężczyzną leżącym, skulonym w sytuacji zagrożenia, bezsilnym, moczącym się albo niekontrolowanie wypróżniającym ze strachu. Ale też – co szczególnie widoczne zarówno w „Nullu”, jak i książce dziennikarza Siergieja Siergiejewicza „Brod [*khaki]” – wojna jest też opowieścią o cielesnej bliskości.

Jest takie słynne zdjęcie francuskiego fotoreportera Henriego Hueta zrobione w czasie wojny w Wietnamie, na którym sanitariusz podejmuje próbę reanimacji żołnierza metodą usta-usta. Na innym ujęciu ranny mężczyzna opiera owiniętą bandażem głowę o kolano kolegi i zamyka oczy, jakby na moment chciał zapomnieć o tym, że siedzi w wykopanej na prędce w ziemi dziurze. Odkąd w czasie wojen robi się zdjęcia i kręci filmy, staliśmy się świadkami męskiej czułości również w literaturze.

Paraliż mowy

Obok intensywnie żółtej okładki „Nulla” w witrynach księgarni zobaczycie dziś szarobłękitne tłumaczenie „Lekcji greki” nagrodzonej w zeszłym roku literackim Noblem koreańskiej pisarki i poetki Han Kang. Bohaterką „Lekcji” jest młoda kobieta, która z dnia na dzień traci głos. Utrata słów nie wynika jednak z żadnego konkretnego doświadczenia w jej prywatnym życiu.

W jakimś sensie bohaterka Han Kang nie może po prostu „znaleźć w sobie zgody na to, co ją otaczało”. Słowa, którymi posługiwała się na co dzień, zostają „zszargane”, są „wyschnięte”, nie mają żadnej barwy, wyrazu. Słowa, które „z naciskiem zapisywała na papierze, żeby niczego nie zapomnieć”, zaczynają tworzyć

„cuchnącą pianę”. Bezimienna bohaterka rezygnuje z mówienia, ryzykując przy tym utratę praw do opieki nad dzieckiem i skazując się na ostracyzm. A może raczej to nie jej wybór, tylko język ją opuszcza?

Choć z Seulu do Chersonia jest w linii prostej jakieś 8 tys. kilometrów, Han Kang dotyka w swojej powieści spraw bliskich pisarzom i pisarkom, którzy od trzech lat opowiadają o wojnie w Ukrainie. „Instynktownie zdaje sobie pani sprawę, jak niestabilny jest obwód, w którym język łączy się ze światem” – zauważa terapeuta, do którego zwraca się ze swoim problemem bohaterka „Lekcji”. Lekarz jest zdania, że nagły mutyzm wynika z intensywnego uczucia niepewności, jakiego pacjentka doświadcza względem świata. W ramach terapii kobieta postanawia uczyć się martwego języka, starożytnej greki, która okazuje się bardzo celnie odnosić do rzeczywistości: „język zimny i twardy jak lód, skrajnie niezależny, zanim otworzysz usta, musisz ustalić kto, co i dlaczego”.

Kiedy czytam ten fragment, przypominam sobie tekst Sofiji Andrucho-wycz, która w pierwszych dniach wojny czuła się odcięta od możliwości składania słów. Pamiętam też tekst poetki i tłumaczki Iryny Wikyrczak, która zanotowała, że na początku wojny dosłownie straciła głos: „Uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie niczego napisać – odmawiam udzielania komentarzy i wywiadów, niczego nie publikuję w mediach społecznościowych. Myślałam, że napiszę wiersz, wiersze – to terapia, ale i tutaj z łoskotem poległam. (...) Paraliż mowy.”

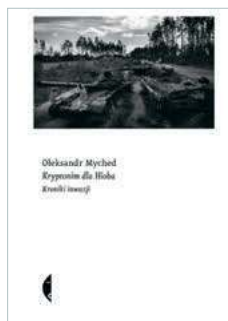
Pewnego rodzaju paraliż dotyka też francuskiego pisarza Jonathana Littella. Niepewność daje o sobie znać już w tytule jego przełożonej właśnie na język polski książki, która opisuje miejsca takie jak współczesna Bucza czy Babi Jar pod Kijowem, w którym jesienią 1941 r. hitlerowcy wymordowali prawie 34 tys. Żydów. Littell razem z fotografem Antoine d'Agata odwiedzają nie tylko te „kłopotliwe miejsca”, ale też kostnicę w Charkowie, w której znajdują się zarówno zwłoki ukraińskich cywilów, jak i rosyjskie trupy. „Kiedy patrzę na zwłoki, co widzę?” zastanawia się Littell, a d'Agata otwiera każdy worek z rosyjskim trupem i robi zdjęcia: twarz, profil, znaki szczególne. W książce zobaczymy negatywy „portretów”. Co widzę, kiedy na nie patrzę?



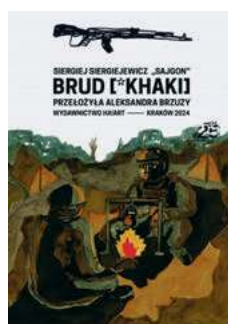
■ **Szczepan Twardoch, NULL, Marginesy, Warszawa 2025**



■ **Jonathan Littell, Antoine d'Agata, KŁOPOTLIWE MIEJSCE, przeł. Jacek Giszczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025**



■ **Ołeksandr Myched, KRYPTONIM DLA HIOBA. KRONIKI INWAZJI, przeł. Jerzy Czech, Czarne, Wołowiec 2025**



■ **Siergiej Siergiejewicz „Sajgon”, BRUD [KHAKE], przeł. Aleksandra Brzuzy, Wydawnictwo Ha!art, Kraków 2024**



■ **WOJNA 2022. DZIENNIKI, ESEJE, WIERSZE, wybór i oprac. Wołodymyr Rafiejenko, Centrum Mieroszewskiego, Warszawa 2023**

Poeta, pisarz i tłumacz Serhij Żadan, który wstąpił na ochotnika do wojska, zapisze: „Wychodzi na to, że język, jak marcowe przeziębienie, siedział w naszych płucach, obciążając je, jak ubrania uciekinierów, którzy pokonują wpływ lodowatą rzekę”. Ostatecznie jednak w wierszu „Mowa jest silniejsza niż strach” wzywa świadków, którzy „wszystko widzieli”, by „śpiewem wydali zabójców, głosem przyzywając prawo”. Wracamy do porządku starożytnego eposu, do białego konia w rydwanie duszy, który usilnie stara się gościć gniew ze sprawiedliwością.

Gra w oczko

„Jak nie wiesz, co robić, to zjedz coś”, „Jak nie wiesz, czym się zająć – pośpij” (Myched). Literatura opisująca wojnę w Ukrainie w dużej mierze dotyczy żołnierskiej codzienności. Wbrew pozorom niewiele tu krwawej jatki, walki wręcz, ataków. Wojna polega na czekaniu, a najbardziej na gapieniu się w ekran. Nawet wtedy, gdy zabijasz, nie zabijasz naciskając spust, raczej upuszczasz granat z odległego o kilkadziesiąt metrów drona. Większość akcji zostaje utrwalona na kartach pamięci, można dzielić się w sieci filmikami, na których „pidarom” urywa nogi i ręce, na których płaczą i proszą o łaskę.

„My na przykład – pisze w swojej książce służący w wojsku dziennikarz Siergiej Siergiejewicz „Sajgon” – mieliśmy dużo pracy polegającej na ciągłym łazeniu. Włóczył się, zajmujesz różnymi sprawami, poznajesz ludzi. (...) Chóć, skonkretyzowany cel i satysfakcja, że zadanie można uznać za wykonane – to wszystko przyspiesza bieg czasu. (...) Trzeba było też obserwować. Obserwacja była (...) dla mnie z moralnego punktu widzenia jednym z najcięższych typów zwiadu. Obserwować, żeby wysledzić, zająć i odejść – świetna rzecz. Obserwować, żeby nanieść na mapę, a dopiero potem zająć z daleka – niezła perspektywa. A obserwować dla samej obserwacji jest bardzo ciężko. Całymi minutami gapić się w jeden punkt, godzinami w jeden budynek, dniami i nocami w jednym kierunku”.

Nawet jeśli wygląda to spokojnie, trzeba pamiętać, że w każdej chwili może rozbrzmieć wystrzał. Może dla ciebie, a może dla tego, który wystrzelił. Ot, gra w oczko, podsumowuje „Sajgon”, jak zero-jedynkowy kod. Jeszcze trochę programy. ©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Powracająca fala

DARIUSZ KOSIŃSKI

Tak, należę do kombatantów wspominających zbuntowaną młodość, która nas zawiodła w 1984 r. do Jarocina. Ale właśnie dlatego mogę powiedzieć, że „Fala” Rafała Księżyka przynosi myśli dotyczące tego, co dzieje się dziś i co wydarzy się jutro.

SŁUCHALIŚCIE PASJAMI SIEKIERY, VARIÉTÉ, 1984 albo One Million Bulgarians? Jeśli nie, to nic nie szkodzi. Książka „Fala. Rok 1984 i polski postpunk” Rafała Księżyka nie jest tylko opowieścią dla nostalgicznych fanów. Po ponad czterdziestu latach muzyczne doświadczenia z roku Orwellovskiego znów zaczynają w nas rezonować.

Żaden z zespołów, o których tu mowa, nie zdobył masowej popularności, choć każdy zasłużył na niezdevaluowany przmiotnik „kultowy”. Ich kult trwał zaledwie kilka lat – głównie tych, o których opowiada książka – mniej więcej od 1983 do 1988 roku.

Jako muzyczna fala „polski postpunk” podniósł się gwałtownie w roku 1984, by potem opaść i rozlać się szeroką ławą, wsiąknąć pozornie bez śladu w piach. Większość zespołów się rozpadła, pozostawiając po sobie nawet nie płyty, ale unikatowe nagrania o niejasnym statusie. Niektórzy muzycy działali dalej, ale nawet jeśli ich twórczość była dostrzegana i dobrze oceniana, to takiego wpływu, jaki mieli w latach 80., już nigdy nie zdobyli.

Misie puszyste

Jarocin roku 1984 to dla Rafała Księżyka punkt orientacyjny. Festiwal roku Orwellovskiego jest do dziś uważany za edycję przełomową, zdominowaną przez nową, oryginalną i autentyczną muzykę. To właśnie wtedy zaistniały poza bardzo lokalnymi scenami dwie grupy, wyznaczające jakby dwa bieguny „Fali”, nie ukrywam – dla mnie także z grona bohaterów tej książki najważniejsze – Siekiera i Variété.

Punkowa wersja tej pierwszej w 1984 r. raczej mnie odstraszała, choć słuchałem potem tych nagrań często i wysoko je cenię. Najważniejsze było dla mnie Variété i druga edycja projektu artystycznego To-

masza Adamskiego, czyli Siekiera nowofalowa, minimalistyczna – ta z legendarnej czerwonej płyty.

Pamiętam, że gdy po raz pierwszy usłyszałem „Misiów puszystych”, nie mogłem po prostu uwierzyć, że ktoś gra tak i właśnie to. Naprawdę przechodziły zimne ciary po karku, gdy słuchałem tego bezwzględnie trafionego „bumtarara bumtarara”, w którym zakłeta została cała groza ukrywająca się pod pozornie trywialną i zwyczajną codziennością. Często opowiada się, że była to groza związana z systemem, w jakim żyliśmy, że to komunizm, stan wojenny itd. To bzdury. Grozą i rozpaczą nie napawał nas żaden komunizm – wtedy już starczy i bezżębny. Grozą napawał nas świat.

W roku 1984 kończyłem 18 lat. Pamiętam, że książkę Orwella przeczytałem w jedną noc, bo tylko na jedną noc pożyczył mi podziemną, miniaturową edycję kolega, który jakimś cudem dotarł do tego samizdatu w naszym pozostającym poza wszelkimi obiegami mieście. Nie ma to zresztą większego znaczenia – „1984” to książka, której wcale nie trzeba czytać, żeby wiedzieć, co z niej wynika.

Budowane na fikcji

Wtedy miałem świadomość niejasnej, ale niepokojącej koincydencji – że oto stanę się pełnoletni w roku Orwellovskim. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że nie okazała się ona znacząca. Jak wielu usiłujących opisać przyszłość, Orwell się pomylił. Totalitarny system nie osiągnął takiej klarownej pełni, jaką wieszczył brytyjski pisarz, a w roku 1984 był w stanie głębokiego wewnętrznego rozpadu. Jego agonia trwała niestety długo i niestety przepadła na naszą młodość.

Przeżywalismy ją w kraju, który zatrzymał się w stanie przejściowym, ale

w nic nieprzechodzącym. Jakby wpuszczono nas do przedpokojów i zostawiono, zamknawszy wszystkie drzwi. Teoretycznie wszystko toczyło się normalnie: chodziliśmy do szkół, mieliśmy przyjaciół, pierwsze wielkie miłości i te wszystkie doświadczenia, które smakują szczególnie, bo są pierwsze, więc po latach wspomina się je z rozrzwiniem i nieuchronnie idealizuje. Mieliśmy nawet jakieś plany na przyszłość.

Ale podświadomie wiedzieliśmy, że to wszystko jest budowane na fikcji – na scenariuszu przyjętym jako obowiązujący, ale niezwiązany z jakąś niepowtarzalną, nieodwołalną realnością. Działaliśmy według niego, bo nie bardzo potrafiliśmy wymyślić własny, ale jednocześnie wiedzieliśmy, że to nie prowadzi do niczego, co miałoby jakieś realne znaczenie.

No future

W tej nierzeczywistości realnością mocną i bezpośrednią była sztuka. Oczywiście literatura, którą pochłanialiśmy nałogowo i w szalonym tempie, bez planu i jakiegokolwiek prowadzenia. Ale bliżej realności była jednak muzyka, która wchodziła w ciało i głos, uruchamiała je i sprawiała, że to, co ze sobą nosła, stawało się nasze, nawet wtedy, gdy nie było ku temu żadnych racjonalnych czy socjologicznych wytłumaczalnych powodów.

Czytając książkę Rafała Księżyka, zastanawiałem się cały czas, na czym właściwie długofalowy wpływ tamtego doświadczenia polegał. Muzyka była jego rdzeniem, owszem. Ale doświadczenie było całościowe – dotyczyło wszystkiego i wszystko przenikało, osadzając się trwale na sposobie postrzegania rzeczywistości.

Bohaterowie „Fali” tylko czasem coś na ten temat mówią wprost (jak Sławomir Adamski, który określa działalność brata w Siekierce jako „krzyk przeciwko wulgarności serca”). Sam Księżyk także dotyka go jedynie okazjonalnie i raczej sugeruje, niż udziela odpowiedzi. Rozumiem go, bo przecież pisze pasjonującą historię wyjątkowych ludzi, a nie analizę tego, co z ich działania wynika dla nas w dłuższej perspektywie.

Ja jednak spróbuję: rzeczą podstawową, która się wtedy we mnie osadziła, było przekonanie, że świat, jaki istnieje, jest nie do życia, jest wrogi i obcy, przesiąknięty śmiercią, do której nieuchronnie prowadzi. Choć odruchowo się przeciwko

Cztery sceny

JAKUB MAJMUREK

„Dojrzewanie” trafiło w swój czas. Serial ogląda i dyskutuje o nim cały świat.

ZACZYNA SIĘ OD BANALNEJ SCENY, KTÓRA w niczym nie zapowiada tragedii, z jaką konfrontuje nas czteroodcinkowy serial. Policjant odbiera wiadomość głosową od syna, chłopak skarżąc się na problemy z żołądkiem, próbuje wymigać się od pójścia do szkoły. Funkcjonariusz nie bardzo wierzy w te wymówki, dzieli się swoim sceptycyzmem z siedzącą z nim w radiowozie koleżanką z pracy.

Potem akcja gwałtownie przyspiesza. Para policjantów w towarzystwie uzbrojonego po zęby oddziału wparowuje do podmiejskiego domku zwykłej rodziny z angielskiej niższej klasy średniej, wyrażnie przerażonej całą sytuacją. Ojciec rodziny tłumaczy, że to pomyłka i nic złego nie zrobił, nie on jest jednak celem akcji, ale jego trzynastoletni syn – podejrzany o zamordowanie nożem swojej koleżanki ze szkoły.

Wielką siłą „Dojrzewania” jest to, jak potrafi połączyć tę dramatyczną historię z pozornie banalnymi obrazami codziennego życia, toczącego się dalej w cieniu tragedii. Narracja jest celowo eliptyczna, pomija wiele wydarzeń kluczowych dla rozwoju akcji. Twórców bardziej interesują psychologiczne efekty działań bohaterów niż ich czyny. Dlatego nigdy bezpośrednio nie widzimy sceny kluczowej zbrodni, wokół której zbudowana jest cała historia, oglądamy tylko jej nie do końca jasny – i do pewnego momentu pozostawiający miejsce na wątpliwości, co się tak naprawdę stało – zapis z kamery monitoringu. Twórców ciekawi to, co dzieje się między przesłuchiwanym nastolatkiem Jamiem Millerem a towarzyszącym mu ojcem, Eddie, gdy wspólnie oglądają taśmę z zapisem nagrania.

Sekwencje

Brytyjska produkcja jest też bardzo głęboko przemyślanym formalnie dziełem.



Wszystkie odcinki oparte są na trzech klasycznych jednościach: miejsca, czasu i akcji. Podkreśla je sposób inscenizacji: każdy z odcinków został nakręcony w jednym ujęciu, bez montażowych cięć. Każdy wpisuje się w trochę inną telewizyjną konwencję.

Pierwszy: dramatu policyjnego – obserwujemy aresztowanie Jamiego, wszystkie policyjne procedury konieczne do tego, by bardzo młody człowiek mógł zostać przesłuchany z zachowaniem przysługujących mu praw. W drugim dramacie policyjny miesza się z serialem szkolnym. Obserwujemy wizytę dwójki funkcjonariuszy w szkole Jamiego, kamera towarzysząc ich podróżom po szkolnych klasach, korytarzach i dziedzińcach, odsłania przed nami nastoletnią społeczność, ze wszystkimi jej rytuałami, ukrytymi hierarchiami i utrzymującą je przemocą. Trzeci to psychologiczny dramat rozgrywający się między Jamiem – w oczekiwaniu na proces osadzonym w specjalnym ośrodku dla młodocianych – a psychologką, Briony Ariston, która ma przygotować dla sądu opinię na temat młodocianego oskarżonego.

Wreszcie w ostatnim widzimy, jak upływa przedpołudnie rodziny Jamiego

– obraz z życia klasy pracującej, jaki mógłby nakręcić Ken Loach. Eddie, ojciec chłopca, obchodzi urodziny, rodzina próbuje zachowywać się na tyle normalnie, na ile to możliwe w jej sytuacji. Iluzja normalności pęka jednak już przed śniadaniem – nastoletnia córka Eddiego znajduje obraźliwy napis, który ktoś w nocy wysprejował na vanie firmy hydraulicznej, którą prowadzi mężczyzna.

Każde z tych czterech ujęć-odcinków jest wielkim popisem filmowego warsztatu: reżyserii, pracy kamery, choreografii, wreszcie umiejętności aktorskich. Długie, prawie godzinne ujęcie-sekwencja nie pozostawia miejsca na aktorski błąd, który dałoby się zamaskować, sklejając ze sobą kilka dubli. Wymaga też od widza podobnego skupienia jak wizyta w teatrze.

Aktorzy doskonale radzą sobie z tym zadaniem, dwie role ocierają się o wybitność. Stephen Graham – współautor scenariusza razem z Jackiem Thornem – jest rewelacyjny jako ojciec Jamiego. Jego Eddie Miller to mężczyzna ciężko pracujący, by zapewnić rodzinie godny byt. Nagle musi zmierzyć się z sytuacją, która go zupełnie przerasta, tak jak chyba przerastałaby każdego. Miota nim poczucie winy, a przy tym instynkt, by mimo wszystko



MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Erin Doherty jako Briony Ariston w serialu „Dojrzewanie”, reż. Philip Barantin.

reg głęboko toksycznych internetowych subkultur. Chłopiec dopiero wchodzący w okres dojrzewania, mający ciągle przed sobą romantyczne czy erotyczne doświadczenia, powtarza przekaz z incelosfery o tym, że dla „80 proc. kobiet atrakcyjnych jest tylko 20 proc. mężczyzn”.

Jego rówieśnicy znęcają się nad nim, publikując komentarze pod zdjęciami na Instagramie sugerujące, że jest przegrymem, który nigdy nie zainteresuje żadnej kobiety. W interakcji z psychologką Briony Ariston Jamie zachowuje się, jakby miał problem z kobietą występującą wobec niego z pozycji władzy. Gdy w reakcji na jego kolejny wybuch złości Briony zachowuje się w sposób mogący sugerować strach, chłopak sprawia wrażenie zadowolonego z siebie.

Serial podsuwa też jednak inne hipotezy na temat tego, co mogło popchnąć Jamiego do zbrodni. Drugi odcinek pokazuje szkołę, gdzie chłopak spędza przecież nie mniej czasu niż w sieci, jako przestrzeń, w której dorośli abdykowali ze swoich obowiązków, a dzieci stworzyły okrutny świat przywodzący na myśl „Władzę much”. Słabsi, odstający od normy, zbyt wrażliwi, brzydacy, społecznie nieporadni są bezlitośnie wyśmiewani, nękanii, a nawet fizycznie atakowani przez rówieśników. Nauczyciele nie potrafią utrzymać dyscypliny w klasie, pytani o uczniów na ogół rozkładają ręce i mówią, że nic nie wiedzą. Jakikolwiek problem miałby Jamie, cokolwiek złego by się z nim działo, szkoła z pewnością tego nie zauważyła i nie mogła mu pomóc.

W trzecim odcinku widać, że problemy chłopaka z samooceną, poczuciem własnej wartości, agresją nie ograniczają się do sfery seksualnej. Choć szkolne raporty mówią o nim jako o dobrym uczniu, to Jamie jest przekonany, że nie jest w niczym tak naprawdę dobry. Od razu identyfikuje prowadzącą z nim rozmowę psychologkę jako przedstawicielkę innej, wyższej klasy, do której nie należy i nie będzie nigdy należeć – co budzi w nim wyraźny resentyment. Szkoła nie jest w stanie pomóc chłopakowi rozpoznać własnych talentów, zaszczepić zdrowych aspiracji, dać mu jakiegokolwiek wizji przyszłości, dla której warto by pracować.

bronić syna. Pragnie chronić żonę i córkę, a przy tym w całej sytuacji stać wyprostowany. Nie chce okazać słabości, ustąpić lokalnej opinii publicznej, przyznać przed nią, że w jakiś sposób też jest winny – odrzuca propozycję żony, by wyprowadzić się do innego miasta.

Największym objawianiem jest jednak debiutujący na ekranie w roli Jamiego Owen Cooper. W kręconej bez cięć scenie przesłuchania odmalowuje cały wachlarz sprzecznych, skonfliktowanych emocji swojego bohatera. Chłopiec w trakcie rozmowy z psychologką potrafi w jednej chwili przejść od unижonej podległości do agresji, jest jednocześnie bezbronny i głęboko skrzywdzony, a przy tym wykorzystujący swoje krzywdy do tego, by wzbudzać poczucie winy i manipulować ludźmi wokół siebie. Widać, że wielokrotnie był krzywdzony przez rówieśników, a przy tym sam pełen jest agresji, pragnienia dominacji, kontroli nad innymi.

Skąd zło

Rozbicie serialu na cztery ujęcia-sekwencje nie ma przy tym na celu wyłącznie warsztatowego popisu, niesie ze sobą głęboki poznawczy zamysł. Każdy odcinek jest próbą złapania wydarzeń „na go-

racym uczynku”, ujęcia wycinka historii Jamiego i jego zbrodni „w biegu”, bez cięć, „na żywo”. Wszystkie cztery odcinki przyglądają się sytuacji z trochę innego punktu widzenia, co sprawia, że stawiają nieco odmienne hipotezy na temat tego, co mogło doprowadzić do tragedii.

Powszechna opinia na temat „Dojrzewania” powtarzana w mediach tradycyjnych i społecznościowych mówi, że to film o toksycznej współczesnej męskości kształtowanej przez internetową subkulturę inceli – mężczyzn budujących swoją tożsamość wokół życia w niedobrowolnym celibacie – oraz influencerów tzw. manosphery, wzywających do powrotu tradycyjnej patriarchalnej męskości konstytuującej się w dominacji nad kobietami, w tym w aktach przemocy seksualnej. Że to serial o agresywnej mizoginii szerzącej się jak choroba zakaźna w mediach społecznościowych, na których wpływ szczególnie wystawieni są ich najmłodsi użytkownicy. Siła serialu polega jednak na tym, że nie wskazuje winnych tragedii, zostawia nam tylko zestaw wskazówek, z których musimy ułożyć sobie jakąś sensowną całość.

Zachowanie Jamiego na pewno sugeruje, że był on wystawiony na cały sze-



MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Mark Stanley, Owen Cooper i Stephen Graham w serialu „Dojrzewanie”, reż. Philip Barantini

Czasem nie wiemy

→ Dorosli w serialu w ogóle są bezradni wobec młodszych pokoleń, nie tylko nauczyciele. Rodzice Jamiego, siedząc w pustym pokoju, mówią z żalem i wyrzutem do siebie: myśleliśmy, że kiedy siedział tu sam przed komputerem, był bezpieczny. Nie mieli pojęcia, z jakimi treściami syn codziennie miał kontakt od momentu, gdy po przebudzeniu scrollował ekran.

Policja błędnie interpretuje interakcje między Jamiem a jego przyszłą ofiarą w mediach społecznościowych, nie rozumie emotikonów, które dla młodych są podstawowym narzędziem komunikacji. Prowadzącemu śledztwo funkcjonariuszowi tłumaczy to dopiero jego syn – sam gnębiony w szkole, z czego ojciec zupełnie nie zdaje sobie sprawy.

W finale drugiego odcinka policjant zabiera syna na obiad – być może po raz pierwszy od długiego czasu mają okazję dłużej porozmawiać. Jednocześnie „Dojrzewanie” jest zbyt dobrą produkcją, by zostawić nas z banalną konkluzją „gdyby tylko ojcowie częściej rozmawiali ze swoimi synami...”. Serial skłania do zgoda innego wniosku, a nawet dwóch. Po pierwsze, że czasem jesteśmy bezsilni wobec tego, co dzieje się z naszymi najbliższymi i nie potrafimy ich ocalić przed złem, do którego popycha ich własne nieszczerstwo. Po drugie, że musimy czasem zaakceptować naszą poznawczą bezradność w ze-

tknięciu z drugim człowiekiem, nawet nam najbliższym, z jego motywacjami i czynami.

Każda z możliwych przyczyn zbrodni podana w serialu – mizoginia manosphery, subkultura inceli, media społecznościowe i reprodukcje się w nich mechanizmy nękania, szkoła i rodzina zawożdzące młodych ludzi – coś wyjaśniają, ale nigdy nie do końca, uzupełniają się, ale nigdy nie tworzą pełnego obrazu. Świat, w jakim funkcjonują bohaterowie „Dojrzewania”, jest pozornie światem hiperwidoczności i hiperprzejrzystości. Nieustannie filmują go kamery monitoringu – jedna z nich rejestruje zbrodnię – wszyscy, od najmłodszych do najstarszych regularnie umieszczają obrazy ze swojego życia w mediach społecznościowych.

Ale te obrazy niczego ostatecznie nie wyjaśniają, ich przejrzystość i oczywistość jest złudna. Serial – pokazując nam rozgrywane się na żywo cztery sceny dramatu i zestawiając różne spojrzenia na tragedię jednocześnie – pokazuje, że drugi człowiek pozostaje enigmą, kimś, kogo widzimy odbitego w niemogącym objąć całości zwierciadle.

Bez kleju

„Dojrzewanie” bez wątpienia trafiło w swój czas, produkcję ogląda i dyskutuje o niej cały świat. Problemy, o jakich opowiada, dotyczą nie tylko brytyjskich

chłopców, odczuwają je wszystkie zachodnie społeczeństwa.

Jednocześnie recepcja serialu w mediach społecznościowych w Wielkiej Brytanii – zwłaszcza na platformie X – padła ofiarą tych samych toksycznych mechanizmów, jakie przedstawia. Konta bliskie skrajnej prawicy – często te same, które wcześniej latami narzekały na to, że nikt nie pochyla się nad problemami młodych, białych chłopców z klas pracujących – zaatakowały Grahama i Thorna, zarzucając im, że w imię „politycznej poprawności”, by zablokować poważną dyskusję o migracji, „zmienili rasę” „prawdziwego sprawcy” zbrodni, na której oparty był serial.

To nietrafiony zarzut, „Dojrzewanie” nie jest dokumentem ani rekonstrukcją konkretnej sprawy, zbiera inspirację z kilku podobnych wypadków, jakie miały miejsce w Wielkiej Brytanii. Twórcy dostało się też za rzekome „demonizowanie młodych, białych mężczyzn” i uprawianie woke-propagandy.

Można było spodziewać się takich reakcji, zwłaszcza na platformie żyjącej z podsycania polaryzacji i wyolbrzymiania rzeczywistości dzielących zachodnie społeczeństwa podziałów. Cztery godziny nawet najlepszego serialu ich nie skleją. Ale mogą być punktem do rozmowy, do przyznania, że mamy jako wspólnota problem i że nie ma dla niego łatwych rozwiązań.

© JAKUB MAJMUREK

■ **LocalThunk, BALATRO**,
wydawca: PlayStack,
platformy: PC, PS4/PS5, XSS/XSX,
Android, IOS, Switch, MacOS

LocalThunk to anonimowy geniusz na co dzień mieszkający w Kanadzie. Jego rodzina prawdopodobnie przez kilka pokoleń nie będzie miała problemów finansowych, gdyż tantiemy z tej niezwykle popularnej gry można już liczyć w milionach dolarów. „Balatro”, w które miało grać jedynie wąskie grono przyjaciół, jest aktualnie hitem biur, szkół, home office’ów i poczekalni, a może nawet skandynawskich więzień. W 2024 r. zgarnęło rekordową w swojej skali liczbę nominacji do The Game Awards – jednej z najbardziej prestiżowych nagród w świecie gier. To świetnie



zaprojektowana aplikacja typu roguelike (algorytmy wobec tasowanych kart generują ciągle losowe wyzwania). Łączy w sobie elementy pokera, brydża, kierka, a nawet tarota. Ogólnie... wciąga. W swojej czytelnej strukturze prowadzi gracza za rękę, by stopniowo zachęcać go

do wielopoziomowego myślenia. Osobliwe połączenie analogowego z cyfrowym i tradycji z nowoczesnością. Rozrywcę przygrywa hipnotyzująca, retro-konsolowa muzyka. Uwaga: ze względu na to, że gra zawiera elementy kojarzące się z hazardem, z początku została w wielu krajach uznana za rozrywkę tylko dla dorosłych. Po odwołaniu wydawcy jest legalnie oceniona przez PEGI jako gra od lat 12.
© KONRAD JANCZURA

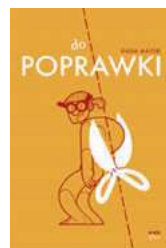
■ **Klawo, 2 BOBRY I ZACHÓD SŁOŃCA**, *Coastline Northern Cuts*.
W sprzedaży od 28 marca.



Jeśli przyjąć, że w epoce streamingu muzykę określa raczej jej nastrój niż gatunek, Klawo świetnie odnajduje się we współczesnych realiach. Drugi album trójmiejskiego septetu czerpie z jazzu, funku, bossa novy, neosoul, a przy tym nierzadko porusza się w rytmie hip-hopu. A jednak – pomijając incydentalne ekscesy – „2 bobry i zachód słońca” to album spójny za sprawą ciepłego brzmienia, leniwego tempa i nostalgicznej aury. Dzięki nim grupa może niezauważalnie podróżować w czasie, przeskakiwać między krajami i gatunkami, mieszając Karolaka z Thundercatem i Hancocka

z Dam-Funkiem. Tylko czasem trójmiejski zespół decyduje się podkreślić skalę swoich inspiracji, jak w zamykającej album „Saunie”, która wyłania się z perkusjonaliów i wokaliz niczym zapomniany przebieg grupy Bemibek, by po kilku minutach przeobrazić się w wyrastający z hip-hopu jazz rodem z płyt Makayi McCravena. Klawo jest kolejnym polskim zespołem – obok Błota, sneaky Jesus czy Tropical Soldiers in Paradise – który z uwagą śledzi wydarzenia na scenach Londynu czy Los Angeles i zdaje się dochodzić do wniosku, że w całym tym graniu ostatecznie najważniejszy jest groove. W swoich najlepszych momentach „2 bobry i zachód słońca” potwierdzają tę intuicję.

© JAN BŁASZCZAK



■ **Kasia Mazur, DO POPRAWKI**,
wyd. Kultura Gniewu.
W księgarniach
od 7 marca.

Thomas Fuchs konstato-
wał, że dla chorych na
dysmorfofobię

(czyli chorobliwie przekonanych o nieestetycznej budowie własnego ciała) lustrem są opinie innych. Wiedzę o swoim ciele czerpią wyłącznie z podejrzliwych spojrzeń, kąśliwych uwag albo wręcz obelg. Kasia Mazur w komiksie „Do poprawki” opowiada o tym okresie w życiu, kiedy postrzeganie siebie narzucali jej właśnie rówieśnicy i rodzice. Za kanwę fabuły służą autorce wspomnienia walki z zaawansowaną skoliozą, będącą tyleż wstydliwą i uciążliwą przypadłością, ile symbolem niedopasowania do kanonu piękna. Podobnie jak „Dziewczyństwo” amerykańskiej pisarki Melissy Febos, „Do poprawki” traktuje o zinternalizowanej nienawiści do siebie. Mazur z gawędziarską lekkością przytacza przykre fakty ze swojego życia, przełamując jednak ponurą atmosferę rozbrajającym żartem. Rysunki nie tyle odzwierciedlają monolog pamiętnikarki, ile stanowią jego przedłużenie lub puentę. Autorka stawia na monochromatyzm, za tła służą jej zazwyczaj białe plamy. Oszczędność pozwala skanalizować uwagę czytelników i uwidatnić opowieść o odzyskiwaniu własnego ciała. „Do poprawki” krzewi modną ciałaopozytywność, ale też przypomina, że droga do samoakceptacji jest wyboista, a zakorzenione w pamięci epitety jeszcze po latach zniekształcają odbicie w lustrze.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWÉ, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęły na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ochędowskiej
z MELĄ KOTELUK



Nie mów nikomu

ANITA PIOTROWSKA

„Jak zostałam perliczką” to osadzona we współczesnej Zambii opowieść o zмовie milczenia i bezbronności ofiar. Ubrana w kolorowe afrykańskie stroje, ale nie tak lokalna, jak by się mogło zdawać.

JESLI GŁĘBOKĄ NOCĄ PODRÓŻNA ZNAJDZIE na drodze zwłoki własnego wujka, najlepiej, żeby nie wpadała w panikę ani nie mówiła na ten temat za dużo. W pobliżu bowiem znajduje się budynek, co mogłoby źle rzutować na reputację zmarłego. „Fred już taki jest” – podsumowuje przez telefon ojciec głównej bohaterki, a ona mogłaby teraz zawołać „Freddie nie żyje – koniec koszmaru!”. Bo film „Jak zostałam perliczką” to osadzona we współczesnej Zambii i trochę zakreślona opowieść o zмовie milczenia wobec bezkarnych wujaszków i ich bezbronych ofiar. Ubrana w kolorowe afrykańskie stroje, ze szczyptą magii, ale przecież nie tak bardzo lokalna, jak by się mogło zdawać.

Reżyserka Rungano Nyoni nadała swojej głównej bohaterce imię Shula, niczym w poprzednim filmie, „Nie jestem czarownicą”, co w języku bemba oznacza tę, która „oczyszcza ziemię rękami”. Młoda kobieta, zagrana przez Susan Chardy, gdyby urodziła się w innej rodzinie, mogłaby być kiedyś tamtą dziewczynką, oskarżoną przez wspólnotę o czary, skazaną na wykluczenie i utrzymaną w spe-



cialnym rezerwacie w charakterze atrakcji turystycznej. Nowy tytuł też przynosi barbarzyńskie zwyczaje, choć już nie zabobony, wymierzone przeciw kobietom i dzieciom. Tym razem odbite w inaczej zakrzywionym zwierciadle. Dzisiejsza Shula, podobnie jak sama Nyoni, jest po części przybyszką z zewnątrz i takie podwójne spojrzenie rządzi na ekranie. Młoda kobieta pracuje w międzynarodowej firmie i od lat żyje po swojemu. Jadąc po nocnej imprezie do rodzinnego domu (dostatniego i otwartego, najwyraźniej z tamtejszej klasy średniej), powraca do świata, z którym czuje się mocno związana i z którego zarazem ongiś uciekła. Tym bardziej nie może liczyć, że podczas przygotowań do pogrzebu coś wreszcie zostanie w jej rodzinie rozliczone – bo przecież „o zmarłych tylko dobrze”.

Ta uniwersalna maksyma trzyma się mocno zwłaszcza tam, gdzie przez lata zamiatano pod dywan najbardziej ohydne przestępstwa w wykonaniu patriarchy rodu, a pochówek oznacza szczególne wydarzenie dla całej wspólnoty. Doskonale znamy tę formułę dramaturgiczną: oto podczas rodzinnej uroczystości wychodzą wreszcie na jaw stare grzechy oraz ich bardzo długie cienie. W tym przypadku będzie nieco inaczej. Nie trzeba długo czekać, aż jedna z bohaterek, wiecznie podpita kuzynka, nazwie wujka Freda zboczeńcem, jednakże cały ten rozgadany babiniec, zgromadzony wokół kilkunastu ceremonii pogrzebowych, tradycji nie nabiera w tym temacie wody w usta.

I nie chodzi jedynie o żałobne okoliczności; wydaje się, jakby w ogóle nie istniał tutaj język, którym dałoby się opowiedzieć o tamtych krzywdach, zwłaszcza w przypadku starszego pokolenia kobiet. A kiedy przedstawicielka najmłodszej generacji, która z początku odmawia przyjazdu na pogrzeb, nagrywa matkę filmik z oskarżeniem, ta próbuje ją uciszyć znanymi skądinąd słowami: „tylko nie mów nikomu”. Jak w takich okolicznościach wydobyć z siebie donośny głos?

Od początku można się spodziewać, że obdarzona pokerową twarzą Shula wsadzi w końcu jakiś kij w rodzinne mrowisko czy w pełne groteskowej nadekspresji obrzędy, graniczące z głęboką hipokryzją. Lecz urodzona w Afryce i wychowana w Wielkiej Brytanii scenarzystka szuka odpowiedzi w naturalnym otoczeniu swoich bohaterek. I tak jak egipski reżyser Omar El Zohairy w dużo słabszym filmie „Pióra” (2021) zamieniał przemocowego męża i ojca w kurczaka, tak u Nyoni z pomocą, oprócz czarnego humoru, przyjdzie tytułowa perliczka, spełniająca tu rolę ptasiej sygnalistki. Tylko czy jej głos będzie w stanie się przebić przez głosne żałobne lamentacje?

Twórczyni mówi w wywiadach o swoich związkach z rdzenną kulturą Bemba, która w odróżnieniu od napływowego chrześcijaństwa jest mniej patriarchalna i podkreśla więzi między kobietami. To napięcie widać na ekranie: w zatłoczonych kadrach dominują co prawda kobiety w różnym wieku, ich

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6
FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE STOWARZYSZENIA NOWE HORYZONTY

JAK ZOSTAŁAM PERLICZKĄ

(*On Becoming a Guinea Fowl*)
– reż. Rungano Nyoni.
Prod. Wielka Brytania/Zambia/
/Irlandia/USA 2024.
Dystryb.
Stowarzyszenie
Nowe Horyzonty.
W kinach.

Rungano Nyoni
to walijska reżyserka,
scenarzystka i aktorka
pochodząca z Zambii.
Po sukcesach w kinie
krótkometrażowym
zadebiutowała
kręconym w rejonie
ojczystej Lusaki
i docenianym na
świecie filmem
„Nie jestem
czarownicą” (2017),
który był brytyjskim
kandydatem
do Oscara.
Za „Jak zostałam
perliczką” otrzymała
nagrodę za reżyserię
w canneńskiej sekcji
Un Certain Regard.

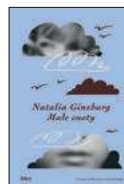
Na zdjęciu:
Susan Chardy
w filmie „Jak zostałam
perliczką”

rozmowy, spory, domowa krzątanina, ale rzeczywistość wydaje się dotkliwie męskocentryczna. Po śmierci wuja, spełniającego przez lata funkcję opiekuna szeroko rozgałęzionej rodziny, wychodzą na jaw jego liczne i grube przewiny, lecz także rozmaite brutalne obyczaje, których strażniczkami bywały same kobiety. Widać to w sposobie traktowania nastoletniej wdowy po Freddie, wydanej za mąż jeszcze w dzieciństwie i już wielodzietnej, zaszczutej przez pazerne szwagierki i oskarżanej o śmierć małżonka. Nic dziwnego, skoro bywały ślepe nawet na cierpienia własnych córek – kiedyś w imię świętego spokoju i trwałości rodziny, teraz w imię dobrej pamięci o nieboszczyku.

Oryginalność „Jak zostałam perliczką” polega na tym, że reżyserka opowiada o tym wszystkim lekkim, zawadiackim wręcz tonem, podbijanym pozornie nieadekwatną, surrealistycznie brzmiącą muzyką i zaczerpniętą ze świata zwierząt metaforą. Oczywiście, w takich przypadkach chciałoby się dopytać dla porządku, na ile tego rodzaju kino – będące koprodukcją Zambii z zachodnimi krajami, firmowane przez BBC czy A24, nakręcone przez bądź co bądź Brytyjkę, zagrane przez ciemnoskórą modelkę, mówione w afrykańskim języku, ale w dużej mierze po angielsku i w zamyśle raczej festiwalowe – reprezentuje zambijską czy w ogóle afrykańską kulturę. Należy raczej potraktować tego rodzaju film jako kulturowy pomost i osobisty wkład reżyserki w tamtejszą kinematografię, która dopiero raczkuje i pewnie trochę czasu upłynie, zanim samodzielnie zacznie produkować tego rodzaju filmy (Zambia do 1964 r. była brytyjską kolonią).

Albowiem uniwersalne przesłanie „Jak zostałam perliczką” (że również po śmierci krzywdziciela warto dochodzić moralnej sprawiedliwości, a w piekle istnieje osobny krąg dla kobiet, które nie pomogły innym kobietom) może trochę co innego znaczyć dzisiaj na przedmieściach Cardiff, a co innego pod Lusaką. Ta emancypacyjna komedia w futurystycznej masce à la Missy Elliott, pełna egzotycznych dla nas rytuałów i zapachów lokalnej kuchni, ma jednak swój słodko-gorzki ponadkulturowy urok. Tradycje i traumy, fantazje i absurdy, niezręczności i wzruszenia tworzą w filmie Nyoni energetyczną mieszaninę, która wcale nie musi wybuchnąć z wielkim hukiem, żeby wyrazić znajomy gniew czy zażewzać do właściwie pojętej solidarności. Z żywymi, nie zmarłymi. ©

Lektor: Mądrość i prostota



■ Natalia Ginzburg
MAŁE CNOTY
Przeł. Weronika Korzeniecka.
Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2025, ss. 142.

PO WSPANIAŁYM „SŁOWNIKU RODZINNYM” (NIEUSTANNIE polecam!) kolejna książka Natalii Ginzburg (1916-1991). Czwarta po polsku, bo przełożono jeszcze późną powieść „Drogi Michele” i poprzedzające „Słownik...” (rok 1963) „Nasze dni wczorajsze”. Tym razem tom esejów – szczupły, ale gesty, zbierający utwory powstałe w różnym czasie, opublikowany w 1962 r. Znów bogaty w tropy autobiograficzne, przede wszystkim jednak dający się czytać jako mądrościowa refleksja nad światem i wartością życia, z której każdy coś wyniesie.

Co do autobiografii – otwarciem tomu jest „Zima w Abruzji”. Ten szkic napisany został w 1944 r. i odnosi się do wydarzeń niewiele wcześniejszych. W 1940 r. mąż Natalii (córką anatoma i histologa prof. Giuseppe Leviego, który wychował troje noblistów), uczony i antyfaszysta Leone Ginzburg, trafił na „wewnętrzne zesłanie” do miasteczka Pizzoli w Abruzji, a żona z dziećmi wkrótce doń dołączyła. Po wkroczeniu Niemców Leone, już z powrotem w Rzymie, został aresztowany i zamordowany przez SS-manów w więzieniu. O jego śmierci dowiadujemy się jednak dopiero z ostatniego akapitu, bo „Zima...” to przede wszystkim czuły portret zamkniętego prowincjonalnego świata – czuły, choć ten świat budził czasem u zesłańców irracjonalny odruch nienawiści. No i ważne ostatnie zdania: „Wierzyłam wtedy w łatwą i szczęśliwą przyszłość pełną zaspokojonych pragnień, doświadczeń i zwyczajnych spraw. Ale to był najlepszy czas mojego życia i dopiero teraz, kiedy uciekł mi na zawsze, dopiero teraz to wiem”.

Piękny jest „Portret przyjaciela” – to wybitny pisarz Cesare Pavese – napisany po jego samobójczej śmierci. Wrażliwego i ciepłego portretu doczekał się też, jeszcze za życia, drugi mąż autorki, anglista Gabriele Baldini (w szkicu „On i ja”). Pobytom na wyspach zawdzięczamy między innymi „Pochwałę i opłakiwanie Anglii”, która nie wiem czy zachwyci anglofilów, ale jest chwilami niezmiernie zabawna. No a z drugiej części tej książeczki, w istocie wspaniałej Książki, chciałoby się cytować i cytować. „Syn człowieczy” „Mój zawód”, „Milczenie”, „Relacje międzyludzkie” – cóż to za krystalicznie czyste teksty! A tytułowe „Małe cnoty”, które tłumacz, czemu na ich wpajaniu nie należy opierać wychowania dzieci? I czym jest popołanie? Natalia Ginzburg wysoko ustawiła tutaj poprzeczkę. Zresztą przekonajcie się sami. ©P

PAWEŁ

Bravo

Lampart od kuchni

ZIOŁKOWIE WRÓCILI DO WARSZAWY. JEST RUKOLA I RUKIEW, mizuna i musztardowiec. Zielone (oraz rdzawe w przypadku tego ostatniego) listki, soczyste i w jakiś tajemny sposób smakujące życiem, wyrosłe co prawda nie pod gołym niebem, ale jednak z ziemi. Chciałoby się dodać „tej”, jednak kuchnia to za mała scena dla słów proroczych i królewskich, choćby to był skromny zaimbek. Bo takiegośmy mieli jeszcze niedawno króla, co umiał purpurą i złotem okryć niepozorne słowa powszednie. W jego dawnej stolicy nawet zapowiedź z tramwaju: „następny przystanek: Wawel” brzmi jak wyzwanie rzucone doczesności.

Dość poetyzowania, moje święto wiosny i taniec wśród skrzynek odpawiam wszak w nowszej stolicy, gdzie jedyne zrozumiałe abstrakcje to te na wykresach zysków kwartalnych, a z emocji wypada okazywać tylko te wzbudzone przez władzę. Niech będzie zatem, że listki wyszły po prostu z mazowieckiej skiby, mokrej i tłustej, co wiem, bo elementem corocznego rytuału jest moja rozmowa z męską połową Ziółków o tym, czy nie obawia się w nowym sezonie suszy. Na co on zapewnia, że jego ciężkie gleby osadowe w pobliżu Wisły pozwalają mu na razie zachować spokój. Każdy, kto w wielkim mieście próbuje żyć jako tako blisko rytmów natury i zdrowego rozsądku, niech bardziej się o poziom wód gruntowych martwi niż wzrosty i spadki w sondażach prezydenckich.

„Nastąpi wiele wydarzeń, ale będą tylko komedia, hałaśliwą romantyczną komedią z kilkoma plamkami krwi na błazeńskich strojach”. To o zawierusze politycznej skutkującej powstaniem zjednoczonych Włoch sądzi Fabrizio Corbera, książę Saliny z powieści Giuseppe Tomasiego di Lampedusy, o której zrobiło się znów głośno dzięki serialowej ekranizacji „Lampart” (choć znakomity nowszy polski przekład pióra Stanisława Kasprzysiaaka nosi tytuł „Gepard”). Zanim Netflix nam o niej przypomniał, służyła za źródło jednego z najbardziej wyświechtanych cytatów politycznych: „jeśli chcemy, by wszystko zostało tak jak jest, trzeba, by wszystko się zmieniło”. Niecałe trzysta stron skrzęcej się ironią lekkiej prozy jest przede



LUCIA TUORIO / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

wszystkim o tym, ale nie tylko. Także o poruszeniach serca i poruszeniach królestw, wielkich ideach i wielkich przekrętach (co czasem na jedno wychodzi). O charakterze Sycylii, a więc o zaletach bycia wyspą. Odporność na próby dominacji zamienia się tu w wieczny letarg „tego samego”.

Don Fabrizio to wzorec melancholijnego cynizmu bez grama jadu i żółci. Śni mi się czasem po nocach – gdy za bardzo się zaczytam w facebookowych bulgotach – jego elegancja, gdy przyjmuje nieubłagany schyłek i bliską ruinę swojego świata, z którym czuje się do szpiku kości solidarny, choć przynika kocim wzrokiem całą jego marność. Elegancja arystokraty, który po prostu wie, że tulipan nie pasuje do fraka, ale wie też, że trzeba umieć naginać zasady. „Książę miał zbyt wiele doświadczenia, aby uraczyć gości z zapadłego prowincjonalnego miasteczka kolacją rozpoczynającą się od potage (...). Ale wiadomości o barbarzyńskim zagranicznym zwyczaju podawania na pierwsze danie rosółu docierały do świetniejszych rodzin w Donnafugacie na tyle często, że resztki obaw o to ożywały w nich przed każdym z takich uroczystych przyjęć. Kiedy więc lokaje weszli, wnosząc tace, na których sterczały góry zapiekane makaronu, tylko cztery z dwudziestu osób powstrzymały się przed wyrażeniem radosnego zaskoczenia”.

Historia jednak nie chciała albo nie mogła oszczędzić księciu barbarzyńskich rosółów z północy, którymi się wykarmiła nowa klasa panów i szybko rosnąca w politycznej próżni mafia – nowy towar eksportowy wyspy obok migdałów, czerwonych pomarańczy, cytryn i cukiernictwa noszącego wciąż ślady arabskiej dominacji. Nie tylko cukiernictwa zresztą, posłuchajcie dalej, jaki był ten makaron: „Przyrumieniony na złoto wierzch, bijący z niego zapach cukru i cynamonu były tylko preludium tej



DON FABRIZIO,
bohater
„Lamparta”,
to wzorzec
melancholijnego
cynizmu bez
grama jadu i żółci.
Po prostu wie,
że tulipan nie
pasuje do fraka,
ale wie też, że
trzeba
umieć naginać
zasady.
Kadr z serialu
„Lampart”.
Prod. Netflix,
2025 r.

Pesto z Trapani

Powieść i serial pełne są opisów i zdjęć istic barokowego jedzenia, którego nie przyrządzimy, nie dysponując kuchnią pałacową. Wiele razy w naszym kąciku gotowaliśmy inne, proste sycylijskie dania, jak caponata. Dziś złożymy hołd migdałom, wielkiemu bogactwu wyspy – właśnie kończą kwitnąć na różowo sady. Nazwa pesto w tym przepisie to, zdaniem genuenczyków, nadużycie – bo dla nich pesto jest tylko jedno: bazyliowe. Ale skoro wydatnie pomogli w dziele zjednoczenia Włoch, to niech ponoszą konsekwencje wielkiego pomieszania nazw i tradycji.



Zapisz się na newsletter
– co piątek
przepisy
na Tygodnikowy
lunch, obiad
i deser w Twojej
skrzynce:
[powszech.net/
tygodnik-smakow](https://powszech.net/tygodnik-smakow)

Paweł Bravo
jest barmanem,
tłumaczem
i redaktorem.
Współautor
„Kuchni Dantego”,
autor „Czekolady
i kapuśniaku”
(Nagroda Literacka
im. Leopolda
Staffa 2023).

SKŁADNIKI:

400 g pomidorków koktajlowych
75 g blanszowanych migdałów
50 g tartego sera pecorino
■ duża garść bazylii ■ oliwa ■ sól

Miksujemy migdały, uprzednio lekko podprażone na suchej patelni. Dodajemy pomidorki i bazylię, krótko miksujemy dalej – masa może pozostać grudkowata. Przekładamy do miski, wsypujemy ser, mieszamy, stopniowo wlewamy oliwę, tyle żeby uzyskać pożądaną konsystencję. Tak uzyskany sos dodajemy do makaronu (łączymy na zimno) albo używamy do przekąsek. Możemy zaś popić winem z piwnicy Donnafugata – nie ma nic wspólnego z prawdziwym rodem Tomasich, jej nazwa jest tylko hołdem dla powieści i fikcyjnego miasteczka, dokąd powieściowy ród Salinów wyjeżdżał na letnie miesiące. Ale za tym marketingowym zabiegiem i pięknymi etykietami kryją się naprawdę zacne wina. ©&P

oczekiwanej rozkoszy, której widok wyłaniał się, gdy nóż rozciął skórki. Ze środka (...) ukazały się kurze wątróbki, jajeczka na twardo, płaty szynki i talarki truflii wtopione w gęstą, gorącą masę makaronu, któremu wywar z mięsa nadał wspaniały kolor rdzy”.

Skłonność do zapiekania wszystkiego, co wpadnie pod rękę, jest bardzo „burbońska” – znajdziemy ją też w Neapolu, gdzie także rządili Hiszpanie. Cynamon i wątróbka, cukier i trufla – tu akurat staropolska żyłka pulsuje wesoło, nasi mościpanowie też kiedyś, dzięki bliskości Turcji, ćwiczyli takie połączenia. Ale to dla nas tylko archeologia, nic nam z tego nie zostało. Czasem żałuję, że nie jesteśmy wyspą, wspólnotą mocno otorbioną w swoich zwyczajach sprzed tysiąca lat. Za dużo na naszej płaskiej równinie przeciągów, wywiewają one ze światem pozostałości po przechodzących w tę i w tę wojskach i kulturach. Za szybko, za krótko, nic na dłużej, odwrotność zatopionej w nostalgii Sycylii. Oglądanie serialu wzbudziło we mnie też pokłady innej nostalgii: za kinem, gdzie najciekawszą rolę kobiecą powierza się aktorce, a nie pustej modelce, której chyba głównym atutem dla producentów jest posiadanie ponad miliona obserwatorów na Instagramie. Pewnie starzy zawsze muszą narzekać na nowe czasy i mówić, że będzie gorzej.

A może nie zawsze gorzej? Przy wyjściu z targu mijam panią Joannę z drugiego ważnego gospodarstwa na mapie warszawskich spożywców. Pytam ją więc, czy szparagi od Majlerów dopiero za sześć tygodni, jak zawsze bywało, na co ona śmieje się, że być może zobaczymy się już na początku kwietnia.

No nie wiem, czy książkę Fabrizio umiałby również takie zmiany klimatu ująć w swojej formule „wszystko zostaje tak, jak jest”.



MATERIAŁY PRASOWE PALAZZO BARBERINI

Caravaggio, *ECCE HOMO*,
(ok. 1606-1609 r.)

CIERŃ CZASU

Zapomniany przez swoją epokę, odkryty na nowo dopiero kilkadziesiąt lat temu, do nas przemawia z wielką siłą. W Rzymie otwarto właśnie wystawę obrazów religijnych Caravaggia. Takich, na których święci mają brud za paznokciami.

GRZEGORZ JANKOWICZ

KILKA LAT TEMU ODWIEDZIŁEM SANKTUARIUM ŚW. ŁUCJI w Syrakuzach. Nie pielgrzymowałem do „świętego miejsca” (ponoć to właśnie tutaj 13 grudnia 304 r. Łucja zginęła męczeńską śmiercią, gdy odtrącony zalotnik zadenuncjował ją jako chrześcijankę), lecz – przyziemnie i w pewnym sensie banalnie – do przechowywanego tam obrazu. Jesienią 1608 r. do Syrakuz przybył Michelangelo Merisi da Caravaggio. Bardziej niż zwykle potrzebował pieniędzy, a że nie mógł zatrzymać się w mieście na dłużej, szybko zgodził się namalować obraz przedstawiający złożenie Łucji do grobu.

Dzieło umieszczone jest za ołtarzem, w absydzie, więc najlepiej widać je, gdy stoi się naprzeciw prezbiterium. Na pierwszym planie mamy dwóch – potężnie zbudowanych i zajętych kopaniem – grabarzy. Mówiąc precyzyjnie, pracę zajmuje się ten po prawej. Drugi – pochylony nad łopatą wbity w ziemię – spogląda w stronę księdza otoczonego grupą ludzi (przede wszystkim wiernych, ale też żołnierzy), który odprawia pożegnalny rytuał. Pomiędzy grabarzami, nieco w głębi, leży bezwładne ciało Łucji. Ciemny dół jej sukni zlewa się z ziemią. Głowa częściowo odchylona w stronę widza, nienaturalnie ułożona szyja z widoczną raną, lewa ręka spoczywa na piersi, prawa leży swobodnie z dłonią otwartą ku nieobecnemu niebu.

Taką kolejność opisu podpowiada mi nie tyle oko, ile umysł przyuczony do wyszukiwania postaci i przedmiotów. W rzeczywistości wchodzącym do kościoła ukazuje się ciemny – rdzawo-brunatny – ogromny kształt, jakby za ołtarzem ktoś wydrążył w skale jamę wciągającą do swojego wnętrza wszystkich i wszystko. Dominujący i dojmujący element obrazu to tło, którego pierwowzorem musiały być syrakusańskie latomie – kamieniołomy wykorzystywane jako więzienne lochy przez panujących tu tyranów. Nie wiadomo, po co grabarze kopią grób, skoro jest nim cały wyobrażony przez Caravaggia świat. Chyba że ich zadanie polega na pogłębianiu katakumb.

Będąc jeszcze na zewnątrz, zorientowałem się, że w sanktuarium trwa ślub. Już w środku, spoglądając (zachłannie) na płótno i (dyskretnie) na zgromadzonych, zadawałem sobie pytanie, jak to możliwe, że młoda para potrafi wytrwać w radośnym uniesieniu, mając przed sobą tak przytłaczającą scenę. Nie wiem, czy chroniła ich miłość, czy usypiające zmysły przyzwyczajenie (jeśli byli miejscowi, z wizją Caravaggia musieli się stykać od dziecka), ale na emanującą z płótna ciężką poświatę nie reagowali w ogóle. Dlaczego nie uciekają? – zapytała towarzysząca mi osoba.

Na krawędzi

Caravaggio przybył do Syrakuz po przeszło dwóch latach nieustannej ucieczki. Poszukiwano go w Rzymie za popełnione w maju 1606 r. zabójstwo alfonsa Ranuccia Tomassoniego, z którym ponoć pokłócił się podczas meczu w pallacordę (przypominającą dzisiejszy tenis). Niektórzy biografowie utrzymują, że popularna podówczas zabawa stanowiła jedynie pretekst, a prawdziwą przyczyną scysji (może nawet zorganizowanego pojedynku) był romans Caravaggia z Lavinia, żoną Tomassoniego, albo rywalizacja o względy jednej z pracujących dlań prostytutek, Fillidy Melandroni, która fascynowała artystę (jej rysy posiadała kilka namalowanych przez niego postaci). Jeszcze inni twierdzą, że Caravaggio miał z Lavinia dziecko, a Fillidę porwał, gdyż sam zamierzał czerpać zyski ze stręczycielstwa.

W chwili morderstwa malarz dobiegał 35. roku życia. Uchodził za wybitnie utalentowanego, więc wielu zamożnych mieszkańców wiecznego miasta korzystało z jego usług. Jednak tworzone przezeń dzieła o tematyce religijnej budziły skrajne emocje. Modeli brał z ulicy, hołdując przekonaniu, że spacerująca po placu Cyganka zasługuje na uwiecznienie bardziej niż szlachetnie urodzeni. Zarzucano mu świadomą degradację świętych, których ukazywał jako zwykłych ludzi, uwikłanych w codzienne sprawy, nękanych chorobami, niejako zaskoczonych łaską wiary, dlatego występujących w biblijnych scenach z brudem pod paznokciami i w podartych ubraniach.

Wielokrotnie trafiał do więzienia za bójki, rozboje, pomówienia, nielegalne posiadanie broni czy kradzieże – ale zawsze ktoś wyciągał do niego pomocną dłoń. Jednak przed karą za zabójstwo nie mogli go uchronić nawet najbardziej wpływowi klienci. Najpierw schronił się na wzgórzach za miastem, potem w wiosce niedaleko Palestriny, gdzie znalazł gościnę u zaprzyjaźnionej rodziny Colonna.

Pobyt na uboczu wielkiego świata był dla Caravaggia torturą. Co prawda u Colonnów nic mu nie groziło, ale prawdziwe życie toczyło się przecież w Rzymie. Z jednej strony chodziło o sztukę, o realizację pewnej idei, która mniej więcej od 1597 r. stanowiła podstawowy napęd twórczości artysty (więcej o tym za chwilę). Z drugiej – o rytm wielkomiejskiej egzystencji, o jej oszałamiającą intensywność pozwalającą zapomnieć o upływającym czasie, jedynym przeciwniku, którego Caravaggio naprawdę się bał.

Nie mogąc wrócić do centrum, szukał jego namiastki w Neapolu. Musiał malować, by zdobyć środki na utrzymanie, ale do pracy popychało go również narastające przeświadczenie, że jest ścigany. Zaczął spać w ubraniu i z bronią przy łóżku. Pracując nad „Siedmioma uczynkami miłosierdzia” do kaplicy kościoła Pio Monte della Misericordia, nie tylko studiował Ewangelię wg św. Mateusza, ale także rozmyślał o strukturze neapolitańskiego społeczeństwa (i społeczeństwa w ogóle), analizując źródła napięć – i dochodząc do wniosku, że prawdę o człowieku można uchwycić nie wtedy, gdy wykonuje dobry uczynek, lecz wtedy, gdy przeszywa go spazm cierpienia lub rozkoszy. Stąd – jak sądzę – tak często powracał do motywu rozchyłonych ust, oznaki przerażenia, zagubienia, osłupienia, gniewu, rzadziej – zachwyty czy ekstazy.

Bezdech odwrotu

Rzym przyzywał go jednak z wielką siłą. Postanowił wyruszyć na Maltę, by wystarać się o przyjęcie do zakonu joannitów. Jako członek czcigodnego zgromadzenia Szpitalników Świętego Jana mógłby otrzymać ekskuzę od papieża i – być może – wreszcie wrócić do miasta, czyli do siebie. Okoliczności sprzyjały jego planom, gdyż joannici poszukiwali sprawnego malarza. Mimo że do zgromadzenia przyjmowano niemal wyłącznie szlachetnie urodzonych, Caravaggiowi udało się przekonać wielkiego mistrza Alofa de Wignacourt, że zasługuje na szacunek. I gdy wydawało się, że wreszcie zapanował nad swoim losem, jego temperament znów dał o sobie znać.

Przez długi czas historycy uważali, że Caravaggio zataił przed de Wignacourtem informację o zabójstwie, a gdy sprawa wyszła na jaw, został zatrzymany. Dziś wiadomo już, że powodem aresztowania był furiacki atak na Giovanniego Rodomonte →

→ Roera, jednego z najwyżej postawionych kawalerów zakonu. Artysta trafił do podziemnego lochu w Twierdzy św. Anioła. Po miesiącu zdołał się z niej wydostać. Nie lada osiągnięcie, skoro uchodziła za najlepiej strzeżony obiekt wojskowy tamtych czasów.

Później był już tylko przerywany krótkimi postojami bezdech odrotu. Dziewięć miesięcy na Sycylii – po drodze wspomniane Syrakuzy, Mesyna i Palermo (wszędzie stworzył wybitne dzieła). Wreszcie powrót do Neapolu, gdzie ktoś go napadł (być może sam Roero w towarzystwie asasinów albo pamiętliwi współnicy Ranucciego) i tak bardzo pokiereszował, że Caravaggio stracił twarz (także dosłownie: po pobiciu był nie do poznania) i sprawność w ręce, co przełożyło się na sposób, w jaki malował kolejne płótna.

Nie ma pewności, co wydarzyło się potem. Ponoć znów został aresztowany, zanim wszedł na statek do Rzymu (okręt odpłynął z jego rzeczami i obrazami, m.in. niedokończonym „Świętym Janem Chrzcicielem”). Po zwolnieniu z więzienia ruszył w pogoń za zgubą w niewielkiej łodzi, ale coś poszło nie tak, więc zawinął do portu i wędrówkę kontynuował brzegiem. Biografowie podejrzewają, że zmarł w Porto Ercole na skutek wycieńczenia lub malarii.

Dziś w miasteczku znajduje się skromny pomnik Caravaggia: przede wszystkim rzucony na podróżną skrzynię płaszcz przykrywający również szablę. Insygnia artysty-uciekiniara.

Powrót do domu

Opowiadam o tych czterech latach tak szczegółowo, by przybliżyć temperament Caravaggia. Biografii artysty po prostu nie można pominąć. Choćby dlatego, że emocje, które budził u współczesnych, miały wpływ na recepcję jego twórczości. Giovanni Baglione, barokowy malarz i historyk sztuki, uważał, że autor „Pogrzebu św. Łucji” nie zasługuje na uznanie, gdyż jego obrazy pozbawione są splendoru prawdziwie natchnionej sztuki. W zasadzie w ogóle nie są sztuką. Caravaggio mógł bowiem tylko naśladować, czy to innych mistrzów, np. Giorgiona, czy to naturę, a na dodatek nie miał za grosz wyobraźni, dlatego swoim postaciom przydawał tak odpychającą powierzchowność. Po prostu nie potrafił oderwać się od rzeczywistości. Ta miażdżąca krytyka nie powinna dziwić: w 1603 r. Baglione wytoczył Caravaggiowi proces o zniesławienie. Merisi uwielbiał zwadę; o dziełach Baglione napisał ponoć w skomponowanym z przyjaciółmi wierszyku, że można sobie nimi co najwyżej podetrzeć zadek.

Konieczność ucieczki z Rzymu, a potem przedwczesna śmierć dała zastępowi przeciwników Caravaggia przewagę w kształtowaniu pamięci o nim. Trudno w to dziś uwierzyć, ale malarz na kilkaset lat niemal całkowicie zniknął z artystycznej sceny. Przełomem była dopiero retrospektywna wystawa zorganizowana przez Roberta Longhiego w 1951 r. w mediolańskim Palazzo Reale. Obejrzało ją pół miliona widzów, a Caravaggio w zasadzie z dnia na dzień wrócił do łask. Zaczęto go przedstawiać jako wizjonera, poszukującego malarskiej formy, która zdołałaby wyrazić nowoczesną prawdziwość. Wysypały się książki, eseje i filmy biograficzne. Kolejne wystawy – nieliczne, ale zawsze cieszące się ogromnym zainteresowaniem – gruntowały jego status i otwierały nowe perspektywy interpretacyjne.

Wystawa na jubileusz

7 marca w rzymskim Palazzo Barberini otwarto ekspozycję pt. „Caravaggio 2025”. Pretekstem do jej zorganizowania jest Rok Jubileuszowy, który w tradycji chrześcijańskiej przypomina o boskiej proveniencji człowieka. Pomysłodawcy postanowili zwrócić uwagę na religijny aspekt twórczości Caravaggia, ukazując jego drogę twórczą od chwili przybycia do Rzymu w połowie 1592 r. aż do ucieczki. W czterech dolnych salach pałacu zaprezentowano 24 dzieła. Pomieszczenia układają się w łuk, co można potraktować jako niezamierzoną metaforę losów artysty, któremu nie udało się domknąć życiowego koła i wrócić do miasta.

Merisi urodził się w Mediolanie, dorastał w miejscowości Caravaggio, gdzie rodzina schroniła się przed zarazą, potem podróżował do Wenecji, w której rzeczywiście zachwyciły go obrazy Giorgiona. Choć po przyjeździe do Rzymu nie miał żadnych perspektyw na szybkie zatrudnienie, doszedł do wniosku, że tylko tam warto tworzyć. Wreszcie został przyjęty do warsztatu Giuseppe Cesariego, uchodzącego za bezwzględniego gracza, szukającego nie uczniów, lecz usługowych podwładnych. W pierwszym okresie Caravaggio pracował jako malarz asystujący, zajmując się wykończeniem elementów ozdobnych – kwiatów i owoców.

Wystawa w Palazzo Barberini zaczyna się od prezentacji dzieł, których nie byłoby bez czeladniczego doświadczenia Caravaggia. Zaraz po lewej stronie od wejścia znajduje się „stały bywalec” pałacu (jest częścią kolekcji), czyli „Narcyz”. Tyleż słynny, ile kontrowersyjny, gdyż od jakiegoś czasu badacze kwestionują jego autorstwo. Decyzja, by umieścić obraz w tym miejscu, wydaje się doskonała, wszak istotnymi elementami drogi artysty były walka z samym sobą i niepewność losu. Nawet jeśli wizerunek Narcyza wpatrującego się w otchłanną toń ciemnej sadzawki wyszedł spod innej ręki, Merisi mógłby uznać go za swój symboliczny portret. W tej samej sali znajdują się jeszcze „Lżejsze” dzieła, takie jak jedna z dwóch wersji „Wrócenia z ręki”, „Chłopiec obierający owoce”, „Karciarze” czy „Koncert”. No i „Chory Bachus”, najpewniej autoportret namalowany w trakcie dłuższej niedyspozycji. Caravaggio zrezygnował ze współpracy z Cesarim po kłótni. Niektórzy wskazują jako przyczynę różnice artystyczne, a mówiąc ściśle – rodzące się w Merisim przekonanie, że celem sztuki nie jest upiększanie rzeczywistości, lecz maksymalne zbliżenie się do chropawej materii istnienia.

W drugim pomieszczeniu można obejrzeć m.in. dwa portrety Maffea Barberiniego, dostojnika kościelnego, późniejszego papieża Urbana VIII, dla którego zaprojektowany został pałac goszczący wystawę. Wiadomo, że Caravaggio namalował w Rzymie więcej obrazów portretowych, ale większość zaginęła. Jeden z prezentowanych tutaj stanowi własność prywatną i na co dzień nie można go oglądać w przestrzeni publicznej. Ekspozycja tych dwóch płócien jest traktowana jako symboliczny powrót gospodarza do domu.

Pałac i półmrok

Organizatorzy zadbali o doskonałe oświetlenie każdego z dzieł. W pałacu panuje półmrok. Punktowe, precyzyjnie wyreżyszerowane światło wydobywa z ciemności poszczególne obrazy, co doskonale koresponduje z ich kontrastową stylistyką. W za-



DOMENA PUBLICZNA

Caravaggio, **POGRZEB ŚW. ŁUCJI**, ok. 1608 r.

sadzie „wszystko” widać tylko wtedy, gdy stoimy dokładnie na przeciw nich. Wypukłe zwierciadło ze słynnego „Nawrócenia Marii Magdaleny”, z przyciemnioną powierzchnią i jednym świetlnym punktem sugerującym istnienie zewnętrznego źródła łaski, przypomina magnes, który przyciąga nie tylko oczy patrzących, ale wszystko, co znajduje się w jego zasięgu. Stojąc przed tym dziełem, miałem wrażenie oddziaływania subtelnej, ale nieustępliwej siły grawitacyjnej, która powstrzymywała mnie przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu.

Przemogłem się jednak, gdyż dalej czekały rzeczy znane, ale w takim zestawie jeszcze nigdy nie prezentowane w jednym miejscu, m.in.: „Judyta odcinająca głowę Holofernesowi” (to właśnie w obliczu Judyty można rozpoznać rysy Fillidy), „Dawid z głową Goliata” (wersja z rzymskiej Gallerii Borghese, nie ta, która znajduje się w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum; podwójny autoportret Caravaggia: młody Dawid ze współczuciem spogląda na jak gdyby zdeformowaną głowę Goliata; obraz mógł powstać po neapolitańskiej napaści na artystę), „Ecce homo” („odkryty” w 2021 r. podczas madryckiej aukcji dzieł sztuki, pierwotnie wyceniony na 1500 euro jako dzieło Jose de Ribery)...

Przechodząc od wizerunku do wizerunku, można dostrzec proces ukonkretniania się pewnej idei. Początkowo jej obecność jest tylko sugerowana, później staje się wyrazista, prze-

nika wszelkie formy wyobrażone przez artystę. Łączy je ze sobą, ale nie nadaje przedstawieniu całkowitej spójności, przez co udziela nam się frenetyczny stan ukazanych postaci.

Zawsze światło

Obejrzałem wystawę dwukrotnie. Za pierwszym razem rano, wchodząc do pałacu z wiosennym słońcem w oczach. Za drugim – wieczorem, wychodząc potem na pogrążone w mroku ulice Rzymu. Trochę przesadzam, bo przecież sporo było źródeł sztucznego światła, ale piszę nie o tym, co było, lecz o tym, co widziałem – co mogłem widzieć – po spotkaniu z płótnami Caravaggia.

Organizatorzy namawiają odwiedzających, by poszukali w mieście innych dzieł barokowego mistrza. Niektóre czekają tam, gdzie zawsze, np. w kościele św. Ludwika Króla Francji. Miłośnicy serialu „Ripley” (opartego na powieści Patricii Highsmith) zapewne pamiętają to miejsce. Główny bohater – błyskotliwy psychopata, który kradnie tożsamość zamożnego młodzieńca i próbuje na zawsze odciąć się od przeszłości – przybywa tu, by obejrzeć dzieła Caravaggia. Powieściowy Ripley interesuje się malarstwem, ale Highsmith nie wspomina o jego fascynacji Merisim. Ten wątek został dodany przez twórców serialu. Uważny widz od razu dostrzega, że mamy tu do czynienia z kolejnym zawłaszczeniem Ripleya – ale jest tu też doskonała i zarazem przewrotna interpretacja twórczości Caravaggia.

Ripley wchodzi do kościoła i staje przed obrazami. By je obejrzeć, musi wrzucić pieniążek do puszek uruchamiającej mechanizm oświetleniowy. Słyszymy dźwięk tykającego zegara. Czas ucieka, więc Ripley przeskakuje wzrokiem z jednego płótna na drugie, koncentrując się na detalach. Podchodzi do niego ksiądz, który wypowiada osobliwą formułę: „La luce, sempre la luce”. W domyśle: zawsze chodzi o światło. To ilustracja światopoglądu Caravaggia i jego artystycznego zamysłu. Świat pogrążony jest w mroku, a my w tym świecie miotamy się niczym więźniowie odwiecznych latomii. Możemy liczyć na pojedyncze przebliski, świetne punkty, które rozcinają mrok jedynie na chwilę. Wyobrażamy sobie, że światło przychodzi do nas skądinąd. Chcemy, by tak było, bo wówczas nawet najwęższy promień dawałby nadzieję na coś innego.

Caravaggio nie przesadza sprawy. Zdaje się, że w ogóle nie jest zainteresowany dyskusją na ten temat. Gorączkowo maluje kolejne wizerunki człowieka bez reszty uwikłanego w istnienie, bo tylko twórczy gest wydaje mu się sensowną odpowiedzią na doświadczenie bólu. Obfite źródła bólu biją w tym samym miejscu, w którym rodzi się coś, co nazywamy czasem. Ripley rozumie Caravaggia, ale wyciąga z jego egzystencjalnego rozpoznania fałszywy wniosek: że światło da się kupić (stąd ten pieniążek wrzucany do puszek).

Wychodząc z syrakusańskiego Sanktuarium św. Łucji, powiedziałem do towarzyszącej mi osoby, że nie mam pojęcia, jak po zapatrzeniu się w Caravaggia można wierzyć w Boga. W odpowiedzi usłyszałem: jak po doświadczeniu czegoś takiego można w Niego nie uwierzyć?

© GRZEGORZ JANKOWICZ

Wystawa **CARAVAGGIO 2025** w rzymskim Palazzo Barberini (kuratorzy: Francesca Cappelletti, Maria Cristina Terzaghi, Thomas Clement Salomon) będzie czynna do 6 lipca 2025 r.

TOMASZ

Stawiszyński:

O potrzebie uważności



NIE OPUSZCZA MNIE WIZJA BŁĄKAJĄCEGO się po swojej posiadłości Gene'a Hackmana. Zdezorientowanego, nierozumiejącego, co się właściwie dzieje, niepewnie nieświadomego, że jego żona nie żyje. A może jakoś świadomego, rozpaczającego z powodu jej śmierci,

ale niezdolnego ani do wezwania pomocy, ani nawet do zjedzenia czegośkolwiek czy zażycia leków. I w końcu umierającego w kompletnej samotności.

Międzynarodowy gwiazdor, milioner, sławny, bogaty, otoczony uwielbieniem przez tłumy, ikona kina, genialny aktor, obiekt pragnień, twórca niezapomnianych, klasycznych ról... Kto by się spodziewał, że ten los, którego każdy mógłby mu pozazdrościć, doprowadzi go aż do tej właśnie chwili, pełnej lęku i pomieszania? I jeszcze ta dziwna obojętność otoczenia. Jak to możliwe? Czy Hackman i Betsy Arakawa nie utrzymywali z nikim kontaktów? Dlaczego przez dwa tygodnie – pomiędzy 12 lutego, kiedy, jak twierdzą śledczy, zmarła zakażona rzadkim wirusem Arakawa, a 26 lutego, kiedy odkryto ich ciała – nie zainteresowała się nimi rodzina albo przyjaciele? Hackman – wszystko na to wskazuje – przez tydzień krążył po domu zupełnie sam. Jak to możliwe?

Niewykluczone, że nigdy nie poznamy odpowiedzi na te pytania. Niewykluczone też, że je poznamy, ale okażą się banalne. Ot, fatalny splot przypadków, starość, demencja, a do tego jeszcze ten wirus. Porwane więzi, rodzinne konflikty i traumy. I jedna tylko bliska relacja – z żoną, której Hackman przepisał cały majątek, wydziedziczając trójkę dzieci. Klasyka, znamy to. Za warstwą mimikry, za społeczną maską, którą niejeden wszak nosił (i nosi), skrywa się kłębowisko dramatów i cierpień. Nie widać ich zazwyczaj z zewnątrz (do czasu, naturalnie, do czasu) – już to dlatego, że się staramy skrzętnie je przed innymi skrywać, już to dlatego, że innych nasze dramaty często wcale nie interesują.

No chyba, że ktoś jest wielką gwiazdą, czyli współczesnym bogiem – wtedy wszyscy uważają, że najintymniejsze detale jego życia są publiczną własnością, wyrwają je sobie, łapczywie chłoną każdy romans, depresję, samobójstwo i zdradę, wysysają ten nektar do ostatniej kropli. Nierzadko oczywiście to sami bogowie wykładają wszelkie intymności wprost na tacy. Ostatecznie żyjemy w kulturze wyznań, gdzie opowieść o upadku, a następnie rachunku sumienia, pardon, terapii, a potem triumfalnym powrocie – już będąc mądrzejszym, silniejszym, już mając to wszystko „przepracowane” – sprzedaje

się najlepiej. Jest to sprawdzona metoda przyciągania zbiorowej uwagi, najwyżej notowanej dziś waluty.

No ale to w ogóle nie był przypadek Hackmana, o którego prywatnych sprawach nic prawie nie wiedzieliśmy, bo je skrzętnie chronił. Już przed wieloma laty wycofał się zarówno z grania w filmach, jak i z gwiazdorskiego, towarzyskiego *high life*. Mnóstwo więc było wokół niego znaków zapytania i tajemnic. Tyle że nie chodzi przecież o tajemnice, nie chodzi o znaki zapytania, lecz o upiorność finału. O kontrast pomiędzy obfitującym w bogactwo i sukcesy życiem a chaosem i rozpadem śmierci.

Owszem, takich anonimowych historii są setki, tysiące, miliony. Zdecydowanie zbyt często bywa, że najpiękniejsze życiorysy kończą się w pełnej dekompozycji. W samotności, w pomieszczeniu, lęku i goryczy. W cierpieniu, opuszczeniu, bezsensie. Ile takich biografii znamy, o ile słyszeliśmy? I o ile wolelibyśmy nigdy nie usłyszeć, bo każda taka opowieść wywołuje gdzieś z zakamarków wyobraźni jakieś wyparte scenariusze własnej przyszłości. Jeśli nawet wielki gwiazdor Hollywood umiera w ten sposób, to co dopiero „zwykły człowiek”? Co dopiero my?

O wypieraniu śmierci i starości z kultury powstały już grube tomy, a i ja nieraz o tym pisałem. Jasne, że na różne sposoby staramy się o tych rzeczach nie pamiętać, nie widzieć ich, odwracać wzrok, a usługujący rynek chętnie na tych naszych lękach, obawach i przerażeniach zarabia. Jasne, że cała głęboka struktura ekonomiczna świata, w którym żyjemy, obliczona jest na sprawnych, młodych i bogatych. Widzieliśmy to wyraźnie choćby w trakcie pandemii, kiedy w domach opieki umierali najstarsi, najbardziej bezbronni, często opuszczeni nawet przez personel, który miał się nimi zajmować. A w tym czasie milionerzy izolowali się na wyspach, trzymając w pogotowiu prywatne respiratory i opłacając ich profesjonalną obsługę.

Historia Hackmana pokazuje jednak, że dramatycznie może skończyć się każde życie, także bogate, sławne i chyba, tak się w każdym razie wydaje, szczęśliwe. Nie ma od tego ochrony, są tylko większe lub mniejsze prawdopodobieństwa. Tym większa to lekcja. Z jednej strony: głębokiego sensu tkwiącego w instytucjach i prostych, tradycyjnych regułach życia społecznego. W systemowej opiece, ale i w rodzinie, miłości, przyjaźni, etyce troski o starszych, odchodzących, umierających. Z drugiej strony jest to również lekcja uważności. Na siebie i innych, bliższych i dalszych, czasami krewnych, czasami sąsiadów. Uważności czujnej pomimo zewnętrznego pozoru normalności, szczęścia, bogactwa czy blichtru. Czy raczej – zwłaszcza wtedy czujnej. Zwłaszcza wtedy.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

REPERTUAR Kwiecień 2025

1 WT.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena	13 NDZ.	Dziady reż. M. Kleczewska	Duża Scena
2 ŚR.	Wesele reż. M. Kleczewska	Duża Scena		Australia reż. T. Pyrczak	Dom Machin
3 CZW.	Przywrócone Arcydzieła „Magnat” reż. F. Bajon	Scena MOS		Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryskówna	Scena MOS
4 PT.	O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko	Dom Machin		Zwiedzanie teatru z przewodnikiem	
	Botticelli reż. P. Świątek	Scena MOS		Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
5 SOB.	Chory z urojenia reż. G. Pampiglione	Duża Scena	15 WT.	Dziady reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko	Dom Machin		Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryskówna	Scena MOS
	Botticelli reż. P. Świątek	Scena MOS	16 ŚR.	Dziady reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie			Szyborska. Kropki, przecinki, papierosy reż. A. Gryskówna	Scena MOS
6 NDZ.	Chory z urojenia reż. G. Pampiglione	Duża Scena		Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
	O dwóch doktorach i jednej pacjentce, czyli seks, władza i medycyna reż. M. Wojtyśko	Dom Machin	17 CZW.	Dziady reż. M. Kleczewska	Duża Scena
	Myślnik. Jazz – filozofia – stand-up Sezon 4. Spotkanie 8.	Scena MOS	23 ŚR.	Smok! reż. J. Roszkowski	Duża Scena
	Zwiedzanie teatru z przewodnikiem			IMPRO KRK	Scena MOS
9 ŚR.	Uliśes reż. M. Borczuch	Duża Scena		Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
	Magiczna rana reż. P. Świątek	Scena MOS	24 CZW.	Smok! reż. J. Roszkowski	Duża Scena
10 CZW.	Uliśes reż. M. Borczuch	AD Duża Scena		Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
	Australia reż. T. Pyrczak	Dom Machin	25 PT.	Smok! reż. J. Roszkowski	Duża Scena
	Magiczna rana reż. P. Świątek	Scena MOS		Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
11 PT.	Australia reż. T. Pyrczak	Dom Machin	26 SOB.	Smok! reż. J. Roszkowski	Duża Scena
	Magiczna rana reż. P. Świątek	AD Scena MOS		Zwiedzanie teatru z przewodnikiem	
12 SOB.	Dziady reż. M. Kleczewska	Duża Scena		Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
	Australia reż. T. Pyrczak	AD Dom Machin	28 PN.	Ostatnie deski ratunku – warsztaty edukacyjne	Duża Scena
	Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie		29 WT.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz	Duża Scena
				Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	
			30 ŚR.	Proszę Państwa, Wyspiański umiera reż. A. Duda-Gracz	Duża Scena
				Zagubieni w Teatrze. Nocne zwiedzanie	

WIĘCEJ
O SPEKTAKLU



Dorota Masłowska MAGICZNA RANA reżyseria Paweł Świątek

GRAMY: 9, 10, 11 kwietnia 2025 r. | SCENA MOS



obsada: Karolina Kazon, Marta Konarska, Wanda Skorny, Natalia Strzelecka, Katarzyna Zawislak-Dolny, Marcin Sianko, Rafał Szumera



Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

INSTYTUT KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY TEATRU



M-Cars Group



ELLE

GLAMOUR

wyborcza.pl





100%

WYCIEZKI OBJAZDOWE

Japonia

Będzie co wspominać

Poleć bezpośrednio z Warszawy

